

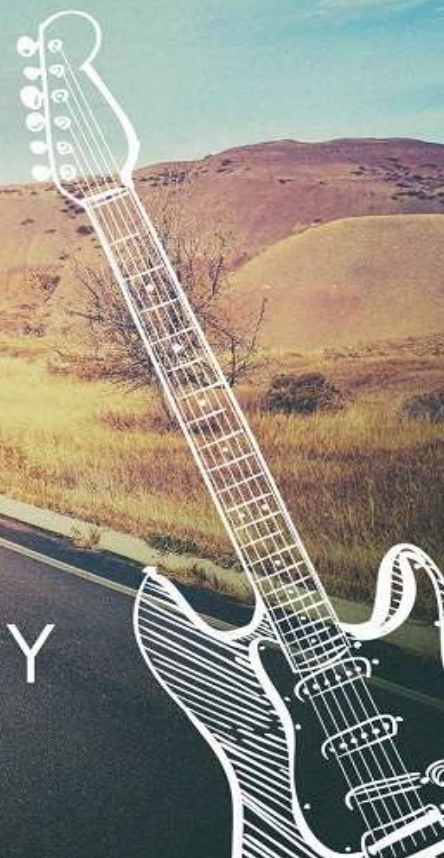
Sensem życia jest nauczyć się kochać...

# ostatnia prawdziwa love story



BRENDAN KIELY

MELODY  
BOOK!



BRENDAN KIELY

ostatnia  
prawdziwa  
love story

Z języka angielskiego przełożył:  
Jerzy Wołk-Laniewski

MEODY  
BOOK!

Tytuł oryginału:  
THE LAST TRUE LOVE STORY

Copyright © 2016 by Brendan Kiely  
All rights reserved.

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga, Młody Book  
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga, Młody Book

Zarówno niniejsza książka, jak i zawarte w niej odniesienia do wydarzeń historycznych, rzeczywistych osób lub miejsc to fikcja literacka. Pozostałe imiona, postaci, miejsca i wydarzenia stanowią wytwór wyobraźni autora i wszelkie podobieństwo do rzeczywistych wydarzeń, miejsc i osób, żywych lub martwych, jest całkowicie przypadkowe.

Projekt graficzny okładki: Monika Drobnik-Słocińska  
Redakcja: Małgorzata Najder  
Korekta: Teresa Dziemińska, Marta Stasińska

ISBN 978-83-8110-255-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

Wydawnictwo Sonia Draga  
pl. Grunwaldzki 8-10  
40-127 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
email: [mlodybook@soniadraga.com.pl](mailto:mlodybook@soniadraga.com.pl)  
[www.mlodybook.com.pl](http://www.mlodybook.com.pl)  
[www.facebook.com/BookMlody](https://www.facebook.com/BookMlody)  
[www.instagram.com/mlodybook](https://www.instagram.com/mlodybook)

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# SPIS TREŚCI

## Prolog

### Część 1. Jak się tu znaleźliśmy

Rozdział 1. Niemożliwa obietnica

Rozdział 2. Piosenka Corryny

Rozdział 3. Ucieczka od O'keefe'a

Rozdział 4. Każdy nikt jest kimś

Rozdział 5. Wielki, pusty błękit

Rozdział 6. Wielka ucieczka

Rozdział 7. Znaleźć odpowiedni nastrój

Rozdział 8. Pan i Pani Fantasy

Rozdział 9. Gawędziarz

Rozdział 10. Wszystkie drogi prowadzą do Saint Louis

Rozdział 11. Skąd jesteśmy

Rozdział 12. Dokąd zmierzamy?

Rozdział 13. Pustynne burze

Rozdział 14. Szare zjawy

Rozdział 15. Ognisko

Rozdział 16. Jazda próbna

Rozdział 17. Na skróty

### Część 2. Teraz

Rozdział 18. Problemy możliwe do rozwiązania

Rozdział 19. Ojciec Lotus

Rozdział 20. Ranczo Cadillaców

Rozdział 21. Co wiem na temat prawdy

Rozdział 22. Bonnie i Clyde

Rozdział 23. I co ja teraz zrobię?

Rozdział 24. Opowieść CC

Rozdział 25. „Walczymy za to, co kochamy, a nie za to, kim jesteśmy”

Rozdział 26. Itaka

## Epilog

Podziękowania

Przypisy

*Dla Babci i dla Jessie,  
które uczą mnie, jak słuchać w życiu sercem.*

*Miłość jest wszystkim, co istnieje –  
To wszystko, co o niej wiemy.*

– EMILY DICKINSON, *SAMOTNY PIES*  
(przełożył Stanisław Barańczak)

*Wróciwszy tak mądry, po tylu doświadczeniach,  
zrozumiesz prawdziwie, co to jest Itaka.*

– KONSTANDINOS KAWAFIS, *ITAKA*  
(przełożył Zygmunt Kubiak)

„KAŻDA HISTORIA MIŁOSNA TO ODYSEJA”





## PROLOG

Sytuacja wygląda tak: zgubiliśmy się gdzieś na zachód od Albuquerque, a samochód, który ukradliśmy, z przebitą oponą tkwi nosem w piachu. Dziadzio, Corrina i ja. Z każdym mijającym dniem Dziadzio coraz bardziej traci kontakt z rzeczywistością i jeżeli tylko spuszczę go z oka, istnieje ryzyko, że gdzieś pójdzie w tumanie kurzu i zniknie już na zawsze. Z kolei Corrina odeszła w przeciwnym kierunku, tak wkurzona, że w ogóle się już do mnie nie odzywa, i nawet nie wiem, czy jeszcze chce jechać ze mną na drugi koniec kraju. Ale obiecałem, że ją tam zabiorę. Tak jak obiecałem Dziadziowi – że zabiorę go, żeby raz jeszcze zobaczył tamten kościół, zanim choroba wymaże mu go z pamięci, a wraz z nim odbierze wszelkie wspomnienia po Babci. Ja tylko chcę dotrzymać tych niemożliwych do spełnienia obietnic, które poskładałem, tyle że mama, rodzice Corriny, lekarka Dziadzia, policja i cała reszta świata nas teraz szukają, a my ciągle mamy jeszcze ponad trzy tysiące kilometrów do zrobienia i zaledwie trzy dni.

Uznałbym, że to wszystko zaraz się skończy, ale nie mogę. No bo to nie może się tak skończyć. To nie może być koniec, nie dla Dziadzia, nie dla Corriny i nie dla mnie, bo to właśnie tu, na szosie gdzieś na końcu świata, wreszcie pojąłem, co Dziadzio ma na myśli, kiedy mówi, że sensem życia jest nauczyć się kochać.

# CZĘŚĆ 1

*Jak się tu znaleźliśmy*

## ROZDZIAŁ 1

### Niemożliwa obietnica

Na dzień przed tym, jak wyrwaliśmy się z miasta i pognaliśmy przez szerokie, smagane wiatrem drogi Ameryki, stałem trzy piętra poniżej apartamentu Dziadzia, wpatrując się ponad plażą w wodę i ściskając w dłoniach świeżo opracowaną fotografię dwojga zmarłych ludzi.

Kompleks Apartamentów dla Seniorów Calypso Sunrise przycupnął w połowie drogi pomiędzy molo w Santa Monica a deptakiem Venice Beach. Mimo to w tym dziwnym, zawieszonym pośrodku miejscu, kiedy nikt przede mną nie przejeżdżał i spoglądałem poza nieliczne palmy wyrastające spiralą z piasku oraz rozciągający się za nimi pas plaży ku nieskończonemu bezmiarowi Pacyfiku – mogłoby się zdawać, że tkwiłem porzucony na brzegu wyspy, zapomniany pośród mórz.

Tak przynajmniej się czułem, kiedy tam stałem i zbierałem się w sobie, żeby odnieść mu zdjęcie. Tydzień wcześniej Dziadzio podczas jednego ze swoich ataków rozbił szkło i ramkę i choć udało mi się uratować samą fotografię, niepogiętą i w jednym kawałku, to odłamki szkła pokaleczyły mi dłoń. Ale przynajmniej ocaliłem zdjęcie. Zdjęcie przedstawiało Babcię z włosami upiętymi w typowy dla lat sześćdziesiątych kok, stojącą przed ich oklejonym drewnem kombi i trzymającą w rękach opatuloną, niemowlęcą wersję mojego taty. Dziadzio nie chciał jej zniszczyć, to była jego ulubiona fotografia Babci, ale zmiotł ją z biurka wraz z całą resztą w napadzie gniewu i rozbiła się o podstawę jego lampy podłogowej. Pół godziny zajęło mi uważne odkurzenie okolic biurka.

Dłoń wciąż mnie bolała, tym bardziej że owinąłem sobie na niej smycz Starego Grzmota. Zabawiał się właśnie w najlepsze z nogą ławki stojącej przy deptaku, mnie to jednak nie przeszkadzało, bo wolałem, żeby się wyszalał przed wejściem do Calypso, gdzie co prawda zwierzęta były mile widziane, ale pod warunkiem że nie zamierzały dobierać się do mieszkańców, gości lub też personelu. Z drugiej strony jak na amstaffa był całkiem niewielki, a gdy na dodatek zawadiacko wywieszał między zębami jęzor, byłby w stanie wykrzesać uśmiech i z truposza. W końcu się zmęczył i dał mi o tym znać ziewnięciem, więc poprowadziłem go za róg na parking i dalej, po schodach, do głównego wejścia.

Żaden z mieszkańców Calypso nie był szczególnie bogaty, mimo to kompleks miał postać szerokiego, ciągnącego się od przecznicy do przecznicy, trzykondygnacyjnego budynku z pokojami dziennymi, wewnętrznym barem szybkiej obsługi, atelier artystycznym, wspólnymi tarasami i przylegającym dużym ogrodem, gdzie w otoczeniu paru drzew stała fontanna i gdzie często widywałem się z Dziadziem, słuchałem jego opowieści lub czytałem mu wiersze.

Z większością przyjaznego, ubranego w niebieskie koszulki polo personelu znałem się z widzenia, przechodząc ze Starym Grzmotem przez hol, pomachałem więc pracownikom recepcji. W pierwszej kolejności zajrzałem do ogrodu – nie zastałem tam Dziadzia – po czym zawróciłem do windy i udałem się do jego apartamentu. Zapukałem. Nie było odpowiedzi, więc otworzyłem i przez drzwi wsunąłem głowę.

– Niech to – rzuciłem. Dziadzio znów miał kiepski dzień.

Pokój był zdemolowany. Łóżko stało na skos, skotłowane w nogach prześcieradła przypominały zamarzniete fale, zaś ubrania leżały porozrzucane na podłodze. Szuflady z komody powyciągał, opróżnił i cisnął w kierunku drzwi do łazienki. Nawet tam narobił zniszczeń. Otworzył na oścież szafkę pod umywalką, a buteleczki z lekarstwami, szampon, pastę do zębów i dezodorant wrzucił do wanny.

Tak naprawdę to nie zrobił tego Dziadzio, tylko ten człowiek, który przejmował nad nim kontrolę, gdy dostawał ataku – człowiek z burzą w spojrzeniu. Człowiek, którego nie poznawałem. A czasami, gdy było bardzo źle, kiedy spoglądał na mnie spod gniewnych brwi, obawiałem się, że i on mnie nie poznaje. Ale gdybym powiedział, że to nie on, że naprawdę to ktoś inny stoi w jego pokoju przy oknie, byłoby to podłe. Nie mogłem tak mówić. To był Dziadzio. Musiałem do tego przywyknąć i musiałem wymyślić, jak by mu pomóc.

Miał na sobie swój typowy strój, szare spodnie, dwubarwną guayabere, a także buty, co było dobrym znakiem, bo sugerowało, że prawdopodobnie tego dnia wychodził już z pokoju. Wyglądał przez okno, ponad deptakiem i plażą wpatrując się w Pacyfik.

– Dziadziu – odezwałem się za jego plecami. – Dziadziu, to ja, Teddy.

Puściłem smycz Starego Grzmota, a on podbiegł do Dziadzia, obwąchał mu nogę i wrócił do mnie, jak gdyby czekał, aż powiem, co robić, a ja bardzo chciałem umieć mu odpowiedzieć.

Przeszedłem przez pokój i gdy zbliżyłem się do Dziadzia, przedstawiłem się

raz jeszcze. Nadal stał do mnie plecami, a że nie chciałem, by nagle się na mnie zamachnął, postanowiłem go nie dotykać. Odsunąłem się i oparłem o ścianę. W świetle późnego popołudnia na jego policzkach błyskały na złoto łyzy.

– Dziadziu – powtórzyłem.

Rozległo się pukanie. Nim zdążyłem coś powiedzieć, drzwi się otworzyły i stanęło w nich dwóch ubranych w polo pracowników ośrodka, dwóch mięśniaków – Julio i Frank – wyglądających jak zawodnicy szkolnej drużyny futbolowej, którzy chodzą z wypiętą piersią i zwieszają ramiona tak szeroko, jak gdyby ciągle musieli wietrzyć sobie pachy. Julio i Frank zjawiali się, kiedy tylko w którymś z apartamentów występowała sytuacja kryzysowa, gdy ktoś gubił się w drodze do bufetu, do holu, podczas jakichś zorganizowanych zajęć czy też przy okazji posiłku.

– Wszystko w porządku? – zapytał Julio, wchodząc do pokoju i doskonale wiedząc, że tak nie jest. – Trzeba wezwać doktor Hannaway?

– Nie – odparłem.

Dziadzio powoli wciągał i wypuszczał powietrze, ocierając sobie łyzy z policzków, tak więc wiedziałem, że już się uspokoił, a atak gniewu minął. Był cicho, ponieważ się bał. Spoglądał to na mnie, to znowu na okno. Prawdopodobnie nie wiedział, dlaczego zdemolował pokój. Możliwe, że wręcz nie pamiętał, że on to zrobił. Stary Grzmot otarł mu się o łydkę, a Dziadzio schylił się, by go podrapać.

– Panuję nad tym – powiedziałem olbrzymom.

– Wątpię – odparł Frank. Jego łysa czaszka połyskiwała, kiedy przekroczył próg i wszedł do pokoju. – Charlie? – odezwał się do Dziadzia.

Stałem im na drodze.

– Naprawdę. Panuję nad tym. Serio.

Julio zmarszczył brwi. Skinął głową w kierunku biurka z powyciąganymi wszystkimi szufladami i zrzuconymi na dywan długopisami, papierami i czasopismami.

– No weź, Teddy – odezwał się. – Jesteśmy przecież zawodowcami.

– A ja jestem dla niego rodziną – odparowałem. W rzeczywistości Dziadzio był właściwie wszystkim, co pozostało mi z rodziny. Rzecz jasna, była jeszcze mama, ale ona zwykle wyjeżdżała gdzieś w interesach, ciągle w pracy, akurat tego tygodnia w Szanghaju, przez co częściej niż z nią widywałem się z Dziadziem i to pomimo że nie mieszkał już z nami. Ona sama od czasu gdy przed siedmioma miesiącami umieściła go w Calypso, widziała go może ze dwa razy.

Pozostaliśmy zatem Dziadzio, ja i Stary Grzmot, bo taty też nie było i to od tak dawna, że już nawet o nim nie rozmawialiśmy. Tata nie żył.

– Wiem, kolego – powiedział Julio. – Ale czasami musisz pozwolić, byśmy się tym zajęli. Sam nie dasz rady.

Nie byłem dla niego żadnym kolegą. Ani też nie miałem, kurcze, dwunastu lat, choć Julio mówił do mnie, jakbym był dzieciakiem na szkolnej wycieczce, a nie siedemnastolatkiem, który stara się utrzymać w całości rodzinę czy też raczej to, co z niej pozostało, podczas gdy cała reszta świata miałaby głęboko gdzieś, gdyby Hendrixowie po prostu zniknęli niczym jedno ze wspomnień dziadka – trzask-prask, jakbyśmy w ogóle nigdy nie istnieli.

– Dziadziu – powiedziałem raz jeszcze. Stałem z boku, żeby go nie zaskoczyć ani nie przestraszyć. – Dziadziu, to ja. Teddy. Mamy coś do zrobienia.

Teddy. Mamy coś do zrobienia. Dorastając, słyszałem to od niego chyba z milion razy. Mama zawsze była w pracy. Byliśmy tylko ja i Dziadzio. Teddy. Mamy coś do zrobienia. I myliśmy podłogę w kuchni. Teddy. Mamy coś do zrobienia. Siadaliśmy i kończyliśmy moje wypracowanie do szkoły. Teddy. Mamy coś do zrobienia. I szliśmy do stołówki Świętego Krzysztofa, gdzie gotowaliśmy dla bezdomnych, którzy zjawiali się niczym drewno wyrzucane na plażę i deptak.

Dziadzio odwrócił się od okna i wiedziałem, że jest na powrót Dziadziem. Starym, wierzącym w dyscyplinę bohaterem wojennym – półuśmiech w kącikach jego ust oznaczał tyle, co u kogoś innego uśmiech od ucha do ucha. Spojrzenie znów mu się rozchmurzyło.

– Czego szukamy? – spytałem, ryzykując zburzenie chwilowego spokoju. Julio i Frank krążyli wkoło pełni wątpliwości, jak gdyby czekając, aż Dziadzio zrobi zamach, by mogli zawołać: Widzisz! A nie mówiłem!

– Tego zdjęcia, na którym Babcia stoi przy naszym kombi – odparł Dziadzio.

– No jasne – powiedziałem, starając się zachować jak największy spokój. – To nasze ulubione.

Dziadzio skinął głową, w dalszym ciągu z półuśmiechem na ustach.

– Tak, w rzeczy samej. Nasze ulubione.

– Panowie? – zwróciłem się do Julia i Franka. – Trochę prywatności?

Początkowo się wahali, ale Dziadzio zapewnił ich, że wszystko w porządku, ja zrobiłem to samo, a kiedy zabrałem się za zbieranie ubrań, Dziadzio zaczął ścielić łóżko. Stary Grzmot chodził jak po sznurku tam i z powrotem, odgradzając nas od osiłek. W końcu sobie poszli, a ja pomyślałem, jak to role

się odwróciły, że teraz to ja pomagam Dziadziowi, tak jak rodzic pomaga dziecku, tak jak on pomagał mnie, kiedy wziął na siebie zapełnienie luki powstałej po moim Zmarłym Tacie.

Lecz zarazem wciąż czułem się jak jakiś dzieciak, bo nie wiedziałem, co robić. Kiedy wsunąłem szuflady na miejsce i pochowałem do nich ubrania, nie byłem w stanie zdecydować, czy powiedzieć Dziadziowi, że mam zdjęcie, czy nie. Bez trudu mogłem udać, że znalazłem je pod łóżkiem, mogłem też powiedzieć, że zbił je przed tygodniem i że obiecałem, że je naprawię i to zrobiłem, ale za późno – innymi słowy, mogłem powiedzieć prawdę, tyle że „prawda” to kurewsko przewrotne słowo, kiedy twój dziadek umiera na alzheimera.

Dziadzio skończył ścielić łóżko, naciągnąwszy równo prześcieradło i dokładnie upchnąwszy jego rogi pod materac, jak na byłego żołnierza piechoty morskiej przystało, po czym odszedł w stronę okna.

– Ciągle ją tam widzę – powiedział, wyglądając w dal. – Te małe, srebrne bransoletki, tę koszulę w kwiaty, kolor jej włosów. I ciągle ją słyszę. Słyszę jej śmiech. To, jak wymawiała moje imię. – Zacisnął pięść i potrząsnął nią, jak gdyby daleko ponad plażą przeklinał Pacyfik. – Skaranie boskie z tą chorobą. Przez nią drugi raz ją utracę.

Wziąłem spod drzwi torbę i stanąłem obok niego przy oknie. Chociaż byłem wyższy od Dziadzia, czułem się mały i głupi, ściskając torbę z fotografią Babci, jak gdyby zdjęcie mogło zastąpić osobę z krwi i kości. Objąłem Dziadzia ramieniem, podążyłem za jego spojrzeniem ku wodzie i zastanowiłem się, czy to miłość sprawia, że usiłujemy niemożliwego, tak jak Dziadzio, który starał się uchwycić każdego wspomnienia po Babci, choć choroba kolejno mu je odbierała.

– Dziadziu – powiedziałem, wyciągając zdjęcie z torby i mu je podając. – Mam je tutaj.

Delikatnie odebrał mi je z dłoni i zupełnie jakby to fotografia sama odciągnęła go od okna, trzymając ją przed sobą, podszedł do łóżka i usiadł na jego brzegu. „Gdybym zdołał mu ją przynieść wcześniej, pomyślałem, nie splądrowałby pokoju niczym pirat grabiący coś, co powinno być już jego”.

Ale nie zdołałem. Byłem, cholera, za wolny. Zabrało mi to zbyt wiele czasu, a czasu akurat Dziadziowi nie zbywało. Doktor Hannaway powiedziała mi, że wchodził w umiarkowany etap alzheimera, ale nadal mógł, a wręcz powinien, mieć kontakt ze światem. Powiedziała mi, że powinien wychodzić z pokoju i spędzać więcej czasu z ludźmi. Starąłem się, ale zajęcia w Calypso go nie

interesowały.

Dziadzio spojrział na mnie. Poklepał miejsce obok siebie, więc przysiadłem się. Stary Grzmot poszedł za mną i wcisnął się Dziadziowi między nogi. Dziadzio poczochnął go po pysku, po czym uściśnął go kolanami. Objął mnie ramieniem, jak gdyby pragnął podnieść mnie na duchu, lecz owale jego powiek zdawały się cięższe i smutniejsze niż zazwyczaj.

– Teddy, chcę wrócić do domu.

– Wiem – odparłem, kiwając głową. – Też chciałbym, żebyś wrócił. Bez ciebie to nie to samo. Ale mama mówi, że jesteś za bardzo chory. Mówi, że nie możesz wrócić.

– Bo jestem chory.

– Nie, nie jesteś – głos mi się załamał.

– Jestem, Teddy. To straszne. Wiem. Nie panuję nad rzeczami. Choćby to zdjęcie. Jak to możliwe, bym je zgubił?

Zamilknął. Przełknął olbrzymią gulę, jaka narosła mi w gardle.

– Nie zgubiłeś tego zdjęcia – powiedziałem.

Zmrużył oczy, ale nic nie odpowiedział.

– Byłem tu w zeszłym tygodniu. Ramka... – Zawahałem się. – No, ramka była zbita, więc wziąłem ją do naprawy.

Zabrał ramię. Odetchnął głęboko, po czym chwycił mnie za dłoń.

– Teddy, nie pamiętam, bym zbił tę ramkę.

– To drobiazg.

– Nieprawda.

– Prawda – skłamałem, nie mówiąc, że miał wtedy kolejny zły dzień. I ile się nasprzątałem, ile go uspokajałem, aby tylko nie dopuścić, by do pokoju weszli Julio i Frank.

– No, weź – ciągnąłem. Teraz to ja ścisnąłem jego dłoń. – Nie przejmuj się tym. To nic takiego.

– Nie, to nie „nic takiego” – odpowiedział. – Nachodzi mnie to koszarne uczucie, że ludzie się na mnie patrzą, jak gdyby właśnie coś do mnie powiedzieli, dopiero co zadali mi pytanie, a ja nie znam odpowiedzi, nawet nie wiem, o co mnie spytali. – Poczerwieniał na twarzy. – Nie chcę stracić wszystkiego. Dlatego właśnie muszę wrócić do domu.

– Nie mogę cię zabrać, Dziadziu. Mama nie pozwoli.

– Nie tutaj – odparł łagodnie. – Nie do waszego domu. Do mojego. Chcę wrócić do Ithaki, gdzie zostały wszystkie moje o niej wspomnienia. Chcę tam wrócić, nim się rozpląną.



Pogłaskałem go po plecach, lecz on spojrzał na mnie, a twarz mu złagodniała.

– Nie pozwól mi o niej zapomnieć. Proszę. – Nie byłem pewien, czy mówi do mnie, czy tylko głośno myśli; spojrzenie miał szkliste i odległe. – Co bym dał, by znowu przejść się z nią po Mulberry, by znowu wejść po schodach kościoła Świętej Heleny, tak jak wtedy, kiedy się pobraliśmy. Nie pozwól, bym o niej zapomniał. Nie o niej.

Podtrzymałem go i powiedziałem, że do tego na pewno nie dopuszczę.

– Jestem z tobą, Dziadziu. To ja, Teddy. Jestem tu i nie pozwolę, by się tak stało.

Powtarzałem to, cały czas go trzymając i delikatnie bujając się wraz z nim na brzegu łóżka.

Złapał oddech i się wyprostował, ja zaś wiedziałem, że w tej chwili jest przytomny. Chwycił mnie za ramię i mocno przytrzymał. Jego oczy, tak samo błękitne jak moje, intensywnie się we mnie wpatrywały.

– Mam gdzieś, co się stanie i co przyjdzie mi zrobić, Teddy. Tylko nie pozwól, bym o niej zapomniał.

– Nie pozwolę.

– Obiecuj mi. – Chwycił mnie jeszcze mocniej, a ja wiedziałem, co dla Dziadzia znaczy dane słowo.

– Obiecuję.

– Trzymam cię za słowo, Teddy.

– Wiem. Obiecuję – powiedziałem, lecz zaciskający się w gardle węzeł podpowiedział mi, że kłamię, nawet jeżeli sam w to chciałem uwierzyć. Już trzeci raz mnie o to poprosił, trzeci raz mu obiecałem i naprawdę nie wiedziałem, czy sam ma tego świadomość. Ostatnim razem zdecydowałem się na jedyne rozwiązanie, jakie przyszło mi do głowy, a które nazwałem Rodzinną Księgą Hendrixów. Zacząłem robić notatki, spisując wszystko, co Dziadzio mówił i wspominał. Chciałem zebrać wszystko, od początku do końca, te drobne opowiadki, które razem splecione tworzyły wielką opowieść – a zwłaszcza to, co dotyczyło jego życia z Babcią, czyli opowieść dla niego najważniejszą. Był to jedyne sposób, na jaki wpadłem, by spróbować ją jakoś dlań ocalić.

Kotwica jego życia spoczywała w ziemi, lecz umysł zerwał mu się z tej kotwicy i dryfował coraz to dalej od niej.

Dziadzio, stary bohater wojenny, przeżył Wietnam, długi powrót po wojnie do kraju, krytykę, która czekała na niego po powrocie, a której nie pojmował, śmierć mojego taty, czyli jego własnego syna, a także śmierć swojej ukochanej żony. Lecz tam, usychając w pokoju na brzegu oceanu, kryjąc się przed światem

za zasłoną łez, Dziadzio przegrywał walkę z alzheimerem.

– Teddy, niech mnie nawet to choróbsko zabije, ale nie pozwól, żebym o niej zapomniał.

## ROZDZIAŁ 2

### Piosenka Corrinny

Kiedy wraz ze Starym Grzmotem opuściliśmy apartamenty Calypso Sunrise, słońce zaczęło już zachodzić. Ruszyliśmy deptakiem w stronę domu, mijając skate park i przebijając się przez tłumy, które gromadziły się dookoła ulicznych grajków i sprzedawców sztuki. Gdy tak przechodziliśmy pośród stęknień i metalowych zgrzytów siłowni pod gołym niebem Muscle Beach, pod rzędem drzew dostrzegłem Corrinę. Żłota plaża przybierała różowawy odcień, czarne sylwetki palmowych pni odcinały się na tle pomarańczowego nieba. Przysiadłem pod jedną z palm, aby posłuchać.

Obejmowała gitarę akustyczną, z tych, które można podłączyć do prądu, a jedną stopę opierała na wzmacniaczu. Z włosami opadającymi na twarz grała powolną, meandrującą, bluesową melodię. Bez względu na rodzaj piosenki, zawsze wczuwała się na sto procent, porzucała wszelkie zahamowania i dawała muzyce dojść do głosu. Nie było w tym żadnej teatralności ani fałszywego, demonicznego opętania, w które i tak nikt by nie uwierzył, wyglądało raczej jak gdyby łączyła się z muzyką, jak gdyby coś w jej wnętrzu tańczyło w idealnej harmonii z każdą z nut. Kiedy zaśpiewała, głos miała ciepły i bogaty niczym promienie słońca roztopiające się za nią w wodach oceanu.

Gdy skończyła piosenkę, rozległy się oklaski, a do futerału gitary wpadło parę monet i banknotów. Podziękowała zgromadzonym, którzy zaczęli się rozchodzić. Było gorąco, włosy zwisały jej w spoconych kosmykach. Otarła brew i odsunęła okulary przeciwsłoneczne na czoło niczym opaskę. Nie byłem w stanie pojąć, jak w takim słońcu może wytrzymywać w czarnych jeansach i wysokich butach. Nawet w swej luźnej, kraciastej koszuli, której kołnierzyk związała w węzeł na wysokości pępka, jeżeli pominąć pot na jej twarzy, wyglądała fajnie.

Znałem ją ze szkoły. Chodziliśmy do tego samego, ogromnego ogólniaka na wzgórzu ponad plażą i mimo że byliśmy rówieśnikami, ona dopiero co skończyła szkołę. Wiosną oboje uczestniczyliśmy w warsztatach poetyckich, lecz choć tak wyraźnie pamiętałem tyle jej osobistych wierszy, w których wspominała o tym, jak biała para z Los Angeles adoptowała ją w Gwatemali, nie uczyniło to nas przyjaciółmi. Byliśmy po prostu dwojgiem osób, które

rozpoznawały się nawzajem pośród morza tysięcy innych. Tak naprawdę więc jej nie znałem, wiedziałem tylko, że uwielbiam słuchać jej śpiewu, a kiedy jest się trzecioklasistą w szkole średniej, a życie przypomina wir, który coraz to bardziej cię zasysa, a cały znajomy ci świat pęka, rozpada się i zawala wraz z tobą, takie właśnie drobne, piękne chwile są jak pęcherze powietrza, dzięki którym masz energię, by się nie poddawać.

Przez całe lato grała na deptaku, a że właśnie tamtędy wracałem z Calypso, często przystawałem, by jej posłuchać, dodając i porządkując notatki w Rodzinnej Księdze Hendrixów albo też w ramach gimnastyki umysłu gryzmołąc wiersze. Kiedy zatrzymywałem się, żeby posłuchać, jak gra, zazwyczaj wymienialiśmy skinienie głowy w rodzaju „Jak leci?” czy nawet parę słów, ale zwykle to ja czekałem, aż mnie zauważy. Lecz tego dnia pomyślałem: „Co mi tam. Odwagi!”. Odezwałem się.

– W tych ostatnich riffach grubo dałaś czadu – rzuciłem, mając nadzieję, że mniej więcej trafiłem w odpowiednie określenia.

Spojrzała na mnie i uniosła brwi.

– Hendrix – powiedziała. – Rozwalasz mnie, człowieku.

Wszyscy mówili na mnie Teddy albo Ted, ale nie Corrina. Dla Corrina byłem Hendrixem. Nawet mi to pasowało.

– W każdym razie fajnie wyszło.

– No... Ostatnio słucham w kółko Orianthi.

– Kogo?

– No właśnie. Gdyby była facetem, znalazłby ją wszyscy. – Otarła pot z górnej wargi. – Poszukaj sobie. Naprawdę wymiata. – Rozejrzała się. Ludzie się rozeszli i zostaliśmy sami. – Ale pracuję teraz nad czymś nowym, własnym – powiedziała. – Chcesz posłuchać?

Skinąłem głową. Przyciągnęła wzmacniacz bliżej drzewa i przyciszyła. Jej miedziana bransoletka błyszczała w zachodzącym słońcu, gdy rozluźniła dłonie i palce, zamknęła oczy i zaczęła grać.

Nad deptakiem zapadła noc, a wciąż na nim rozproszonych ludzi ogarnęło lekkie upojenie. Ustawieni w kręgi bębniarze na plaży stawali się coraz bardziej hałaśliwi, mniej osób zaś przystawało, by posłuchać, jak gra Corrina. Znad plaży nadpływały obłoki dymu z marihuany. Corrina rywalizowała teraz ze zgiełkiem, jaki zastąpił stukot desek i kółek w skate parku.

Kiedy zaczęła kolejną piosenkę, grupka młodych ludzi ze szkoły, w większości tak jak Corrina niedawnych absolwentów, podeszła w jej kierunku. Była to wałęsająca się paczka superfajnych imprezowiczów, stylizujących się

w strojach po tysiąc dolarów na wykończonych obszarpańców bądź to spalonych słońcem neohipisów, bądź też ciemnokoch, niedospanych hardrockowców, którzy wyglądali, jak gdyby żyli tylko nocą. To był właśnie tłumek, wśród którego widywałem Corrinę na korytarzach szkoły czy też na schodach przed budynkiem. Dzieciaki, które wskakiwały sobie nawzajem do samochodów i ruszały na imprezy, których istnienia domyślałem się tylko dlatego, że widziałem je w filmach. Na deptaku mogliby spokojnie zatoczyć szeroki łuk i wyminąć Corrinę, lecz kiedy idący na czele stada Shawn Doogin tylko ją zobaczył, pociągnął całą resztę w jej stronę. Nie sposób było go nie rozpoznać. Był olbrzymi i jak tak stał w odblaskowych tenisówkach i uciętych szortach w panterkę, równie dobrze mógłby być jednym z gości z tej siłowni pod gołym niebem, co wyciskają sztangę z taką łatwością, z jaką inni jedzą ciasta czekoladowe. Objął ramieniem innego i wskazał na Corrinę. Ten zaśmiał się, po czym Shawn odchylił się w tył i powtórzył dowcip reszcie ekipy.

Corrina grała piosenkę z delikatnym, smutnym refrenem, a niskie dźwięki na gitarze wybrzmiewały powoli niczym dzwon gdzieś głęboko w porcie. Sama ją napisała, lecz Shawn i pozostali mieli to gdzieś. Nie przyszli tu, żeby posłuchać.

„Nasze dziecko tak nie postępuje” – śpiewała Corrina.

– No chyba! – zakrzyknął Shawn.

Corrina zamknęła oczy i śpiewała dalej.

– Dobrze wiemy! – odezwał się kumpel Shawna.

I tak ciągnęli w najlepsze, dokuczając jej aż do końca piosenki, głośno gadając, od czasu do czasu spoglądając na Corrinę i wybuchając śmiechem. W komentowanie włączyły się też niektóre dziewczyny, co mnie zaskoczyło, bo były to osoby, o których zawsze sądziłem, że się z nią przyjaźnią, jak choćby Dakota, biała dziewczyna, jedna z tych neohipisek w luźnej bluzie i jeansowych szortach, która wysunęła się zza Shawna.

– Nie wybierasz się na imprezę O’Keefe’a? – spytała. – Przegapiłaś transport?

Lecz nim jeszcze skończyła to mówić, natychmiast się zarumieniła, a jej szyję rozpalili archipelag czerwonych płam.

Myślałem, że Corrina zaraz podkreśli dźwięk na wzmacniaczu i zmiecie ich wszystkich paroma potężnymi akordami z piekła rodem, ale tak się nie stało. W ogóle przestała grać. Oparła gitarę o wzmacniacz i złożyła dłonie na głowicy i pokrętłach.

– O czym ty mówisz? – spytała, opierając ciężkiego martensa o róg wzmacniacza i spoglądając wyczekująco na Dakotę.

– Ty tak na poważnie? – odezwała się inna dziewczyna, występując w obronie Dakoty. – Nie siedzisz tam teraz i nie liżesz się z Tobym?

– Nie jestem jego dziewczyną – odparła Corrina. – Nie interesuje mnie, gdzie kiedy jest.

– Taa – rzuciła Dakota. – To, to na pewno.

– A w zeszłym tygodniu to niby co? – dopytał Shawn. – Kiedy siedziałaś na tylnej kanapie w jego wozie?

Poruszał biodrami, zakręcił nimi i się roześmiał.

– Co? – spytała Corrina. Stopa zsunęła się jej ze wzmacniacza. Spróbowała czym prędzej się wyprostować.

– Myślisz, że jak się z gościem prześpisz, to będzie z tobą chodzić? – spytała Dakota.

– Że jak... co? – powtórzyła z wahaniem Corrina.

– On cię nawet nie lubi, Corrina – dodała Dakota.

Corrina oddychała ciężko.

– Nie spałam z nim – oznajmiła.

– Ta, jasne – rzucił Shawn.

– Nie spałam – podkreśliła Corrina.

– Jezu! – wykrzyknęła Dakota. Wystąpiła naprzód i wskazała palcem na Corrinę. – Owszem, spałaś. Wystarczy spytać Toby'ego. Sam wszystkim rozpowiada.

– Nie, nie – powtarzała Corrina. – D, to nie tak było. To zupełnie nie tak.

– Widzicie! – rzuciła Dakota, spoglądając na towarzystwo. – Widzicie, sama przyznaje!

– Nie, D, naprawdę – nalegała Corrina. – Daj mi wytłumaczyć.

– No, ale Toby wszystko już wytłumaczył – wciął się Shawn i gestem ręki wzbudził rechot grupki kolegów.

– Ta, jasne – skwitowała Dakota, odcinając się tak od Shawna, jak i od Corriny. – Chodzi o to, Corrina, że ostatnio spędzasz czas wyłącznie z facetami. Odkąd wzięłaś tę gitarę i uznałaś siebie za jakąś latynoską wersję Patti Smith.

Corrina wyprostowała się.

– Co? – powtórzyła słabym i pełnym napięcia głosem. – Dlaczego tak mówisz?

– Daj spokój. Myślisz, że jesteś taka fajna? To pewnie dlatego ciągle się ciebie trzymają – ciągnęła Dakota. – Przecież to oczywiste. Zgrywasz puszczałską, to się wokół ciebie kręca.

– Uuuuujjj – zareagował Shawn, podpuszczając dalej Dakotę.

Corrina z mocno zaciśniętymi pięściami ruszyła w stronę zgromadzonych. Kierowała się prosto ku Dakocie, lecz Shawn zastąpił jej drogę. Był potężny i znacznie przewyższał i tak niską Corrinę.

– Hej – rzucił. – Wrzuć na luz.

– Odpierdol się, Shawn – odparowała Corrina. Spróbowała go obejść, lecz chwycił ją za ramię swoją niedźwiedzią łapą.

Czy to latarnie wzdłuż deptaka zaczęły jaśniej świecić, czy to noc poczęła okręcać się i ściślej nas oplatać, w każdym razie miało się wrażenie, że to jedna z tych chwil, kiedy emocje w tłumie rosną i ludzie tracą panowanie nad sobą: Corrina krzyczała na Dakotę, a dziewczyny darły się na Corrinę, do ataku dołączyła też część chłopaków, no a Corrina, wciąż przytrzymywana przez Shawna, wychylała się w stronę zgrai i odwarkiwała, ja zaś wstałem, pewien, że Stary Grzmot czuje, jak tętno w żyłach łomocze mi z prędkością stu mil na godzinę, a wibracje dygoczących dłoni przenoszą się smyczą na jego szyję, ponieważ zaczął szczekać i w podskokach zataczać ciasne kręgi. Część towarzystwa spojrzała w naszą stronę, ale większość nas olała, a ja tylko chciałem trzasnąć ich na odlew, żeby odlecieli plażą aż do Santa Monica, ale to Stary Grzmot pierwszy ruszył do działania, wyrywając mi smycz z ręki i wyskakując w stronę Shawna.

I o ile większość psów ruszyłaby pewnie do walki z odsłoniętymi zębiskami i tocząc ślinę z pyska, o tyle Stary Grzmot był inny. On bowiem wskoczył na nogę Shawna i począł czynić to, od czego wziął się jego nieprzyzwoity przydomek.

– Co jest?! – wrzasnął Shawn.

Inni zaczęli krzyczeć, bo, rzecz jasna, uznali, że Stary Grzmot wgryzł się w łydkę Shawna, lecz kiedy zdali sobie sprawę, że z wywieszonym mokrym jęzorem po prostu wesoło dyszy w powietrzu i że przez pomyłkę uznał awanturę za orgię, większość zebranych wybuchła śmiechem.

Nawet Corrina zdawała się zdezorientowana. Ze zdumieniem patrzyła, jak Stary Grzmot poczyna sobie z Shawnem. Ten puścił jej ramię, starając się wyswobodzić własną nogę, mimo to Corrina nie ruszyła za Dakotę.

– Wygląda na to, Shawn, że w końcu sobie kogoś znalazłeś – zauważyła.

Na te słowa reszta grupy się roześmiała, Shawn zaś wyglądał, jak gdyby miał walnąć Corrinę, za bardzo był jednak zajęty Starym Grzmotem. Ja natomiast nie chciałem, by uderzył czy to ją, czy też psa, więc dałem nurka, próbując uchwycić smycz, i pokręciwszy się przez chwilę wokół Shawna, wreszcie zdołałem złapać Starego Grzmota za obrozę i go odciągnąć.

Wszyscy spoglądali na mnie, a przynajmniej tak się czułem i nie wiedziałem, czy ktokolwiek z nich mnie zna lub chociaż kojarzy, ale przez krótką chwilę wydawało się, że całą sytuację udało się uspokoić.

Lecz wtedy Shawn się wydarł:

– Co z tym twoim kundlem jest nie tak?! – Nie był w stanie ustać w miejscu, a impulsy strachu zapewne wciąż przebiegały mu przez ciało, bowiem ręce i nogi mu się trzęsły.

– Słuchaj, przepraszam – powiedziałem zadowolony, że w ogóle jestem w stanie coś wykrztusić. – Z niego większy jest kochanek niż kiler.

Shawnowi ani trochę nie było do śmiechu. Zamachnął się tak szybko, że nie miałem kiedy się usunąć. Dotychczas w życiu uczestniczyłem w pięciu bijatykach i nie wygrałem ani jednej, toteż kiedy Shawn rąbnął mnie w brzuch, podtrzymałem idealną passę porażek.

Zwaliłem się na ziemię, Stary Grzmot zaczął warczeć i szczekać, lecz osunąłem się ze smyczą ciasno owiniętą wokół ręki, tak więc mógł tylko daremnie podskakiwać w miejscu. Nim Shawn zdołałby wyrządzić jeszcze jakąś szkodę, Corrina zawołała go po imieniu. Odwrócił się i w tym momencie jej duży, czarny buciór wystrzelił jak strzała, trafiając go prosto w jaja. Opadł na kolana. Wszyscy wrzeszczeli na siebie, Stary Grzmot dalej szczekał, a ja chciałem czym prędzej się stamtąd zabrać, lecz Shawn rąbnął mnie wprost w splot słoneczny i nie miałem pewności, czy kiedykolwiek uda mi się jeszcze złapać oddech, więc niezbyt mogłem się też ruszyć.

Kiedy tak starałem się zaczerpnąć tchu, wszyscy wokoło krzyczeli w najlepsze, aż w końcu paru chłopaków z grupki odciągnęło Shawna, a z kolei niektóre z dziewczyn na odchodnym powyzywały Corrinę od dziwek i innych – ciskając wyzwiska, które nader często padają wobec dziewczyn, ale już nie postępujących w identyczny sposób chłopaków. Dlaczego takiego Toby'ego nikt nie wyzywał od dziwek? Wszak to on o wszystkim rozповідаł.

Corrina została i pomogła mi usiąść na krawężniku pod drzewami. Przytrzymałem Starego Grzmota między nogami, starając się go uspokoić, on jednak nie był tak głupi jak napalony i dam głowę, że wyczuwał wybuchową nerwowość, która przenosiła się przez moje palce, gdy czochrałem go po beżowych fałdach skóry na karku.

– Shawn to palant – powiedziała. – Ale twój pies jest prześmieszny. On tak zawsze?

– Owszem. Niestety. Ale nie mogę go zostawiać w domu, bo by zniszczył meble.



Słyszając to, ponownie się zaśmiała, w naturalny i swobodny sposób.

– Trafiony w brzuch, a nadal się uśmiechasz – zauważyła. – To coś o tobie świadczy. A przy okazji – dodała – fajna by z tego była nazwa kapeli: Trafiony w Brzuch i Nadal Się Uśmiecha.

– Tak w ogóle, to dzięki – powiedziałem.

– Że cię uratowałam?

– Moja ty bohaterko. – Uśmiechnąłem się.

Znowu się zaśmiała.

– Tak. Tak. – Pokiwała głową, jak gdyby zwracała się do zgromadzonej wokół nas niewidzialnej publiczności. – Owszem, chłopak próbuje flirtu. Trafiony w Brzuch i Nadal Się Uśmiecha: legendarna kapela wraca po latach z innym basistą.

– Co takiego?

– Nieważne, Hendrix.

Wciąż miałem kłopot z oddychaniem, po części przez otrzymany cios, trochę zaś dlatego, że siedziałem obok Corrinie, dziewczyny, która za każdym razem, gdy rozmawialiśmy, doprowadzała do eksplozji nerwów w moim brzuchu. Koło jej lewego oka na moment, niczym gwiazdka, pojawiła się drobna, biała blizna, a kiedy zerknęła na mnie i posłała mi porozumiewawczy, ironiczny uśmiech, z powrotem zaparło mi dech w piersiach.

Odwróciła wzrok w stronę plaży i zaczęła wpatrywać się w ciemną dal.

– Ale wiesz, kogo chętnie trafiłabym w brzuch? Tobie’ego „Dupka” Fullera.

Podniosła się i zaczęła podskakiwać tuż przede mną. Dyszała przez rozdęte nozdrza i gotów byłam pomyśleć, że z braku Tobie’ego zaraz uderzy mnie.

– Corrina? – odezwałem się. – Wszystko w porządku?

– Żartujesz? Nie, Hendrix. Nic nie jest w porządku. – Przestała się ruszać i spojrzała na mnie.

– Wiem – odparłem. – Wyglądasz na wkurzoną.

– Nie jestem wkurzona! – krzyknęła. – Tak wyglądam, kiedy jest mi smutno, jasne?

– Jasne – powiedziałem tak spokojnie, jak tylko mogłem. – Jasne. Nie oceniam. Po prostu chciałbym zrobić coś, by ci pomóc.

– Ha. Jasne – odparła. – Wiesz, co by mi teraz mogło pomóc? Samochód.

Chciałabym mieć samochód. Tak jestem wkurwiona, że mam ochotę z miejsca pojechać do tego typu. – Znowu podskakiwała, przy wypowiedzianych słowach wymachując rękami w powietrzu, wymierzając szybkie serie ciosów. – Jezu! Chciałabym móc teraz skorzystać z auta „rodziców”. – Pokazała palcami

cudzysłów: – Pogruchołałam ich zaufanie wobec mnie? Macie, to sobie pogruchoćcie! – powiedziała, wystawiając środkowy palec. Pomachała ręką w powietrzu i obróciła się w stronę plaży. – To nie twój problem, Hendrix, tylko mój. Ty nie musisz jechać. – Zmienacka odwróciła się ku mnie. – Właśnie, a ty? Nie masz przypadkiem samochodu?

– Nie. Auto mamy? Nie, nie możemy go pożyczyć – powiedziałem. – Czy też ja nie mogę.

– Dlaczego? – spytała, ale już widziałem, jak rozpogadza się na twarzy, układając w głowie plan.

– Nie mam prawa jazdy.

Corrina zaśmiała się.

– Hendrix, ty mnie rozbrajasz. Kim ty w ogóle jesteś, człowieku? Kto w Los Angeles nie ma prawa jazdy?

– Ja.

– No dobra, w takim razie czy twoja mama ma samochód, który ja bym mogła poprowadzić? – spytała Corrina.

Koszmarne się przez to podenerwowałem, bo a) owszem, mama miała samochód, niebieski, najnowszy model malutkiego volkswagena beetle, a tak często była w rozjazdach, że prawie w ogóle z niego nie korzystała i zazwyczaj po prostu stał na podjeździe, kłując mnie w oczy, ale zarazem b) nie byłem z tych, co wsiadają za kółko i prują w noc samochodem matki, ponieważ w ogóle nie byłem z tych, co wychodzą i coś robią, no ale przy tym wszystkim było jeszcze c), a nad c), prawdę mówiąc, nie można było przejść do porządku dziennego. C) stanowiła Corrina. Przez całą wiosnę usiłowałem wyobrazić sobie powód, dla które go Corrina miałyby przywrzeć ustami do moich ust, a mając na uwadze wszystko to, co Dziadzio opowiadał mi o swoich wspomnieniach i jak były dla niego ważne, zdałem sobie sprawę, że kiedy będę w jego wieku, nie będę miał czego wspominać, o ile w tej właśnie chwili nie pójde zrobić czegoś na własną rękę. Musiałem zrobić coś, co warte by było wspomnienia. Dlatego też postanowiłem d).

– Owszem – odparłem. – Owszem, ma.

## ROZDZIAŁ 3

### Ucieczka od O'keefe'a

Pół godziny później pędziliśmy Centinela Avenue w kierunku dziesiątki, żeby dopaść Toby'ego. Podobno grał na domówce na wzgórzach. Corrina wyszukała jakąś muzykę w Radiu XM i gdy ta dudniła przez głośniki, mniej więcej co dwunasty oddech myślałem sobie: „A więc to tak się żyje jak Corrina”. Przez resztę czasu zamartwiałem się, że zaraz walniemy w inny samochód albo rząd plastikowych kontenerów na śmieci czy też przelecimy przez przeciwległy pas ruchu, przetniemy płot i rozbijemy się na dachu jednego z domów na zboczu po drugiej stronie ulicy, ponieważ Corrina prowadziła z pedałem gazu wciśniętym w podłogę, wyprzedzając każdy samochód, jaki się nawinął.

– Gdzie my jedziemy?! – krzyknąłem.

Nie odpowiedziała. Przemknęliśmy obok lotniska w Santa Monica i wjechaliśmy na dziesiątkę, a Corrina jeszcze przyspieszyła.

Nie tak wyglądało moje życie. Byłem typem człowieka, który siedzi sam w domu, w półmroku niewielkiego bungalowu i czyta poezję bądź też kontempluje zmieniające się na ścianach odcienie fioletu i niebieskości, podczas gdy oczy przyzwyczajają się do nocy, zaś panująca w pustym domu cisza zaczyna dudnić w głowie. Robiłem zapiski w Rodzinnej Księdze Hendrixów, żeby pewnego dnia istniał dowód na to, że rodzina Hendrixów w ogóle istniała i że w jej historii było też coś dobrego, bo to, co dotychczas znałem – historia pustki w kolorze indygo, historia życia mamy wpływającego w hotelowych pokojach na wyjazdach z pracy, historia wygnania Dziadzia do Calypso, a także Zmarłego Taty, którego twarz znałem wyłącznie ze zdjęć, jakie udało mi się znaleźć albo wykraść ze starych albumów z fotografiami, które matka zakopała na dnie swojej szafy – takie życie zaczynało sprawiać wrażenie pozbawionego życia, nieobecnego, jak szept w mieście pełnym krzyków bez mała czterech milionów ludzi.

Ale tej nocy, prowadząc samochód mojej matki szybciej niż kiedykolwiek dotychczas ktoś go prowadził, przy akompaniamencie ryku jakiejś kapeli pod nazwą Flyleaf, która akurat leciała w radio, Corrina wciągnęła mnie do swojego życia.

Jechaliśmy z opuszczonymi szybami i powietrze dmuchało mi w twarz.

Dobrze się czułem, pędząc pośród świateł miasta i pokrzykując.

– To jaki mamy plan?! – zawołałem. – Kolejny kopniak w jajca?

– Nie. Najpierw muszę go stamtąd wyciągnąć. Na miejscu będzie mnóstwo ludzi.

Zwolniła, kiedy dotarliśmy do rozrośniętej, gęsto zabudowanej dzielnicy u stóp wzgórz przy Outpost Road. Gdzieś tu, za drzewami, żywopłotami i murami, wznosiły się domy trzykrotnie większe od mojego, domy, których wygląd sugerował, że samo ich utrzymanie wymaga zastępów pracowników.

– Skąd znasz to miejsce?

– Kojarzysz tego promotora, Dougiego O’Keefe’a? Non stop organizuje imprezy. Kapele grają, ludzie piją. Czasami im się poszczęści. – Zerknęła na mnie. – W sensie: z kontraktami. – Wspinaliśmy się coraz wyżej po wzgórzu, skręcając z jednej wijącej się szosy w kolejną. – Ale mnie się tu nigdy nie poszczęściło – dodała.

Wreszcie droga skończyła się szerokim ślepym zaułkiem. Samochody stały wszędzie – wzdłuż ulicy, w piachu obok jezdni, zaparkowane w dwóch albo i trzech rzędach w cieniu pod drzewami na zboczu wzgórza. Corrina znalazła miejsce gdzieś powyżej domu. Serce waliło mi tak mocno, że myślałem, że zaraz połamię mi żebra, tym niemniej ruszyłem za nią, bo w miarę jak zbliżaliśmy się do domu Dougiego O’Keefe’a, powtarzałem sobie, że to jest właśnie życie i że tego mi trzeba albo przynajmniej, że tego chyba zawsze pragnąłem.

Dom O’Keefe’a był pogrążony w ciemności i skryty za drzewami i dziwaczными, pokręconymi, zardzewiałymi rzeźbami, lecz podchodząc brukowanym podjazdem w stronę garażu, dostrzegliśmy pojedynczą, dużą lampę halogenową, do połowy zagrzebaną w zaroślach obok podjazdu, stożek przytłumionego światła, które to przygasało, to znowu się rozjaśniało niczym wielkie, samotne oko mrugające z domostwa w jamie na zboczu wzgórza. Po raz pierwszy od chwili, kiedy wsiedliśmy do samochodu mamy, Corrina zwolniła. Krążyła spojrzeniem między garażem a położonym wyżej balkonem – w obydwu miejscach roiło się od ludzi. Gdzieś z głębi domu pulsował ostry, elektryczny rock z folkowo brzmiącymi partiami akordeonu. Raz po raz ponad mętnową muzykę wznosił się niepoważny, piskliwy głos wokalisty.

Corrina podeszła bliżej.

– Dobra – powiedziała, spoglądając na mnie. – Plan wygląda tak: po prostu trzymaj się blisko mnie i za dużo nie mów. Idź za mną, dobrze?

Skinąłem drętwo. Trzymanie języka za zębami nie było dla mnie problemem.

Byłem tak nerwowy, jak gdybym wypił betonowego shake'a, który zdążył wyschnąć i zaczipować mi przełyk.

Corrina lekko poklepała mnie po piersi.

– Po prostu wyluzuj i nic nam nie będzie.

To już było zadanie o wiele trudniejsze.

Złapała mnie pod ramię i wprowadziła do garażu. Wzdłuż sufitu biegł sznur malutkich, białych światełek, wewnątrz zamiast samochodów ustawione były kanapy i krzesła, a ludzie stali i palili albo też rozwalali się kończynami bądź wręcz całym ciałem na oparciach mebli. Corrina powoli prowadziła nas przez tłum, przeciskając się i przepatrując twarze obecnych w pomieszczeniu, zdawała się jednak nikogo nie rozpoznawać. Ja też nikogo nie znałem, a przynajmniej nie rozpoznawałem, aczkolwiek pełno było gości w moim wieku, zresztą podobnie jak i osób starszych. Wiek zdawał się nie odgrywać roli – wszyscy uczestniczyli w tej samej imprezie.

Zapusciliśmy się głębiej w dom i weszliśmy po wąskich schodach prowadzących do salonu nad garażem. W pokoju znajdowały się okna sięgające od podłogi do sufitu, nie sposób było jednak cokolwiek przez nie dojrzeć, bowiem pomieszczenie pełne było spoconych ciał wijących się do dźwięków nowej piosenki, która rozbrzmiewała teraz z głośników, mieszając się z muzyką graną na żywo w innej części budynku. Ten sam zespół, ten sam irytujący akordeon i jeszcze bardziej irytujący głos, ale sama piosenka uwodziła dziwnie chropowatym szeptem, przypominając jakąś narkotyczną kołysankę. Obłoki dymu krążyły nad głowami tańczących, przed oczami przelatowały mi długie naszyjniki z paciorków, złote i srebrne cekiny, lśniąco czarne koszule i kabaretki, a Corrina holowała mnie przez ciemny salon z lampionami przypominającymi wieże światła w odcieniu tytoniu. Wszystko przesiąknięte było fajnością, ja zaś cieszyłem się, że kręcone włosy zasłaniają mi oczy, przez co nikt nie zobaczy, jak bardzo jestem przerażony.

Corrina pociągnęła mnie naokoło kanapy z mrowiącymi się na niej ciałami i przystanęła przy czarnej szybie jednego z okien. Wskazała na werandę biegnącą wokół salonu. W oddali światła śródmieścia Los Angeles wyglądały jak odwrócone do góry nogami, rozgwieżdżone niebo, które rozlało się po dolinie.

– To on – powiedziała, wskazując na mężczyznę w śnieżnobiałym garniturze i czarnym tiszercie. Przypominający łańcuch choinkowy wąsik i kozia bródka podskakiwały mu wokół ust w miarę prowadzonej za szkłem bezgłośnej rozmowy.

– To nie Toby – powiedziałem.

– Gdzie tam. – Corrina zmarszczyła brwi. – To Dougie O’Keefe. Gość, który spotkał mnie z tuzin razy i nadal sądzi, że jestem nikim. Dałam facetowi moje demo, słyszałam, jak mówi komuś, że mu się spodobało, a kiedy potem znowu się z nim widziałam, potraktował mnie, jakbym była jakaś niewidzialna, spoglądając przeze mnie na dziewczyny stojące za moimi plecami z tekstem „No dobra, to która mi pomoże zrobić z siebie nową Iggy Azaleę?”.

– Kogo?

– Boże, Hendrix. Ty się musisz doksztalić. – Corrina przez moment przyglądała się Dougiemu O’Keefe’owi, ze smutkiem wyginając usta. – Mówię ci. Zupełnie jakby mnie tam nie było. Wgapiał się tylko w te dwie megawysokie, megaszczupłe białe laski za mną. – Odwróciła się od okna. – A wiesz, co jest w tym najgłupsze? Jedna z nich strzeliła sobie afrykańskie warkoczyki w wersji jasny blond.

Pokręciła głową i beze mnie ruszyła w stronę kuchni. Podążyłem za nią, poprowadziła mnie za długi blat kuchenny, który przemieniono w bar, gdzie mężczyzna w jasnej, zupełnie rozpiętej lawendowej koszuli rzucał przez ramię butelki z alkoholem, łapał je drugą ręką i przetaczał w dłoni, by następnie ponalewać szoty. Nie spotykał go przy tym żaden aplauz, jak gdyby wszystko, co robił, było najzwyczajniejsze w świecie.

W korytarzu za kuchnią znajdowały się drzwi wychodzące na schody, które prowadziły do pomieszczenia, skąd ryczała muzyka grana na żywo. Było to coś w rodzaju podziemnego muzycznego bunkra, bo dopiero kiedy się tam znaleźliśmy, zdałem sobie sprawę, jak głośno gra zespół. Chciałem to powiedzieć Corrinie, ona jednak nie była w stanie mnie usłyszeć, a do tego uniosła rękę, bo co chwila nachylałem się zbyt blisko jej ucha. Pomieszczenie było za małe, by można w nim tańczyć, było w nim zbyt wiele osób, na niewielkiej scenie w głębi też panował tłok – klawisze, perkusja, dwa akordeony, gitara basowa, gitara prowadząca, sami muzycy, a do tego facet ustawiony z przodu, który wyglądał jak mały, chudy drwal z zaczątkami brody. Miał na sobie ogrodniczki, a pod nimi koszulę w kratę. Ciemne włosy wystylizował na rozczochraną po przebudzeniu czuprynę, która nie ruszała się, gdy skakał i rzucał się wkoło, jak gdyby ktoś co chwila walił go pięścią w brzuch.

Kojarzyłem go ze szkoły: Toby Fuller, osiemnaście lat, jesienią miał iść do California Institute of the Arts.

Sprawiał, że pomieszczenie dygotało od kołyszących się rąk i krzyków,

w których prym wiodły dwa rzędy dziewczyn tłoczących się tuż przy scenie. Było oczywiste, że tańczy właśnie dla nich, bo kiedy przestał i zakołysał statywem mikrofonu w przód i w tył jak wahadłem, muzyka zwolniła, on zaś uciszył tłum, przesunął wzrokiem tam i z powrotem po rzędzie dziewczyn i szeptem im wyśpiewał: „Wybacz i mi odpuść / Ja tylko powiedziałem, że cholernie dobry ze mnie kochanek”. Następnie odrzucił głowę w tył i krzyknął: „Bo tak jest!”, a zespół wznowił swój oszalały łomot.

Corrina stała pod ścianą w pobliżu schodów, obejmując się mocno w piersiach i wpatrując się w niego. Gdy tak patrzyłem na tego kandydata na drwala, jak ciska się po scenie w czerwonych conversach, byłem w stanie pojąć, co takiego widzą w nim dziewczyny. Lecz kiedy piosenka dobiegła końca i zaczął coś mówić do mikrofonu, podczas gdy reszta zespołu majstrowała przy instrumentach, przygotowując się do kolejnego numeru, Corrina wbrew moim przewidywaniom nie przepchnęła się do przodu. Przecisnęła się natomiast na bok, gdzie znajdowała się konsola dźwiękowca. Stojący tam facet rozmawiał z jedną z dziewczyn pod sceną, a Corrina zawisała nad konsolą, przyglądając jej się przez moment, po czym kilkoma szybkimi ruchami poprzestawiała jakieś gałki i przełączniki. Rozległ się głośny zgrzyt sprzężenia i wtem wszystkie instrumenty ucichły. Światła na scenie ciągle świeciły, a goście z kapeli zaczęli naraz machać w stronę stanowiska realizatora dźwięku. Nie widzieli, kto tam stoi, a nim dźwiękowiec powrócił na miejsce, Corrina chwyciła podłączony do konsoli mikrofon.

– Toby Fuller – oznajmiła przez mikrofon – jesteś kłamcą.

Przestał machać i stanął jak wryty, zniecka zdjęty przerażeniem, ponieważ słowa Corrinę rozbrzmiewały echem z głośników w całym domu.

– Przedwcześnie tryskasz! Coś o tym wiem. Nie musicie mi wierzyć, sami go spytajcie. W końcu wszystkim rozpowiada, że ze sobą spaliśmy!

W pomieszczeniu zapanowała cisza, jak gdyby wyssało zeń całe powietrze, po czym rozległy się śmiechy, ludzie zaczęli krzyczeć, a drobny, wiewiórkowaty dźwiękowiec przepchnął się z powrotem ku konsolce. Corrina usiłowała wydostać się z za niej, złapał ją jednak za ramię i przyciągnął do siebie. Potknęła się, głowa poleciała jej do przodu i uderzyła w konsolę. Skoczyłem w ich stronę, lecz jako że wokoło rozpętało się istne wariatkowo, niechcący wpadłem na innego faceta, przez co półlitrowe piwo z plastikowego kubka w jego dłoni chlusnęło na sprzęt. Dało się słyszeć kilka elektrycznych trzasków i syków. Dźwiękowiec puścił Corrinę i choć ta nie odzyskała równowagi, pociągnąłem ją w moją stronę i poprowadziłem nas z powrotem do schodów. Utorowałem drogę

pośród ludzi, którzy w panice zbiegali w dół, lecz momentalnie przyciśnięto nas do ściany. Obydwoje obejrzeliliśmy się w stronę Toby'ego, który stał teraz sam na scenie z rękoma spuszczoneymi wzdłuż ciała, wpatrując się w tłum i starając się odszukać Corrinę. Na pewno wiedział, że to ona. Jej głosu nie dawało się zapomnieć.

Pomknęliśmy schodami w górę tak szybko, jak tylko się dało. Tłusty półksiężyc krwi zawijał spod nosa Corriny ku kącikowi jej ust, ale nie sądzę, by to w ogóle zauważyła. Kiedy powróciliśmy na parter domu i spostrzeżliśmy, że tłum rozchodzi się zdezorientowany jak wypuszczone z zagrody stado krów, Corrina wsunęła się przede mnie. Chwyła mnie za rękę i przytrzymała ją przy sobie, przyciskając do pleców, jak gdybym ją obejmował, choć w rzeczywistości to ona zmuszała mnie, bym ją objął. Ruszyliśmy naprzód niczym jakieś dziwne, czworonogie zwierzę.

– No, chodź, Hendrix – powiedziała. – Osłaniaj mnie, ale się sprężaj!

Nagle zdałem sobie sprawę, że wykorzystuje mnie jako tarczę, jak gdyby wiedziała, co zaraz nastąpi. Ponad zbiorowiskiem za naszymi plecami dało się słyszeć wołanie Toby'ego.

– Corrina?! Corrina?! Gdzie ty, dziewczyno, u diabła, jesteś?! No, pokaż się!

Wykrzykiwał jej imię, my zaś byliśmy coraz bliżej drzwi frontowych i już prawie wychodziliśmy na podjazd, kiedy Corrina schyliła się pod moją pachę i odkrzyknęła:

– Nie jestem kolejną anonimową laską, którą możesz wydymać i zapomnieć, Toby „Dwie Sekundy i Po Sprawie” Fullerze!

Nie mogłem się powstrzymać i odwróciłem się, chcąc zobaczyć jego minę.

I całe szczęście, bo w innym przypadku pewnie nie wiedziałbym, kiedy się schylić, co też uczyniłem, ściągając ku podłodze Corrinę, akurat kiedy najpierw jedna, a zaraz druga butelka piwa przefrunęły tuż obok nas, trafiając jedna we framugę, druga zaś w terakotę przed domem.

Corrina wybuchła śmiechem.

– Do ciebie też mówię, O'Keefe! Teraz to już mnie zapamiętasz, stary zboku!

Toby Dwusekundowiec cisnął kolejną butelką, która uderzyła w ścianę obok nas. Popchnąłem Corrinę do przodu i popędziliśmy podjazdem, przecięliśmy zaułek i po pylistym zboczku wbiegliśmy na przebiegającą górą ulicę, gdzie stał samochód. Corrina odpaliła małe, niebieskie autko i ze smugą krwi rozmazaną wokół ust i na brodzie popędziła szosą w górę, z każdym zakrętem oddalając się od imprezy O'Keefe'a i wrzawy narastającego tam chaosu.



## ROZDZIAŁ 4

### Każdy nikt jest kimś

Corrina z zatrważającą prędkością pędziła krętą szosą między wzgórzami, aż zdołałem ją przekonać, że nikt za nami nie jedzie i że udało nam się uciec. W końcu zwolniła, pogmerła w panelu radia, znalazła piosenkę, którą lubiła, i inną drogą ruszyła z powrotem do miasta. Kiwała głową do rytmu, tak jakby działało to na nią kojąco, lecz nawet przyjemna melodia i owiewająca mi twarz ciepła bryza nie były w stanie mnie uspokoić.

– Możemy się zatrzymać? – spytałem.

Corrina posłała mi zniesmaczone spojrzenie spod półprzymkniętych powiek.

– Przynajmniej – ciągnąłem – powinniśmy coś z tym zrobić.

Krew dalej spływała jej z podbródka na koszulkę.

– W porządku – odparła, znowu przyspieszając. – Znam jedno takie miejsce.

Gwałtownie skręciła w Mulholland Drive, pokonała ciasną agrafkę i zjechała z drogi po przeciwnej stronie jezdni od żelaznego ogrodzenia. Nigdy tam nie byłem, ale kiedy Corrina zgasiła silnik i siedzieliśmy, łapiąc oddech i wsłuchując się we wzbierającą ciszę, zdałem sobie sprawę, że znajdujemy się gdzieś powyżej Hollywood Bowl. W schowku na rękawiczki znalazłem chusteczki. Odchyliła fotel, przyłożyła zwitek do nosa i zamknęła oczy.

– No, to teraz już naprawdę jestem nikim – zauważyła.

– Co? To było niesamowite. Tak mu z zaskoczenia przyłożyłaś, że pewnie jeszcze kręci się w miejscu, usiłując ogarnąć swoje życie.

– Eh. Nie rozśmieszaj mnie, Hendrix. Ja tu krwawię.

– No tak. Skoro już o tym mowa – wszystko OK?

– Będzie.

Tak naprawdę jednak paskudnie oberwała. Sportowiec był ze mnie żaden, nawet na szkolnym boisku byłem ostatnią oferą, miałem jednak pewność, że masa ludzi po takim ciosie w twarz by się poddała. Być może napędzała ją adrenalina – albo też coś jeszcze.

– To on jest teraz nikim.

– Hendrix, nie obraż się, ale ty nic tu nie kapujesz.

Przestała zwracać na mnie uwagę i nie otwierała oczu, toteż już jej nie przeszkadzałem. Nie miałem pojęcia, o czym myśli, ale o ile ten wieczór można

było uznać za jakąkolwiek wskazówkę co do tego, jak wyglądało codzienne życie Corrinie, to uznałem, że co noc potrzebuje przynajmniej dwunastu godzin snu, aby w ogóle się pozbierać. Moje życie było równie ekscytujące co zasychające na podszewkach butów błoto, a przez trzy godziny spędzone z Corriną ubawiłem się bardziej niż przez cały miniony rok.

Tym niemniej upór, z jakim stwierdziła, że jest „nikim”, sprawił, że w gardle utworzyła mi się sucha gęsia skórka, pomyślałem bowiem o Dziadziu. Ciągłe mówienie o sobie „nikt”, „nikt”, tak jakby sądziła, że znika z tego świata, ale tak naprawdę to Dziadzio był nikim, bo z nim było na odwrót – był coraz to bardziej samotny w otaczającym go świecie, który szybko zanikał.

Kiedy Corrina powstrzymała krwotok z nosa, schowała chusteczki do kieszeni i odwróciła się ode mnie, spoglądając w stronę drzew i odległych punkcików wielkomiejskich świateł, rozsianych pośród gęstych gałęzi sosen niczym lampki choinkowe.

– Hendrix – odezwała się w końcu. – Nie przeszkadza ci cisza, co?

– Przywykłem do niej – odparłem. – To codzienny element mojego życia. Nie wiem, czy pamiętasz, jak na zajęciach czytałem taki wiersz o czymś, co nazwałem Wielkim, Pustym Błękitem?

– Pamiętam – przyznała. Wciąż była do mnie odwrócona plecami, jednym ramieniem wtulając się w oparcie, podczas gdy drugie z każdym jej oddechem powoli podnosiło się i opadało. Zawahała się, po czym odwróciła się i spojrzała na mnie tym swoim spojrzeniem z ukosa, które sprawiało, że w płucach brakło mi tchu. – Był smutny, był piękny, ale pomysł całkowicie zerząłeś od Milesa Davisa.

Oszło mi. Nawet nie sądziłem, że słuchała mnie wtedy w klasie. Poczulem, że naprawdę jestem kimś z krwi i kości, a nie tylko zagubioną na wietrze zbieraniną myśli.

– Od kogo? – spytałem, usiłując zamaskować uśmiech.

Zaśmiała się.

– Hendrix, fajne jest to, że za diabła nie potrafisz kłamać.

I miała rację. W obydwu kwestiach. Wcale się jakoś nie znałem na muzyce, ale Dziadzio opowiedział mi kiedyś historię o Milesie Davisie, która utkwiała mi w pamięci. Powiedział mi, że Davis był geniuszem nie tylko dlatego, że potrafił grać i przewidzieć idealną nutę, ale też dlatego, że potrafił grać ciszą, wiedział, jak pozwolić ciszy płynąć i płynąć, wzbogacając melodię i wypełniając ją napięciem między dźwiękiem a ciszą, ja zaś pomyślałem, że powinienem wykorzystać to w wierszu, który pisałem o życiu w domu, gdzie tak często

przemieszczałem się po pustych pokojach, zastanawiając się, jakby to było, gdyby towarzyszył mi głos innej osoby. „Jakże ciepło może brzmieć głos, kiedy wznosi się ponad ciszę, gdy czekałeś nań i czekałeś”, napisałem.

– Hendrix – odezwała się Corrina. – Podobał mi się. Wybacz, że wtedy ci nie powiedziałam.

– Nic się nie stało – odparłem. Nikt zresztą nie powiedział. Większość klasy czyniła bardziej lub mniej zawołowane aluzje do zażywania narkotyków lub uprawiania seksu, albo przynajmniej przechwalała się, jak gdyby o narkotykach czy seksie wiedziała wszystko.

– A może chcesz zobaczyć coś naprawdę pięknego? – spytała.

Chciałem coś powiedzieć, ale zbyt szybko się bałem, po czym jeszcze bardziej się przestraszyłem, że będzie po mnie widać, że się boję, bo skoro nie potrafiłem kłamać, to pewnie wszystko dawało mi się wyczytać z twarzy.

Powiedziałem więc pierwsze, co przyszło mi do głowy.

– Możesz najpierw otrzeć z podbródka resztkę krwi? Bo wyglądasz jak wampir.

Roześmiała się, a cały samochód się zatrzęsł, choć może w rzeczywistości zadrgał tylko mój żołądek, kiedy rozerwał się w nim kłębek nerwów.

– Chodźmy – rzuciła, otwierając drzwi samochodu. – Nie bój się.

Zaraz jednak odwróciła się, wystawiła szpony i zawarczała:

– Tylko rozszarpie ci gardło!

Zatrzasnęła za sobą drzwi i przebiegła przez jezdnię w mrok otaczający ogrodzenie. Wzięłem głęboki wdech i ruszyłem za nią.

Brama była zamknięta, lecz przemknęliśmy wzdłuż płotu aż do miejsca, gdzie ogrodzenie się obniżało i łatwiej było je pokonać, po czym przez ciemny plac parkingowy przeszliśmy ku krótkim, drewnianym schodom. Było już tam trochę ludzi i choć nie wydawało się, by ktokolwiek nas kojarzył albo widział na imprezie, weszliśmy po schodach, po czym Corrina pociągnęła mnie na pylistą ścieżkę i przekradliśmy się koło jakichś chaszczy, z dala od pozostałych, by po chwili samotnie siedzieć na brzegu urwiska i z wiejącym w twarz wiatrem spoglądać na rozciągającą się poniżej dolinę. Jezioro świateł Los Angeles rozciągało się pod nami, a rozprysnięte u góry gwiazdy były dlań biało-niebieskim odbiciem. Rzeka tylnych świateł pozycyjnych wylewała się z miasta ku podnóżu wzgórz, ja zaś pragnąłem, by zniknęła, bo zdawało się, że tylko tyle nas jeszcze z tym miastem wiązało – chciałem wierzyć, że możemy odpłynąć gdzieś zupełnie indziej.

– Corrina – odezwał się.

– Słuchaj, Hendrix, moglibyśmy tak po prostu posiedzieć jeszcze chwilę w milczeniu? Potrzebuję tego.

Skinąłem głową i na powrót wyjrzałem na dolinę, starając się wypatrzeć dom, Venice albo chociaż ocean, ale wszystko to było zbyt daleko. Nie żebym nigdy dotąd nie był poza Los Angeles – ledwie rok wcześniej spędziłem z Dziadziem ileś weekendów na wędrówkach po górach San Gabriel, a nawet w Parku Narodowym Sequoia na północy – ale były to raczej wyjątki. Właściwie to przez całe życie poruszałem się w spowijającej tę dolinę mgłę, a teraz, kiedy siedziałem z Corriną na urwisku, rozpościerające się na pięciuset milach kwadratowych miasto wydawało się małe.

Całe moje życie wydawało się małe. Wiał wiatr, z drogi na wzgórzach za nami co jakiś czas słychać było samotny klakson samochodu, lecz poza tym w niewidzialnym bezmiarze ponad miastem, w ogromnej przestrzeni dzielącej obie gwiazdy, panowała cisza. Mógłbym na tym wzgórzu krzyczeć ile sił w płucach, a mój krzyk wzniósłby się na moment, by zaraz nieuchronnie zatonać w niezgłębionej ciszy. Być może jednak i to byłoby piękne, zamiast robić mnóstwo hałasu w niewielkim pokoiku, wydać z siebie jeden wrzask, w który włoży się pełnię energii – ot, muzyka, która ma znaczenie, bo jest świadoma ciszy, która ją otacza.

Chciałem spytać Corrinę, co o tym myśli, lecz głowę miała spuszczoną między kolanami i niczym zwinięta, cienista kula pod przysadzistym pniem drzewa delikatnie bujała się do przodu i w tył. Byłem na tyle blisko, że słyszałem, jak oddycha przez nos.

– Corrina – odezwałem się. – Nadal chcesz zachować ciszę?

– Teraz już wiesz, jaka ze mnie porażka – powiedziała ku ziemi. – Aż mnie dziwi, że jeszcze tu jesteś.

– Oczywiście, że jeszcze tu jestem.

– Nie mów tak. Proszę. Ludzie idą sobie, kiedy tylko mogą. Spójrzmy prawdzie w oczy. Ludzie po prostu wstają i wynoszą się, kiedy tylko uznają, że to możliwe.

Nie mogła o tym wiedzieć, ale brzmiała jak dalekie echo mojej matki. Coś podobnego mama powiedziała o Zmarłym Tacie, o nietacie, którym był przed śmiercią, czy też przynajmniej o niemężu. Najczęściej mało o nim mówiła, a jeżeli już, to tym odległym tonem znaczącym „nie chcę o tym rozmawiać”, niekiedy jednak gniew przebijał przez nią niczym tryskająca ze skał woda. „Cholerny leń” – wyrwało jej się kiedyś. „Odszedł, a potem sobie umarł. Skoro już chciał odejść, to mógł się przynajmniej pożegnać”.

– Obiecaliśmy to sobie – ciągnęła Corrina. – Że nikomu nic nie powiemy. – Z trudem przełknęła ślinę. – To był pomysł Toby’ego, ale ja się zgodziłam. Tajemnica. Też tego chciałam. W porządku. Przespaliśmy się, ale to miał być sekret. O to w ogóle chodziło. A potem... – Zamilkła. – Wiesz, jakie to uczucie? – mówiła dalej. – Jak wszystkim rozpowiedział? Zupełnie jakby wszyscy wtedy stali wokół auta i patrzyli. Dupek. To nie było dla nich. To miało być tylko dla nas. Nasz sekret.

– Porąbane.

– No, i do tego. takie cholernie typowe. Powinam wiedzieć, że tak będzie. – Wzięła głęboki wdech, a kiedy się znowu odezwała, zionęła słowami niczym żywym ogniem. – Za każdym razem, jak komuś zaufam, to ten ktoś po prostu wstaje i sobie idzie. Za każdym razem. Czemu?

Corrina znowu podniosła głowę i zauważyłem, że po policzkach spływają jej strużki łez. Spojrzała na mnie tak, jak gdyby otworzyła okienko w piersi i ukazała mi w nim bijące serce, jak gdyby mówiąc: „Proszę, proszę, zaopiekuj się nim, sama nie dam rady”. Ale to spojrzenie w jej oczach, to drżenie ust, ta zmarszczka na czole po chwili zniknęły. Pociągnęła nosem i otarła twarz. Znowu była twarda. Zajęło jej to ledwie chwilę. Ponownie obróciła się w głąz.

Położyłem jej rękę na ramieniu.

– Wszystko w porządku?

– Nie, jasne, że nie. Moje życie to jeden wielki pierdolnik.

– To tak jak u mnie.

– Nie, Hendrix – odparła. – Nie tak jak moje. Czuję się, jakbym była w więzieniu, ale nie zamknięta w jakimś lochu, to coś gorszego, jak gdybym mogła iść, gdzie tylko chcę, ale i tak od wszystkich dookoła odgradzały mnie kraty.

– Ale przecież jesteś najbardziej wolną osobą, jaką kiedykolwiek znałem. Zupełnie jakby zasady ciebie nie dotyczyły. Przecież ty dopiero co wykończyłaś Toby’ego.

– No tak, tyle że teraz już nigdy nie mogę wrócić do O’Keefe’a. A to był dla mnie ważny kontakt, Hendrix. Nie mogę pójść już nigdzie w tym mieście. Wierz mi. Ludzie mówią „Jak fajnie, Los Angeles jest takie ogromne”, ale tak naprawdę to takie miasto jak inne. Małe. Znasz, kogo znasz, a kto cię nienawidzi, ten cię nienawidzi. I tyle.

– Daj spokój. Jesteś ponad to. Właśnie skończyłaś szkołę. Możesz zrobić, co tylko zechcesz.

– Sęk w tym, że nie. Mam siedemnaście lat. Do osiemnastki zależę

od rodziców. Kiedy byłam w przedszkolu, uznali, że jestem genialna i przepchnęli mnie od razu do drugiej klasy. Ale nie byłam. Po prostu miałam rodziców, którzy wcześniej nauczyli mnie czytać. Okazuje się, że do geniusza mi daleko. Naprawdę daleko.

– Ale, sam nie wiem, potrafisz wstać i coś zdziałać jak nikt, kogo znam.

– Nie mów tak. Nie jestem jakaś wyjątkowa. Tarzam się w gnoju jak wszyscy.  
– Podniosła się i przeszła obok mnie na drugi kraniec naszego kawałka ziemi nad urwiskiem. – Musisz częściej wychodzić – ciągnęła, wskazując na miasto. – Zobaczyć trochę świata, te rzeczy. No, pokręcić się trochę. To miasto to wrak. Jak wszystko. Szkoła. Cały ten krajobraz. Wrak. Muszę się stąd wyrwać.

Podniosłem się. Stanęła bliżej mnie. Widziałem, że się waha, czy mi coś powiedzieć.

– Wysyłają mnie na roczną podyplomówkę do Rosewood – oznajmiła w końcu. – Kojarzysz tę „Szkołę dla Poszkodowanych Emocjonalnie”? No, to właśnie tam.

– A nie możesz po prostu pójść na studia?

– Mój tata, co to uważa, że czyta w myślach jak Profesor X, ma lepszy pomysł. Mówi, że wie, co dla mnie najlepsze. Jest psychologiem, to sobie wyobraź. – Pokręciła głową. – Widziałam moją teczkę. Dzisiaj rano mieliśmy megakłótnię, niby żadna nowość, ale kiedy wyszedł, zakradłam się do jego gabinetu i ją sobie zabrałam. I tyle – niby cała ja upchana w cienką, zwykłą, szarą kopertę. Wciąż jeszcze mam ją w futerał na gitarę. Całe moje życie wpakowane w dumny futerał. Zgadza się – powiedziała z emfazą. – Zgadza się, mój cholerny ojciec założył sobie cholerną teczkę na swoją własną cholerną córkę.

Odeszła ode mnie i wyjrzała na dolinę. Zacisnęła pięści i wrzasnęła.

– Spierdalałam stąd – powiedziała, gdy skończyła krzyczeć. – Tutaj jestem nikim. Nikim dla Toby’ego, nikim dla O’Keefe’a. Wyjeżdżam. Nie mogę tu zostać. Muszę wyjechać. – Skinęła głową i powtórzyła. – Wyjeżdżam. Po prostu wyjeżdżam. – Narastający w niej gniew sprawił, że poczułem gęsią skórę. – A dla taty jestem po prostu kolejnym zdiagnozowanym przypadkiem w teczce. Ja nie jestem teczką, Hendrix. Nie chcę być czyjaś teczką.

Kiedy tak stała, usiłując złapać oddech, i wyglądała na rozchodzące się po mieście w dole fale światła, nie mogłem nie pomyśleć o Dziadziu, który wyglądał na Pacyfik i bał się, że choroba także jego wymazuje, że za jej sprawą on i Babcia staną się nikim, ale nie byli nikim, bo każdy nikt jest kimś – człowiekiem z opowieścią, która dowodzi, że żyje.

– Nie jesteś nikim, Corrino – powiedziałem.

– W sumie nieważne, co powiesz. Już postanowiłam. Wyjeżdżam.

– Dokąd pojedziesz? – spytałem. Tymczasem trybiki już się obracały, zaskakiwały, pomysł nabierał kształtu.

– Nie wiem.

– A jak się tam dostaniesz?

Kiedy mówiła, stawiała kroki i wymachiwała ramionami ponad rozpościerającą się pod nami pustką. W jej ruchach była pewna zaciekłość, pod jej frustracją pulsowała magnetyczna determinacja.

– Nie wiem. Pociągiem. Autobusem. Jestem splukana. Nie wiem. Złapię stopa.

– To beznadziejny pomysł.

– Nie próbuj mnie powstrzymać, Hendrix. Ja wyjeżdżam.

– Nie próbuję. Wręcz przeciwnie. Chodzi mi o to, żebyś mnie ze sobą zabrała. Corrina przystanęła i spojrzała na mnie. Roześmiała się.

– Co? Nie.

– Mówię serio – zapewniłem. – Weź mnie ze sobą.

– Nie nadajesz się na stopa.

– Prawda. Ale wiesz co? Ty też nie. – Zbliżyłem się do niej i zaczerpnąłem powietrza. – Weź auto mojej matki.

– Co?

– Nie ma jej. Już dzisiaj je sobie pożyczyliśmy. Zrobmy to raz jeszcze. Dowie się dopiero, jak wróci.

Corrina uniosła brwi.

– Weź jej samochód. Wynoś się stąd. Ale musisz mnie zabrać ze sobą.

Uśmiechnęła się, jak gdyby już zaczynała rozważać taki wariant.

– Mam pomysł. – Nie byłem do końca pewien, czy wiem, co robię, po prostu czułem się, jak gdyby wyrzuciło mnie na brzeg, gdzie byli też Corrino oraz Dziadzio, i że wszyscy musieliśmy wstać i pójść dokądś razem.

– Słuchaj, Hendrix. Nie myśl sobie tylko, że możesz mnie uratować. Wcale mi tego nie trzeba.

– Nie myślę – odparłem. – Wręcz przeciwnie. To ja potrzebuję twojej pomocy.

Może to dlatego, że jestem ostatnim idiotą, albo że zamiast maminsynkiem, jestem dziadzimsynkiem, albo też dlatego, że w przeciwieństwie do większości znanych mi dzieciaków nie chciałem uciec, gdzie pieprz rośnie od swojej rodziny, tylko uchwycić się tych skrawków, które z niej pozostały, zanim znikną

– w każdym razie nie mogłem opędzić się od myśli, że to być może moja jedyna szansa, by pomóc Dziadziowi.

– Muszę się dostać do Ithaki w stanie Nowy Jork – oznajmiłem.

– Co?

– Weźmiemy wóz mojej matki i jakby upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu, nie? Ty mnie zabierzesz do Ithaki, a ja cię wyrwę z Los Angeles. Będziesz na drugim krańcu kraju, a stamtąd już możesz sobie pojechać, dokąd zechcesz.

– Hendrix – powoli odezwała się Corrina. – Czy ty mówisz serio?

– Serio – odparłem. – Tak serio jak wtedy o Wielkim, Pustym Błękicie.

Corrina skinęła głową. W jej uśmiechu dostrzegłem jej własną odmianę szaleństwa.

– Coś jeszcze?

– Owszem – stwierdziłem. – Musimy zabrać mojego dziadka.

Roześmiała się i odwróciła na pięcie.

– Zabieramy twojego dziadka? Ekstra! – Spojrzała z powrotem na mnie. – O mój Boże. Ty tak na poważnie?

– Tak.

Corrina ruszyła w moją stronę, ja zaś poczułem emanujące od niej ciepło. Możliwe, że ze mnie też coś biło. Stała tuż przede mną.

– Czyli pomożesz mi, jeżeli ja pomogę tobie? I tyle?

– Tyle.

– No to jasne. – Corrina stuknęła mnie w klatkę piersiową, po czym obróciła się w miejscu i wyjrzała na Los Angeles. – Spakuj się tej nocy, Hendrix, bo jutro wyruszamy w drogę.



## ROZDZIAŁ 5

### Wielki, pusty błękit

Tamtej nocy zasnąłem, powtarzając sobie słowa Corrinny: „Jutro wyr uszamy w drogę”, raz za razem przekonując siebie samego, że jestem podekscytowany, ale to było kłamstwo, albowiem w środku nocy przebudziłem się z koszmaru prawdziwszego niż jakakolwiek mantra, jaką mógłbym sobie powtarzać.

Jak zawsze to samo: dryfuję na niewielkiej tratwie, wokoło mając wodę, a nad sobą mrok, żadnego księżycy ani gwiazd, a jedynie kołysanie fal i skrzywienie drewna. Ciągnie się za mną jakiś wstrętny smród. Coś się czai i na mnie czeka.

W górę i w dół, w górę i w dół, fale rozciągają się i opadają, ja zaś czuję, jak coś nabrzmiewa, jak zbiera się na burzę, lecz nie z nieba, a z głębin, gdy wtem, niczym wyskakujący wieloryb, nad powierzchnię wody podnoszą się ogromna, włochata głowa i ramiona mojego ojca, jak gdyby się gdzieś wspinał. Woda i wodorosty spływają mu po długich włosach i po brodzie, oczy ma jak błyskawice w środku nocy, jest dziesięć razy większy od zwykłego człowieka i wiem, że przybył, by roztrzaskać moją tratwę na kawałki i wciągnąć mnie w mroczne głębiny. I właśnie w chwili, gdy tratwa pęka, a ja tonę, ściskany w żebrach przez jego gargantuiczne palce, które wyduszają mi powietrze z piersi – budzę się.

Padłem spać w salonie, za poduszkę biorąc swoją torbę, a Stary Grzmot był obok i trącał mnie nosem, lizał po twarzy i przypominał mi, że wciąż jeszcze żyję, jak zresztą zwykł to czynić, kiedy budziłem się z tego koszmaru.

Mój dom, Wielki, Pusty Błękit, o ścianach barwy ciemnej wody, wypełniał ciężar nieobecności Zmarłego Taty, który władał nami i nas prześladował niczym jakiś rozgniewany bóg czy też duch. Dlatego właśnie uważałem, że duchy istnieją. Ale nie jakieś durne zmyły w prześcieradłach czy też niewiarygodne, błyszczące, przeświecające wizerunki ludzkie. Takie prawdziwe duchy: duch to wciąż obecna nieobecność, to kolosalny ciężar, jaki pozostaje po osobie, która odeszła. Taki duch Zmarłego Taty wisiał nade mną dosłownie wszędzie, nawet w przerwach między słowami wypowiedzianymi przez mamę, a o największy strach przyprawiał mnie w tych pytaniach bez odpowiedzi, jakie unosiły się w ciszy Wielkiego, Pustego Błękitu.

Tak niewiele wiedziałem o moim Zmarłym Tacie. Tak właściwie

to wiedziałem tylko to, jak umarł, z dala od nas, aż w Ithace, skąd pochodził. Pijany kierowca, którym zarzuciło, dojechał do domu, pogrążony we własnej mgle, podczas gdy Zmarły Tata wypadł z mostu do czarnej rzeki, samochód niczym trumna uniośł jego ciało, zaś jego serce uniosło wszystko, czego chciałem się dowiedzieć, gdzieś w głębinie.

Miałem do Zmarłego Taty pytania – Dlaczego odszedłeś? Skąd się tam wzięłeś? Czy zamierzałeś w ogóle wrócić? – ale były to ledwie smużki dymu zagubionego we mgle jego milczenia, ponieważ nikt nie miał mi na nie odpowiedzieć. Ani mama. Ani Dziadzio. „Nie ma co opowiadać” – mówiła mama. „Postanowił, że odejdzie, to odszedł. A kiedy odszedł, umarł – drań”. A Dziadzio mówił jeszcze mniej, choć z racji tego, że mnie wychował, był mi jak ojciec, przez co z kolei w pewien przygnębiający sposób ja byłem mu niczym drugi syn. A przynajmniej tak się czułem – jak syn, który został, syn, który żyje. Co niby miałem z tym zrobić?

Kiedy więc moje serce w końcu się uspokoiło, a Stary Grzmot zwinął się w kłębek i do mnie przytulił, ponownie zapadłem w sen, mając za poduszkę torbę podróżną. Obudziłem się nad ranem – i wszystko uległo zmianie.

Słońce przesunęło się po frontowym oknie, uderzając w krawędzie kryształowych szyb regału i rozświetlając salon niczym gwiazdna konstelacja. Od wyprowadzki Dziadzia dom jeszcze nigdy nie wydawał się tak żółty i przytulny. Nawet Stary Grzmot to zauważył. Leżał na podłodze z zamkniętymi oczami i wyciągniętymi łapami i grzbietem. Podrapałem go po głowie, pod brodą i u nasady nosa, po czym położyłem się obok niego i tak już zostaliśmy, zwinięci w ciepłe słońca, do czasu aż z drugiego końca pokoju dobiegł mnie czyjś głos mówiący:

– Świetnie. Wstałeś. Zbierajmy się.

Niemal dostałem ataku serca, bo z miejsca poznałem, że to Corrina i przejąłem się, że na pewno zasnęłam w samych bokserkach i że zanim sam się obudziłem, poranna rakietka zdążyła mi stanąć w pozycji do startu, ale na szczęście byłem w ubraniu, a przez całą nocą dręczyło mnie zbyt wiele niepokojów, tak więc organizm wprowadził się w tryb zachowawczy.

Corrina odwiozła mnie późną nocą do domu, zostawiła samochód na podjeździe i poszła do siebie, podczas gdy ja się pakowałem. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że wzięła ze sobą klucze, aż do czasu, gdy zobaczyłem, że kręci nimi na palcu. Siedziała w białym fotelu przy oknie i wyglądała, jakby była gotowa na kolejny koncert – miała te same buty i jeansy, nową, czystą, białą koszulkę, zaś włosy związała ciemną bandaną. Wpatrywała się we mnie.

- Gotowy?
- Muszę wziąć prysznic.
- Pospiesz się!

Stary Grzmot pierwszy się poderwał i szczerknął, ciesząc się na to, co miało właśnie nadejść, ja zaś podniosłem się i ruszyłem do łazienki na końcu korytarza.

Kiedy już się ogarnąłem, zastałem Corrinę w salonie, gdzie stała przy gzymsie kominka, trzymając w dłoni oprawione zdjęcie Dziadzia. Była to moja ulubiona jego fotografia, zrobiona w czasie, kiedy służył w Wietnamie. Stoi na niej na plaży otoczony przez tłumek żołnierzy. Żaden z nich nie ma na sobie koszuli, a tylko spodnie z podwiniętymi nogawkami, stoją boso na piasku. Wszyscy trzymają po plastikowym kubku, zapewne z piwem, i łatwo zauważyć, że pozostali co do jednego wsłuchują się w słowa Dziadzia. W momencie zrobienia zdjęcia chyba akurat coś opowiada, większość żołnierzy nie patrzy w stronę aparatu, a jedynie Dziadzio, który spogląda wprost w obiektyw.

Na jego twarzy próżno szukać strachu. Patrzy prosto z fotografii pewnym, krystalicznie czystym spojrzeniem, jak gdyby mówił: „Zrobię, co będzie trzeba, by ci chłopcy wrócili do domu”. Ale to była wojna, a kiedy idziesz na wojnę, nie każdy wraca do domu.

Ale teraz przyszła moja kolej i to ja musiałem zabrać go do domu.

- To on? – spytała Corrina, wyciągając fotografię w moją stronę.
- Zgadza się. Bohater wojenny.
- Całkiem nieźle tu wygląda. Serio, naprawdę dobrze. – Wykrzywiła usta w półuśmiechu. – Jak to możliwe, że ty tak nie wyglądasz? Musiał tu być niewiele od ciebie starszy.

– Dzięki – skwitowałem. – A swoją drogą, to na tym zdjęciu ma dwadzieścia siedem lat.

– No, ale jednak – ciągnęła. – W końcu jesteście spokrewnieni. – Spojrzała na mnie i przechyliła głowę w bok. – Nie, w sumie to nawet coś zauważam.

– Jasne. – Wzruszyłem ramionami.

– Wow – rzuciła. – Wiekowy przystojniak z niego, co? Ma te same jasnoblękitne oczy co ty? Kurcze.

Pokręciłem głową. Wiekowy przystojniak?

– Zastanawiam się, czy takim właśnie chce być zapamiętany – rzuciłem, by zmienić temat. – Jako człowiek z plastikowym kubkiem na plaży.

– Wygląda na spokojnego. – Mówiąc to, wpatrywała się w zdjęcie. – Wyobraź sobie, co dzieje się tam w tle. Być może zaledwie kilka mil za nimi,

na wzgórzach czy też w górę rzeki? Przerazające. A mimo to on jest tak spokojny – powtórzyła, wskazując na Dziadzia.

– Zapamiętaj to – powiedziałem. – Pamiętaj to zdjęcie, kiedy będziemy z nim jechali. Proszę. Postaraj się widzieć w nim coś słodkiego. Nie zawsze tak będzie. Musisz to wiedzieć. Potrafi być trudny.

– To tak jak ty.

– Dzięki. Ale ja mówię serio. Wiem, to dziwne.

– Dziwne mi nie przeszkadza – odparła Corrina, odstawiając zdjęcie na miejsce. – Ty jesteś dziwny. – Wyszczrzyła się. Zerknęła na fotografię, po czym wróciła spojrzeniem do mnie. – Czasami masz ten sam uśmiech, co on tutaj. No wiesz, jak gdyby prawa część twojej twarzy była nieco weselsza od lewej. – Podeszła i szturchnęła mnie w pierś. – Wygląda na to, że masz coś w sobie z Dziadzia. – Udała się ku drzwiom i podniosła futerał na gitarę oraz torbę. – Chodź, Hendrix, czas wyciągnąć tego bohatera wojennego z ciupy.

Wyszła na zewnątrz, zostawiając drzwi otwarte na oścież, zarzuciła torbę na ramię i uśmiechnęła się złowieszczo ku jasnemu błękitowi porannego o Los Angeles. Chwyciłem moją torbę i ją dogoniłem.

– Jego też zabieramy? – spytała, wskazując na Starego Grzmota, gdy prowadziłem go w stronę auta.

– Nie mogę go tu tak po prostu zostawić na tydzień.

– Nie, raczej nie. – Przekrzywiła głowę i przez moment wpatrywała się we mnie w milczeniu. Spoza ciemnych krążków okularów przeciwsłonecznych nie sposób było dojrzeć jej oczu. – Czyli, jeśli dobrze rozumiem – odezwała się w końcu – moja wielka ucieczka obrasta w uczestników.

– Mam towarzystwo.

– Tak, zauważyłam. Praktycznie całą rodzinę, co?

– Praktycznie tak – odpowiedziałem.

Rzecz jasna, było mi trochę żal mamy, bo wiedziałem, że nie zrozumie, dlaczego musiałem tak zrobić. Czasami czułem, że po śmierci taty umarła też jakaś część mamy, a szczątki uwagi, jakie jej pozostały, poświęcała zebraniom rady nadzorczej i hotelowym konferencjom. Równie dobrze za jej rodzinę można było uznać kancelarię Brenner, Stoddard & Pell Associates.

– Czy ten samochód się jakoś nazywa? – spytała Corrina.

– Co?

– Czy się jakoś nazywa, troglodyto. Każde auto musi się jakoś nazywać.

– Coś jak New Beetle rocznik 2016?

– Nie, Chryste Panie! Coś jak Emmy Lou, Peggy Sue czy może Proud Mary.

– I to musi być ksywka jak dla dziewczyny dwojga imion?

– Owszem. A najlepiej, by jeszcze odnosiła się do jakiejś piosenki.

– Nie znam się na piosenkach.

– Nie, nie znasz się. W porządku. – Przekrzywiła głowę i spojrzała w niebo. – Blue Bomber. Błękitna Bomba – powiedziała.

– To imię dla dziewczyny?

– No jasne! – rzuciła, wskakując na fotel kierowcy.

Ja też wpakowałem się do wozu. Światło odbijające się od okna wykuszowego było tak jasne, że ledwie dawało się dostrzec za nim sylwetkę domu.

Corrina odpaliła silnik i potarła deskę rozdzielczą.

– Dobra, Błękitna Bombo, zróbmy to.

## ROZDZIAŁ 6

### Wielka ucieczka

Gdy dotarliśmy pod Calypso, Corrina zaparkowała możliwie blisko głównego wejścia. Zgasiwszy auto, siedziała z rękoma na kierownicy, gapiąc się przed siebie na wysoki rząd krzewów i drzew po drugiej stronie parkingu wyznaczający granicę ogrodu Calypso.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała.

– Spróbuję go stamtąd wyciągnąć, w miarę możliwości unikając zbędnych pytań.

– Nie możesz go wywieźć w wózku na jedzenie? Schować jakoś pod obrusem?

– Nie.

– Szkoda – stwierdziła Corrina, kręcąc głową. – To by było hardcorowe.

Oczywiście, że chciałbym wyjść na hardcorowca, tyle tylko, że gdyby Dziadzio zniecka zniknął z Calypso, musieliby to zgłosić, a jeżeli po upływie dwudziestu czterech godzin nadal by go nie było, policja ogłosiłaby Srebrny Alarm, a co za tym idzie, zaczęłyby nas szukać wszelkie możliwe służby, nie mówiąc już o krańcowo wkurzonej mamie, którą zalałaby powódź e-maili, esemesów i telefonów powiadamiających o zdarzeniu. W tym zaś ewidentnie nie byłoby już nic hardcorowego. Jeżeli zostalibyśmy zatrzymani gdzieś w Górach Skalistych, jeżeli dalibyśmy się złapać, dopaść, nie zjechawszy nawet z gór, to już byłoby absolutnie niehardcorowe.

Dziadzio siedział sam na niskim, kamiennym murku na skraju patio za bufetem, wyglądając gdzieś ponad sztucznym stawem z podświetloną neonami, chlorowaną wodą spadającą w kaskadzie na gipsowe skały. Wznoszące się za skałami palmy były prawdziwe, ale powietrze nad oczkiem wodnym przesyciła woń wybielacza. Jak zwykle Dziadzio miał na sobie lekkie spodnie i guayabere, podniesioną dłonią osłaniał oczy przed słońcem.

– Jak się dzisiaj czujesz, Dziadziu?

– Ot, kolejny dzień w rajku.

Usiadłem obok niego i go przytuliłem. Objął mnie mocno ramieniem.

– Dziadziu, muszę cię o coś poprosić.

Machnął dłonią ponad roztaczającym się przed nami rajem.

– Ależ jasne – rzucił sarkastycznie. – Bierz z mego królestwa, czego tylko pragniesz. To wszystko twoje.

– Dziadziu, ja mówię poważnie.

– No, ja też – odparł. Zmusił się do smutnego uśmiechu. – Kiedyś to ja się tobą ciągle zajmowałem. A teraz – spójrz tylko na nas.

– Tak jest chyba uczciwie.

– Tylko z twojej perspektywy, chłopcze. Mnie się to nie wydaje ani trochę uczciwie. – Odszedł na przeciwny kraniec patio. Przez okno wskazał na bufet. – Patrz! Klub „Gin z Remikiem”! To dopiero powód, by się poderwać z łóżka!

Zaśmiał się gorzko, ja zaś przeszedłem za nim na drugą stronę patio.

– Możemy o tym jeszcze pomówić w twoim pokoju?

Gdy tylko usłyszałem własną pomyłkę, zmarszczył brwi.

– Ciężka cholera, Teddy, to jest apartament. Bo jeżeli nazwiemy to pokojem, to oznaczałoby, że twoja matka wpakowała mnie do szpitala. To jest apartament. Ja nie jestem pacjentem. Jestem rezydentem.

– Tak, wiem. W twoim apartamencie.

– I nie waz się mówić, że o tym zapomniałeś.

– Nie, nie zapomniałem – zapewniłem. – No, ale chodźmy już. Do apartamentu.

Kiedy tam dotarliśmy, udałem się wprost do szafki na lekarstwa w łazience.

– Poranną dawkę już zażyłem – powiedział. Nie zwracając na niego uwagi, spakowałem zawartość szafki do jego skórzanej kosmetyczki. Stał w progu i przyglądał się, jak biorę jego szczoteczkę do zębów i inne przybory toaletowe i wraz z lekarstwami wrzucam do torby podróżnej, którą trzymał w szafce pod umywalką. – Czy ja się dokądś wybieram? – spytał.

– Tak – odparłem, ale oto nadeszła najtrudniejsza część. Bo co innego okłamanie personelu Calypso, co innego zaś zełganie Dziadziowi. Tego zrobić nie mogłem.

– Zabieram cię do domu.

Pokręcił głową. Wyminąłem go i przeszedłem do sypialni. Znalazłem inną torbę i zacząłem jak najszybciej pakować do niej ubrania.

– Nie – odpowiedział. – Proszę cię, Teddy. Ja wiem, że za mną tęsknisz. Ja też za tobą tęsknię. Ale twoja matka ma rację. Nie cierpię tego miejsca, ale nie mogę z wami mieszkać. A co będzie, jak wyjedziesz na studia? Od razu wpakuje mnie tu z powrotem.

– Nie, Dziadziu – powiedziałem. – Zabieram cię do prawdziwego domu. Mam na myśli Ithacę.

Wszedł do sypialni i przysiadł na rogu łóżka.

– Moment, Teddy. Moment – powiedział cicho.

– Dziadziu, spieszy nam się. Proszę cię, chodźmy już.

Lecz gdy ja kontynuowałem pakowanie, podniósł głos.

– Moment! – krzyknął. Zamarłem i spojrzałem ku drzwiom apartamentu, bo tylko nam jeszcze brakowało, by Julio i Frank weszli sprawdzić, w czym problem, i by Dziadzio urządził awanturę. – Gubię się – oznajmił na powrót spokojniejszym tonem. – Powiedz, proszę, co tu się dzieje?

Odłożyłem torbę, przyklęknąłem obok niego i ująłem go za dłoń.

– Pamiętasz, jak mówiłeś mi, że chciałbyś jeszcze kiedyś zobaczyć Ithacę? Że chciałbyś zobaczyć stary kościół, stary dom? Że chciałbyś się jeszcze przejść tymi samymi alejkami, którymi codziennie spacerowaliście z Babcią po obiedzie? Pamiętasz? Wasz kościół? Świętej Heleny? Gdzie stałeś z księdzem.

– Ojcem Ferraro.

– Tak!

– Któremu śmierdziało z ust.

– Tak! Ojciec Ferraro, któremu śmierdziało z ust, a ty stałeś obok niego, czekałeś i zachodziłeś w głowę, czy Babcia się spóźnia, czy też naszły ją wątpliwości, bo czekasz i czekasz.

Uśmiechnął się.

– Jej siostra zabrała nie te buty. Miały wysoki obcas. A ona nie chciała przy tych wszystkich ludziach wyglądać na wyższą ode mnie. Taka już była twoja Babcia, oczywiście zawsze wpierw myślała o innych.

– Tam właśnie jedziemy. Tam cię zabiorę. Ale musimy się już zbierać, Dziadziu. Proszę. – Wstałem i objąłem go za barki. – Po prostu skup się, idź za mną i przy wyjściu nic nikomu nie mów. Corrina czeka na zewnątrz, musimy się pospieszyć.

– Kto?

– Corrina, moja koleżanka.

– Skąd ją znasz? Tę koleżankę. – Przewrócił oczami.

– Już ci mówiłem.

– No to, cholera, powiedz mi raz jeszcze!

Już mu to kiedyś wszystko opowiadałem, ale jak swego czasu dowcipnie zauważył, u chorych na alzheimera świetne jest to, że możesz im w kółko opowiadać ten sam żart, bo i tak nigdy nie pamiętają pointy. Gdy mi to mówił, uśmiechnął się, ale ja nie. Między innymi na tym właśnie polega koszmar



alzheimerera. Kiedy choroba się już zacznie, nie ma odwrotu, postępuje z zatrważającą mocą i po kawałku wyrywa cię z życia, aż w końcu znikasz zupełnie.

– Corrina to ta dziewczyna z zajęć. Ta, którą czasami spotykam na deptaku. Kolegujemy się tylko. I to ledwie. W sumie to sam nie wiem. Tak czy siak – jest zdecydowanie poza moim zasięgiem.

– Zdecydowanie poza moim zasięgiem. Śmiesznie tak mówić o drugiej osobie. Nie wynoś innych na takie piedestały. A co, jeśli ja bym tak myślał o twojej Babci? A patrz, jak wyszło. Byliśmy dla siebie w sam raz.

– Wiem.

Dziadzio usiadł na łóżku.

– Ithaca – powtórzył. – Naprawdę zabierzesz mnie do domu?

– O ile tylko włożysz buty.

Rozejrzał się po pokoju. Wyglądał na odprężonego, jak gdyby węzeł zagubienia, który zwykle ściągał mu oblicze, rozsypał się. Buty stały na podłodze obok niego, on jednak nie drgnął.

– Dalej – ponagliłem go.

W dalszym ciągu wpatrywał się gdzieś za mnie, więc włożyłem mu buty i zawiązałem sznurówki. Jego kaptcie włożyłem do torby i przerzuciłem ją sobie przez ramię. Podniosłem go do pionu, po czym wyszedł za mną na korytarz. Tam przystanął.

– Czekaj. – Odwrócił się i wsunął z powrotem do pokoju.

– Dziadziu!

Wyszedł ponownie na korytarz, trzymając dopiero co oprawioną fotografię Babci i Zmarłego Taty, kiedy był jeszcze dzieckiem.

– Jedzie z nami – oznajmił.

Skinąłem głową i poprowadziłem go w stronę recepcji, aby można było go wypisać.

W korytarzu nikt nas nie zaczepił i prawie już doszliśmy do lobby, kiedy Dziadzio przebudził się z rozmarzenia.

– Właśnie sobie tak myślałem o tym stoisku z lodami – powiedział. – Tym na rogu Meadow i Cascadilla. Jak ono się nazywało?

– Nie przejmuj się tym teraz, Dziadziu. Potem sobie przypomnimy.

– Chodziliśmy tam po obiedzie – dodał, ignorując moje słowa. – Jak, u diabła, nazywała się ta budka? To było coś z dobroczynnością czy też jakaś nazwa kojarząca się z kościołem.

– Cicho, Dziadziu. Pilnuj się mnie.

Pokręcił głową.

– Nareszcie – powiedział. – Do domu. – Uśmiechał się jak dziecko, ja tymczasem zastanawiałem się, czy taką samą minę miał w chwili, kiedy wsiadał do samolotu, który ostatecznie zabrał go z Sajgonu. Uśmiech kogoś, kto przetrwał, uśmiech wdzięczności, przyćmiony jednak obawą. Czy to będzie to samo, jeżeli stoiska z lodami już tam nie ma? Czy wciąż będzie to jego dom? Czy będzie mógł go tak nazwać?

– Do domu! – zawołał, kiedy znowu znaleźliśmy się w korytarzu.

– Dziadziu, proszę cię – wyszeptałem. – Nie rób z tego wielkiego halo.

– Jadę do domu! – powtarzał, kiedy go wypisywałem.

Starąłem się patrzeć recepcjonistce w oczy.

– Na rodzinny zjazd.

– Na rodzinny zjazd? – dopytała.

– Owszem.

Dostrzegła fotografię, którą trzymał Dziadzio, i się uśmiechnęła.

– To mu na pewno dobrze zrobi. Obyście całą trójką dobrze się bawili.

– Tak będzie – odparłem, robiąc dobrą minę do złej gry, acz nie bez pewnego poczucia winy, wiedziałem bowiem, że miała na myśli, że Dziadzio i ja spędzimy ten czas z mamą niespełna dwie mile dalej w Wielkim, Pustym Błękitcie – nie zaś, że z gazem wciśniętym w podłogę będziemy pędzić przez kraj z Corriną. Tym niemniej kłamstwo zadziało. Recepcjonistka na pożegnanie ciepło nam pomachała.

Prowadząc Dziadzia po schodkach na parking, starałem się go udobruchać, ciągnąc temat stoiska z lodami, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem, lecz które znienacka okazało się najważniejszym, na poły zwierzałym wspomnieniem, jakie Dziadzio usiłował przywołać, a do tego cały czas bardzo, ale to bardzo liczyłem, że nie zapomni się i nagle nie uzna, że na miejscu będzie na niego czekała Babcia Betty. Jeżeli doszedłby do tego w myślach, a ja bym powiedział: „Nie, Babcia nie żyje”, wpadłby w to dziwne otępienie, jak gdyby po raz pierwszy dowiadywał się o jej śmierci. Co innego powtarzany żart, ale ciągle słyszeć o śmierci kogoś ukochanego, za każdym razem odczuwając taki sam ból, jakby słyszało się to po raz pierwszy – na taką torturę nie zasługiwał nikt.

Ale do tego nie doszedł, dobrze. Jeszcze lepsze było to, co ujrzałem przed sobą. Stary Grzmot podskakiwał przed samochodem. Corrina do nas machała. Siedziała na masce auta, w jednej dłoni trzymając komórkę, w drugiej zaś smycz. Z przekrzywioną twarzą odchyliła się w tył, a słońce spływało po jej

ciemnych włosach i błyszczało na jej skórze. Poczułem, jak furkocze we mnie całe pole wiatraczków.

– To moja koleżanka Corrina – powiedziałem Dziadziowi.

Podąła mu dłoń, on zaś ją uściśnął, ale w jego spojrzeniu poznałem, że trybiki obracają mu się wolniej. Właśnie wygoniłem go na zewnątrz, przedstawiałem komuś nieznanemu. Odwrócił się z powrotem ku drzwiom wejściowym do Calypso. Fałdy policzków zadrżały mu od uderzenia strachu, jakoś to jednak przełknął.

– Twoja koleżanka – zauważył cicho.

– My się tylko przyjaźnimy, Dziadziu – powiedziałem.

Corrina łypnęła na mnie.

– No pewnie. Jasne – rzuciła i już miała dodać coś jeszcze, ale powstrzymałem ją gestem dłoni.

– To moja koleżanka, która pomoże nam dostać się do Ithaki – powiedziałem Dziadziowi.

Skinął głową.

– Do Ithaki.

Corrina wyprowadziła nas z powrotem na Dziesiątkę, a kiedy zaczęliśmy nabierać prędkości, przeleciała przez listę w telefonie, aż znalazła piosenkę, której szukała.

– Świetna piosenka na drogę! – krzyknęła w huku wiatru wpadającego przez otwarte okna. – Klasyka. Ekshipisi ją kochają.

– Ścisz to – powiedziałem.

– Hendrix, nie psuj chwili! – odkrzyknęła.

Ja się jednak obawiałem, że przez cały ten pośpiech, zamieszanie i mnogość bodźców Dziadzio za chwilę dostanie ataku przerażenia. Odwróciłem się, by go uspokoić, ale okazało się to zbędne. Lekko kiwał głową do rytmu piosenki – intensywnej, szarżującej gitary rytmicznej i perkusji, wijącej się gdzieś dołem gitary solowej i scalającego to potężnego kobiecego wokalu, czystego i ciężkiego jak ciepły, wygładzony kamień. Rzeczywiście czuć w tym było piosenkę drogi, coś, co narastało i się toczyło, narastało i się toczyło zupełnie jak Błękitna Bomba, która nabierała prędkości, w miarę jak Corrina kierowała nią pośród mało intensywnego ruchu na autostradzie.

– Znam tę piosenkę – powiedział z tyłu Dziadzio.

– Tak? – zareagowała Corrina. – To *Somebody to Love* Jefferson Airplane z płyty *Surrealistic Pillow* z sześćdziesiątego siódmego.

Dziadzio usiadł prosto.

– Zgadza się. Jezu! *Somebody to Love*. Właśnie. To ta piosenka. Betty ją uwielbiała.

– Naprawdę? – odezwałem się, spoglądając na niego. Skinął głową i się uśmiechnął. Uniósł palec i pomachał nim akurat w miejscu, gdzie kobiecy głos załamał się na nucie, a gitara prowadząca rozbrzmiała krótkim riffem. Poczulem falę ulgi.

Dziadzio nachylił się w przód i w skupieniu wsunął głowę między fotele.

– Wiem, gdzie jestem – powiedział mi cicho. – Wiem, dokąd jedziemy.

Położył mi dłoń na ramieniu i się uśmiechnął. Ze słońcem w oczach wylatywaliśmy z miasta.

## ROZDZIAŁ 7

### Znaleźć odpowiedni nastrój

Kiedy kierowana przez Corrinę Błękitna Bomba wystrzeliła z zachodniego Los Angeles i wpadła na dziesiątkę w kierunku wschodnim, gdzie tyłem do słońca z łatwością posuwała się pośród międzyszczytowego ruchu, naszło mnie coś jak oszołomienie po napoju gazowanym i myślałem, że zwymiotuję. Kiedy jednak minęliśmy San Bernardino, Mount Baldy i Cedarpines i pruliśmy na północ w kierunku Vegas, poczułem dziwaczny przypływ głupiej energii i ulgi, że udało nam się wydostać poza granice miasta, poza obwodnicę, pośród suche, pustynne wzgórze, gdzie krajobraz się otwierał, a droga ponownie wykręcała na wschód w rozległym, wolnym od smogu bezmiarze doliny pod błękitnym niebem. Corrina zawołała w suche, czyste, kalifornijskie powietrze:

– Udało nam się! Hendrix, naprawdę jedziemy!

W końcu i we mnie puściła blokada.

– Jedziemy! – wykrzyknąłem.

– Świetnie – odezwał się z tyłu Dziadzio. – Ja też tu jestem. Postarajcie się mnie dowieźć w jednym kawałku, dobra? – Zmarszczył czoło i wyjrzał przez okno na równinę w okolicach Victorville. – A tak w ogóle to gdzie my jedziemy?

– Co? – Zerknąłem na niego przez ramię, w końcu przez cały czas uczestniczył w rozmowie i nie wydawało mi się, by stracił rozeznanie w sytuacji.

– Teddy, ja wiem, że jedziemy do Ithaki. Chodzi mi o to, jak się tam mamy dostać.

Podniosłem telefon.

– Z Google Maps.

– Nie – odparł Dziadzio. – Którą szosą? Jak przejedziemy przez kraj? W którą stronę się kierujemy?

Mapę w telefonie oglądałem na dużym zbliżeniu, wiedziałem więc tylko, że akurat jedziemy piętnastką na zachód do czasu, aż każe nam z niej zjechać. Zmniejszyłem zbliżenie i spojrzałem na dwie proponowane trasy. Jedną na północ i jedną na południe. Północna trasa była równo trzydzieści trzy mile krótsza i według aplikacji pokonanie jej zajęłoby dwie godziny mniej niż jazda

południem.

Corrina zobaczyła, co robię i się roześmiała.

– Hendrix, Wielki Nawigator.

– Dobra – zauważyłem. – Jedziemy na północ. Następny przystanek: Denver.

– Też bym tak wybrał – zgodził się Dziadzio. – Już kiedyś podróżowałem tą trasą.

Plan był taki: jedziemy piętnastką przez Vegas w stronę gór stanu Utah, gdzie droga dochodzi do siedemdziesiątki, potem tą krętą, górską szosą kierujemy się na Denver, tam wskazujemy na siedemdziesiątkę szóstkę, opadamy ku farmom Nebraski i osiemdziesiątką prujemy prosto przez ogromny obszar równin, przez Omaha i Des Moines, ocieramy się o południowe brzegi jeziora Michigan, po czym tniemy u podstawy przypominającej wielką rękawicę stanu o tej samej nazwie aż do Toledo, gdzie z kolei wpadamy na dziewięćdziesiątkę do Cleveland i Erie, i osiemdziesiątką szóstką wbijamy się w stan Nowy Jork ku niewielkim i delikatnym Finger Lakes, aż w końcu spokojnie docieramy do Ithaki, na południowym czubku jeziora Cayuga.

Podczas gdy Dziadzio i ja omawialiśmy trasę, Corrina szperała w telefonie, szukając czegoś na liście ulubionych piosenek. Puszczała którąś, po czym przełączała na inny zespół, niekiedy słuchała piosenki zaledwie do połowy i przeskakiwała do następnej. Zacząłem się niepokoić, że o wiele więcej uwagi poświęca muzyce niż sytuacji na drodze.

– Hej – odezwałem się. – Może po prostu wybierz coś i już się tego trzymajmy.

– Nie – odparowała. – Muszę znaleźć coś, co odpowiednio pasuje do nastroju.

– A jaki mamy teraz nastrój?

– Nie wiem. Ale jak usłyszę, to będę wiedziała.

W końcu znalazła to, czego szukała, jakiś zespół pod nazwą Electric Warts. Była to kapela złożona z samych dziewczyn, wywodząca się z Los Angeles, która przeniosła się do Nowego Jorku. Jedną z nich знаła. Aiko. Grała na klawiszach. Któregoś wieczoru poznały się w klubie Dragonfly.

– Naprawdę dają czadu – oznajmiła Corrina, podkrecając głośność. – Żaden łomot, po prostu oldskulowe rockerki. Uwielbiam je. Ostre i złowieszcze jak Advaeta, ale przy tym mają w sobie coś popowego, jak Dum Dum Girls.

Patrzyłem na nią bez ekscytacji.

Corrina przewróciła oczami.

– Pewnego razu – zaczęła wyjaśniać – Aiko zabrała mnie po godzinach do Troubadoura, fajne miejsce, po prostu pusty klub i scena, czas i przestrzeń,

by sobie pograć, ale tak naprawdę to nie myślałam, że i ja zagram. Tyle tylko, że jak się tam zjawiłyśmy, ich gitarzystka gdzieś przepadła, więc poprosiły mnie, bym dołączyła! Dasz wiarę?

Wspomnienie rozpromieniło jej twarz, opowiadała tak szybko i z takim podekscytowaniem, że słuchał jej nawet Dziadzio.

– No to gram. Jasne, nie na mojej gitarze, na mojej gra mi się lepiej, ale i tak improwizuję sobie z Electric Warts, nieźle, co?

– Jej – odezwałem się. – To musiało być naprawdę fajne.

Corrina zerknęła na mnie z uniesionymi brwiami i fałszywym uśmiechem na ustach, ewidentnie bowiem nie zareagowałem z dostatecznym entuzjazmem.

– Mogłabym tak grać przez cały dzień, ale ich gitarzystka w końcu się zjawiła i musiałam ustąpić jej miejsca. Ale później... – Corrina pokiwała głową i się uśmiechnęła. Samochód nabierał prędkości. – Później Aiko powiedziała mi, że byłam super, i to tak naprawdę super, tak super, że mogłabym grać w ich zespole!

– To dlaczego do nich nie dołączyłaś? – spytałem.

– Dwa tygodnie później przeniosły się do Nowego Jorku. Kiedy właśnie myślisz, że nadchodzi przełom – trzask. Nie ma tematu. Jak zawsze.

– No – przytaknąłem. Milczeliśmy przez chwilę, a mnie ogarnęła nerwowość, że też nic nie mówię. – Zresztą – odezwałem się w końcu – kto by w ogóle chciał być w kapeli Elektryczne Kurzajki, co?

Corrina sapnęła przez usta.

– Hendrix, nie przestaje mnie zdumiewać, jak ktoś, kto się nazywa Hendrix, może gównowo wiedzieć o muzyce.

– Gównowo, tak? – odezwał się z tyłu Dziadzio.

Corrina spojrzała na niego w lusterku. Obróciłem się, by czym prędzej przeprosić go za to słownictwo, Dziadzio jednak się uśmiechał.

– Jeśli chcecie znać moje zdanie – odezwał się – czegoś w tej muzyce brak.

– Ach, tak? – spytała obruszona Corrina. – Czego?

– Dobrej gitarzystki.

Uśmiechnął się i oparł z powrotem na siedzeniu, łapiąc Starego Grzmota za kark i drapiąc go za uchem. Corrina już miała coś powiedzieć, ale zarumieniła się i wbiła spojrzenie przed siebie. W milczeniu nie mogła jednak skryć uśmiechu i pozwoliła, by Elektryczne Kurzajki wypełniły samochód głośną, uduchowioną piosenką z kiepskimi partiami gitarowymi.

Jakąś godzinę później, kiedy wjeżdżaliśmy do Barstow, ujrzałem szyld In-N-Out Burgera, a Corrina wjechała z szosy na pagórek z restauracją. Musieliśmy

zrobić postój, załatwić kwestie fizjologiczne, pozwolić Staremu Grzmotowi rozprostować łapy i zaspokoić chutliwe potrzeby z nadzieją, że jeśli już musi, uczyni to dyskretnie, no i chcieliśmy też wrzucić coś na ząb, bo burczało nam w brzuchach.

Parking zastawiony był samochodami i uświadomiliśmy sobie, że najwyraźniej wszyscy w drodze z Los Angeles do Vegas zatrzymywali się właśnie tutaj, tak więc przyszło nam zaparkować gdzieś daleko, w pobliżu pokrytego wyblakłą różową farbą muru na tyłach centrum handlowego.

W pierwszej kolejności wypuściłem Starego Grzmota, który zrobił kilka kółek za samochodem, po czym rzucił się biegiem przez parking. Dziadzio wysiadł z wozu i zawołał psa. Było mi dobrze. Dziadzio odwrócił się i spojrzał ponad Błękitną Bombą na Corrinę, która stała szeroko na nogach niczym superbohater i przeciągała się na boki.

– Hej! – zawołał Dziadzio. – Świetny z ciebie kierowca.

Przestała się przeciągać.

– Zawsze tak sądziłam. – Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i łypnęła na niego.  
– Ale nigdy nikt mi tego nie powiedział. Dziękuję.

– No, to ktoś w końcu musiał. Wiesz, staram się sobie przypomnieć, kiedy ostatnio siedziałem w samochodzie. – Odwrócił się w moją stronę. W międzyczasie Stary Grzmot przybiegł z powrotem i złapałem go za obrozę. – To musiało być z tobą, prawda? – powiedział do mnie.

Robiłem coś ze smyczą Starego Grzmota, unikając spojrzenia Dziadzia, byłem bowiem zły na siebie, nie mogąc sobie dokładnie przypomnieć, kiedy ostatnio jechaliśmy razem samochodem, a zwłaszcza kiedy jechaliśmy tylko we dwóch, i było mi z tym fatalnie – nie zdawałem sobie sprawy, że takie najzwyczajniejsze chwile mogły z czasem okazać się najważniejszymi. Nie sposób tego przewidzieć. Ilu innym istotnym momentom pozwoliłem po prostu przeminąć?

Stary Grzmot był grzeczny, poprosiłem więc Corrinę, by została z nim przy samochodzie, pospacerowała trochę, w miarę możliwości nie pozwoliła mu uganiać się za nogami, małymi dziećmi czy też latarniami, a tymczasem ja pójdę z Dziadziem i weźmiemy dla wszystkich hamburgery z frytkami. Wyciągnęła z samochodu gitarę, a następnie owinęła sobie smycz wokół buta.

– Nic mu nie będzie do waszego powrotu – zapewniła, strojąc gitarę. Było w tym widoku coś bardzo dziwnego, jak tak opierała się o tył samochodu mamy, a Stary Grzmot z przechylonym na prawo łbem wpatrywał się w nią ze spokojem i leniwie dyszał, podczas gdy ona zaczynała grać. Wyglądała



na odprężoną, ja zaś zachodziłem w głowę – jak i czy to w ogóle było możliwe.

– Ona ciągle z tą gitarą, co? – spytał Dziadzio, gdy ruszyliśmy w kierunku baru.

– Chyba tak – odparłem. Wszędzie było pełno ludzi, zajmowali wszystkie krzesła, cały stół na zewnątrz, tak więc starałem się go pospieszyć.

Zaśmiał się.

– Hej, Teddy, zwolnij trochę. – Tak też zrobiłem, a on ciągnął dalej. – Wygląda, jakbyś się zaczął denerwować. Już ja cię znam.

– Znasz?

– Owszem. Wychowałem cię. Myślisz, że dziadek nie umie rozpoznać emocji wnuka?

Popchnąłem szklane drzwi i stanęliśmy w kolejce wijącej się ku stanowiskom kasjerów. Bar był na tyle duży, że zdołałby obsłużyć całą armię.

– Denerwujesz się. Zachowywałeś się tak w drodze do szkoły, kiedy przychodziło ci odezwać się do kogoś w sklepie spożywczym albo w kinie. Gdziekolwiek. Po prostu cię to dopadało i znienacka robiłeś się nerwowy. Zawsze się wtedy o ciebie martwiłem. – Ludzie się przemieszczali, kolejka na szczęście posuwała się naprzód, lecz Dziadzio, mówiąc te słowa, stał w miejscu, wstrzymując kolejkę za sobą, która teraz sięgała już podwójnych szklanych drzwi. – A potem, kiedy miałeś jakieś jedenaście czy dwanaście lat, nie było mowy, byś wyprowadził Skippera na wieczorny spacer i nie przybrał tej samej miny. Biedny chłopiec.

Wiedziałem, jaką minę miał na myśli. Uśmiech, któremu brakło energii, by się w pełni zarysował, umykające spojrzenie – w taki oto żalony sposób usiłowałem zamaskować potwornie niezręczny strach, który rozkręcał się we mnie niczym wirujące łopatki wiatraczka. Proszę bardzo, mogliśmy o tym porozmawiać. Rzeczywiście robiłem tę minę, ale nie ze wstydu, że jestem małym, przerażonym głupkiem. Może wyglądało, jakbym się bał, ale tak nie było. Byłem na niego zły, bo mówił zbyt głośno i gestykulował, nie biorąc pod uwagę, jak blisko siebie ma innych ludzi, a do tego nie zauważał, że kolejka się posuwa.

– No chodź, Dziadziu – ponagliłem go, on jednak nie drgnął.

– Ja tylko mówię, że jeżeli dziewczyna ci się podoba, to nie stój tak z dygocącą buzią, tylko po prostu jej to powiedz.

– Dobra, w porządku. Ale chodźmy już.

– Nie możesz od niej oczekiwać, by czytała w myślach. Nie możesz oczekiwać, że cię polubi, jeżeli sam nie zaryzykujesz i jej nie powiesz, że ją

lubisz. Czasami wystarczy powiedzieć, to takie proste.

– To moja koleżanka. Nie wiesz, o czym mówisz.

– A kto wie, co ona o tym myśli? – odpowiedział, wyrzucając ręce w górę. – Ale nigdy się o tym nie przekonasz, jeżeli dalej będziesz się tak krył!

Wziąłem go za rękę i przeciągnąłem kilka kroków do przodu. Posunął się, acz niechętnie.

– Słuchaj, ja wiem, wiem. Możesz mi to wszystko powiedzieć, jak już zamówimy jedzenie. Co będziesz chciał? – spytałem, wskazując na rozświetlone menu. Właściwie było to jedno i to samo: rozmaite porcje smażonej na blasze wołowiny z serem lub bez sera, a do tego ziemniaki z głębokiego tłuszczu. Jaki tu wybór? Jak sądzisz, ile uda ci się zmieścić? Tak czy siak, przerwałem Dziadziowi, pytając go, co będzie chciał, tonem zdecydowanie bardziej wkurzonym, niż bym tego chciał, aż wnet zdałem sobie sprawę, że zabrałem się za to z niewłaściwej strony, a jego spojrzenie zasnuła gniewna chmura – wyprawa trwała zaledwie parę godzin, a już zdążyłem zapomnieć o tym, jak trzeba postępować z Dziadziem. Ludzie zerkali na nas pospiesznie, po czym odwracali wzrok. Inni z kolei uporczywie się gapili.

Głos Dziadzia przybierał na sile.

– Wiesz co, ja ci tu próbuję wyjaśnić parę kwestii między chłopakami a dziewczynami i co się robi, jak ktoś ci się podoba, a ty do mnie mówisz, jakbym to ja był dzieckiem. Ale to ja tu, cholera, jestem dorosły, Teddy.

– Wiem, wiem. Ale nie podnoś głosu.

– Ciągle mnie gdzieś ciągasz, mówisz mi, co mam robić.

– Dziadziu, proszę!

– Wszyscy sądzą, że jestem nieporadny, kiedy ja nie jestem nieporadny, do wszystkich diabłów, ja jestem weteranem. Sierżantem Korpusu Piechoty Morskiej. Nie mów do mnie, jakbym był dzieckiem!

Stojący przed nami rodzice ustawili się pomiędzy Dziadziem i swoimi dziećmi i zasłonili im dłońmi uszy. Wysoki facet za jedną z kas zerknął na nas i szybko przekazał coś przez czarny zestaw słuchawkowy. Wszyscy w tej przypominającej zatłoczone zoo restauracji gapili się na nas jak na szaleńców, bowiem Dziadzio tokował wściekle, prędko i na całe gardło, więc nim kierownik lokalu zdołał przyjść, żeby nas spisać i wezwać gliny, by zamknęły nas jeszcze zanim w ogóle wydostaliśmy się z Kalifornii, podniosłem rękę do góry i przeprosiłem obecnych, starając się skierować Dziadzia z powrotem na patio przed budynkiem.

– Nie przepraszaj za mnie, jakby mnie tu w ogóle nie było! – ryknął, gdy

wypychałem go przez podwójne szklane drzwi.

Jeszcze rok temu sam byłbym zbyt wątpy, a Dziadzio byłby zdecydowanie za silny, abym zdołał wyciągnąć go na parking, z dala od tych wszystkich ludzi, którzy właśnie mało co nie zesrali się przez nas ze strachu. Ale teraz byłem wyższy i silniejszy, on zaś przez siedem miesięcy spędzonych w Calypso zdążył się skurczyć – ramiona mu się bardziej garbiły, stracił też na wadze. O ile wcześniej uznał, że wyglądałem na zmartwionego, o tyle teraz byłem przerażony nie na żarty, ponieważ ogarnęło mnie straszliwe poczucie, że gdzieś w pobliżu czai się zatracenie, że Dziadzio może już doszczętnie stracić panowanie nad sobą, a wobec braku nadającego się do demolki pokoju co zniszczy? Siebie samego? I wszystko to by była moja wina – zamiast zachować opowieści z Rodzinnej Księgi Hendrixów, na zawsze bym je wymazał.

Widząc, jak się zbliżamy, Corrina przestała grać i patrzyła. Prędko odłożyła gitarę na tylne siedzenie.

– Nie musisz mnie traktować jak małego dziecka! – krzyczał Dziadzio, gdy nakierowywałem go w stronę Błękitnej Bomby.

Na widok Corriny posłał jej piorunujące spojrzenie, a ona pospiesznie podała mi smycz Starego Grzmota.

– Pójdę do środka – powiedziała.

W jednej chwili zniknęła, ja zaś wsadziłem Starego Grzmota na tylną kanapę i zatrzasnąłem drzwi, zostawiając otwarte okna. Musiałem uporać się z psem, żeby móc skupić się na Dziadziu. Tyle dobrego, że się uspokoił, ciągle jednak mamrotał coś pod nosem i łypał na mnie podejrzliwie z drugiej strony auta. Nie myślałem o nim. Wiedziałem, że postąpiłem niewłaściwie. Bombardowałem go pytaniami, bombardowałem bodźcami – a z punktu widzenia Dziadzia byliśmy już kawał drogi od cichego i spokojnego rytmu życia w Calypso. Za barem z hamburgerami szosa szła w górę i znikwała za pylistym wzgórzem. Nie sposób było stwierdzić, co się może przydarzyć za następnych kilka mil, czułem się jednak odpowiedzialny i wystraszony.

Kiedy Corrina wróciła z jedzeniem, postawiła je na ocienionej masce samochodu i usiadła parę metrów od nas, skąd, jedząc swojego hamburgera, uważnie się nam przyglądała. Dziadzio przestał się ruszać i oparł się na bagażniku, mamrocząc i powtarzając, jak bardzo ma dość tego, że ludzie wokoło niego szepczą i traktują go jak dziecko, ale kiedy zakrzyknął do Corriny „A kim ty w ogóle, do diabła, jesteś?”, nie wiedząc, co zrobić, powoli do niego podszedłem i położyłem mu rękę na ramieniu.

– Dziadziu, to ja, Teddy, i chcę, żebyś wiedział, że robię to, co mi kazałeś.

Potrzebuję twojej pomocy, tak więc bardzo, bardzo, ale to bardzo cię proszę, pomóż mi zabrać cię z powrotem do Ithaki.

Za moimi plecami Corrina wzięła z tylnego siedzenia gitarę, uważając przy tym, by nie wypuścić Starego Grzmota, i oparła się obok Dziadzia na karoserii Błękitnej Bomby.

– Przeklęta muzyka! Ciągle tylko z tą muzyką – zwrócił się do mnie. – Niedobrze mi już od tego Sinatry, Sama Cooke’a czy Elli Fitzgerald. To wszystko brzmi tak, jakby tymi swoimi serenadami chcieli mnie ululać do grobu! Dlaczego wszyscy oni tak lubią taką muzykę? – Mówił o prowadzących potańcówki w Calypso. Ot, kolejne z zajęć, w których odmawiał udziału.

– Ale takiej już nie – powiedziała Corrina, nachylając ucho do strun. – Ciągle to gram moim ekshipisom. Uwielbiają to. Może pan pamięta? Mówił pan, że lubi Jefferson Airplane. Czy też że Betty ich lubiła. No, to teraz kawałek dla pana i dla Betty.

Poczuła się pewniej i wydobyła kilka akordów, podczas gdy ja stałem tuż obok Dziadzia, nie trzymając go, a jedynie czuwając w pogotowiu, na wszelki wypadek. Widziałem, że gniew mu jeszcze nie przeszedł, lecz kiedy Corrina zaczęła grać, odpuścił, rozluźnił ramiona i począł kiwać głową do rytmu. Zagrała parę nut, delikatnie wydobyła kilka kolejnych, po czym cicho i łagodnie zanuciła najwyraźniej początek tekstu.

Dziadzio musiał nachylić się nieco bliżej.

– Czekaj. Znam to – stwierdził. – Jak to się, u diabła, nazywało?

Corrina dalej grała i nuciła, głośniej, ale wciąż delikatnie.

– Znam to – powiedział Dziadzio, a na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

– Ha! Kiedy ja to ostatnio słyszałem? Jezu, pamiętam, jak po raz pierwszy usłyszałem to z radia na werandzie. – Corrina przerwała, aby go posłuchać. – Usłyszałem to, jak szedłem w górę od Woodcrest Avenue – ciągnął dalej. – Betty tańczyła sobie, podśpiewując.

Jak na zawołanie Corrina zaśpiewała pierwszy wers piosenki. Powtarzała tekst, śpiewając go raz za razem, po czym znowu zagrała, dochodząc do crescendo, spojrzała Dziadziowi w oczy, uśmiechnęła się i zaśpiewała ze szczerym, otwartym ciepłem, kiwając podbródkiem na zachętę, by się do niej przyłączył.

Piosenka była głośna, ale nie zgiełkliwa, raczej wzruszająca i podnosząca na duchu, a Dziadzio skinął głową.

– Van Morrison – powiedział.

– Co?

– Autor piosenki – wyjaśnił mi. – Van Morrison. Into the Mystic. Betty uwielbiała ten kawałek. Jak zresztą wszyscy. Siedemdziesiąty? – spytał Corrinę, na co ona odpowiedziała skinieniem. Uśmiechnął się szeroko i zaśpiewał wraz z nią szorstkim, fałszującym głosem. Między słowami piosenki odwzajemniła uśmiech, a Dziadzio śpiewał coraz raźniej, przerywając i wyłapując kawałki tekstu. Śpiewali teraz głośniej, razem, położyłem mu rękę na ramieniu, on zaś kiwnął głową, nie przerywając śpiewu.

Corrina ciągnęła to i ciągnęła, zagrała chyba wydłużoną wersję piosenki czy też może własną jej wersję, nie wiem sam, mnie jednak ogarnęło to dziwne poczucie, jak kiedy dodasz dwa do dwóch i samodzielnie zdasz sobie z czegoś sprawę, gdyż uzmysłowiłem sobie, że przy wszystkich tych okazjach, kiedy Dziadzio konsekwentnie odpuszczał wspólne śpiewanie i potańcówki w Calypso, chodziło po prostu o to, że grali nie takie piosenki.

Teraz Corrina znalazła piosenkę pasującą do nastroju. Wiedziała to w chwili, kiedy ją znajdowała, czy też jak w tym przypadku – kiedy ją zagrała.

Niedobrze, że tkwiliśmy tam w promieniach palącego słońca, jakieś sto mil w głąb sam nie wiem czego. Niedobry był nasz plan, ale w danej chwili wydawał się odpowiedni. Bo oto i następna opowieść do Rodzinnej Księgi Hendrixów, opowieść o miłości Dziadka i Babci do rock'n'rolla – kolejny rozdział w ich długiej historii miłosnej. Nigdy o tym wcześniej nie słyszałem i z przyjemnością wyobrażałem sobie, jak tańczą do tej piosenki na swojej werandzie, przytuleni, wywijając wokół fotela z wikliny, przystając za petuniami, by się pocałować. Taka była ich Ithaca – i musiałem go tam zabrać.

## ROZDZIAŁ 8

### Pan i Pani Fantasy

– O rany, Yes – rzuciła do Dziadzia Corrina.

– Yes! – zaśmiał się.

– Co? – spytałem.

– To nazwa zespołu – powiedział. Zaczął kiwać głową, a Corrina podkreśliła głośność.

Dziadzio i Corrina podśpiewywali razem do ryczącego z głośników *I've Seen All Good People*, lecz w połowie piosenki Corrina ściszyła radio. Wskazała przed siebie na restauracyjny szyld w kształcie serca po drugiej stronie szosy. Zwolniła na tyle, byśmy wszyscy mogli mu się dobrze przypatrzeć. Samej restauracji nie było nigdzie widać, jedynie szary kurz, parę porozrzucanych krzewów szaławii i przypominające kształtem chmurę urwisko gdzieś w oddali. Czerwone serce stało samotnie na środku pustyni z wypisaną przez środek nazwą „Jenny Rose” niczym tatuaż, który pozostał po ciele, którego już dawno nie było.

– Jenny Rose – zauważyła Corrina.

– To też nazwa auta? – spytałem.

– Uhhh – zabalgotała Corrina. – To Sheryl Crow. *Tuesday Night Music Club*. Dziewięćdziesiąty trzeci.

– Co?

– To była jej debiutancka płyta – kontynuowała. Ponownie nabrała prędkości, zmieniła pas. Pędziliśmy przed siebie.

Kiedy skończyła się piosenka Yes, Corrina zerknęła na Dziadzia, szybko przeskoczyła do innego utworu i puściła odtwarzanie.

– *Dear Mr. Fantasy* – zapowiedziała. – *Traffic*. Debiutancki album, Mr. Fantasy. Sześćdziesiąty siódmy.

– *Dear Mr. Fantasy* – powtórzył z tyłu Dziadzio. – Boże mój. Pamiętam.

– Tak coś przeczuwałam – przyznała Corrina.

– Skąd ty to wszystko, u diabła, wiesz? – spytałem.

– Ekshipisi – odparła. Zerknęła na mnie i pokręciła głową. – W końcu imię mam po piosence Boba Dylana, którą uwielbiali, no więc chyba wszystko jasne.

– No i co? Przez resztę życia faszrowali cię starociami?

– Klasykami – odezwał się z tyłu Dziadzio.

– Co?

– To klasyczny rock – powiedział. – Nie nazywaj tego starociami.

– Właśnie, Hendrix – droczyła się Corrina. – To klasyk.

Zaśmiała się, po czym zaśpiewała wraz z wokalistą, a jej głos harmonizował się i przeplatał z dźwiękami dobywającymi się z głośników.

Dziadzio skinął głową.

– Ty to masz głos – zauważył. Następnie oparł się na siedzeniu i wyjrzał przez okno.

Uśmiechnęła się, śpiewając dalej, i choć siedzieliśmy w samochodzie otoczeni pozbawionym życia pustynnym kurzem, w myślach wróciłem do sytuacji na deptaku, kiedy jej głos wznosił się ponad wrzawę nonsensu, jak u samotnego ptaka skrytego gdzieś pośród drzew, którego śpiew każe ci się zatrzymać, docenić chwilę wytchnienia i ciepło własnego oddechu.

– No dobra – stwierdziła, kiedy piosenka dobiegła końca. – Wystarczy. Przygotuję dwie playlisty. Jedną dla twojego dziadka, drugą dla siebie. Tego nam trzeba. Jak się gdzieś jedzie, trzeba mieć zarąbiste playlisty.

– A co ze mną? – dopytałem.

– Jak to „co z tobą”?

– Ja nie dostanę playlisty?

– Ty, Hendrix, jesteś chyba przypadkiem beznadziejnym. Za to twój Dziadzio? Dziadzio jest w porządku.

Odwróciła się i pokazała mu gest pokoju, na co odpowiedział skinieniem głowy.

Zaczęła bawić się telefonem.

– A zresztą nie potrzeba ci własnej playlisty. Obydwie są tak jakby dla ciebie.

W tym, jak to powiedziała, być może w tym, jak zmarszczyła przy tym nos, w autoironicznej irytacji moją osobą było coś, przez co zalała mnie fala szczęścia.

– W porządku – odparłem. Spojrzałem z powrotem na Dziadzia. – Czyli Corrina jest chodzącą muzyczną Wikipedią. Łapię. Ale skąd ty to wszystko znasz?

Dziadzio się uśmiechnął.

– Przez Babcię.

– Co?

– Twoja Babcia wciągnęła mnie w rock’n’rolla. Zawsze wyprzedzała mnie o krok. – Odwrócił się w naszą stronę i nachylił do przodu. – A wszystko

to dlatego, że musiałem pojechać do Wietnamu.

Kiedy Dziadzio zaczął swą opowieść, uświadomiłem sobie, że nigdy dotąd jej nie słyszałem, tak więc z torby pod nogami wyjąłem Rodzinną Księgę Hendrixów i zacząłem czym prędzej notować wszystko to, co mówił.

## O TYM, JAK BABCIA WCIĄGNĘŁA DZIADZIA W ROCK'N'ROLLA

Kiedy się myśli o wojnie w Wietnamie, przyjmuje się, że większość amerykańskich żołnierzy trafiała tam z poboru, ale to nieprawda. Dwie trzecie amerykańskich sił w wojnie stanowili ochotnicy. Jednym z nich był Dziadzio. Był rok 1966, on miał dwadzieścia sześć lat i był bez grosza przy duszy. Warsztat, który prowadził przez pierwsze trzy lata małżeństwa, ostatecznie splajtował. Mieli dwuletniego synka. Bez pomocy rodziców Babci straciliby dom. Nie miał innego wyjścia. Potrzebował pieniędzy i świadczeń. Tak więc Dziadzio się zgłosił.

Odbył sześciotygodniowe podstawowe przeszkolenie i pojechał na przepustkę do domu, zanim wysłano go na drugi koniec kraju, a stamtąd dalej przez Pacyfik. Nie było go zaledwie sześć tygodni, a rozstanie już bolało. Czuł to nawet w płytach, które puszczała, gdy powrócił ze szkolenia.

– Posłuchaj – powiedziała mu Babcia, gdy kazała mu usiąść na schodkach werandy na krótko przed tym, nim przyszło mu zejść z pagórka na przystanek autobusowy i opuścić miasto. – Wszystko się zmienia. Wszystko. Ale nie my.

Słuchali dużo muzyki folkowej, którą lubiła, a po tym, jak zgłosił się do wojska, tę piosenkę Malviny Reynolds o tym, co zrobili z deszczem, a *Saigon Bride* Joan Baez puszczała tyle razy, że był przekonany, że straciła rachubę, ale rozumiał, dlaczego tak tęskna, smutna i niemalże niewinna muzyka przypadła jej do gustu. Jednakże przez dwa dni pomiędzy powrotem ze szkolenia i wysyłką na front nastąpiła zmiana repertuaru. Puszczała teraz muzykę, jakiej nigdy dotąd nie słyszał.

– Brzmi wściekle – zauważył.

– Owszem – przyznała. – Bo i ja jestem wściekła.

– Nie wściekaj się na mnie – odparł Dziadzio. – Proszę, nie w mój ostatni dzień przed wyjazdem.

– Nie wściekam się na ciebie, Charlie. Wściekam się dla ciebie. Dla ciebie się gniewam. – Tym właśnie był dla niej rock'n'roll. Puszczała go, by myśleć o nim i o tym, dlaczego tam pojechał i jak bardzo chce, żeby wrócił. – Obiecuj, że jak tam będziesz, będziesz szukał takiej muzyki, i obiecuj, że będziesz o mnie



myśleć, o tym, jak w domu gniewam się dla ciebie. – Słuchali akurat *For What It 's Worth* grupy Buffalo Springfield. – To o jakichś protestach w Los Angeles – objaśniła. – Ale mnie kojarzy się z Wietnamem.

I kiedy się tam znalazł, kiedy trafiła się po temu okazja, kiedy poznał innych żołnierzy, którzy również słuchali tego rodzaju muzyki i którym ją przysyłano, usłyszał, jak w muzykę wkracza elektryczność, usłyszał mrok jej akordów, wezbrał w nim gniew na to, jak daleko się znalazł, a także ogromna determinacja, by zrobić wszystko, co będzie konieczne, najlepiej jak będzie mógł, aby uchronić się przy życiu i wrócić do domu, do Betty.

– Ale super! – krzyknęła Corrina, kiedy skończył opowieść. W czasie, który zajęło nam pokonanie pozostałej części Kalifornii, kiedy ja zajęty byłem przerabianiem notatek z ustnego wspomnienia Dziadzia na nowy rozdział Rodzinnej Księgi Hendrixów, Corrina w mig się z nim zaprzyjaźniła, omawiając różnice między dobrym rockiem i rockiem gównianym, wspólnie śpiewając znane piosenki i wyszukując w telefonie takie, których nie znała, lecz które on częściowo pamiętał. Sam nie kojarzyłem żadnej z nich. Sly and the Family Stone. *Me and Bobby McGee*. *The Lovin' Spoonful*. Grace Slick. *Cloud Nine*. *Eight Miles High*. *Easy Wind*. Thunderclap Newman. The Meters. Dziadzio i Corrina tak prędko przerzucali się hasłami, że niekiedy nie kojarzyłem, czy to tytuł piosenki, czy też nazwa grupy. Kiedy Corrina odszukiwała piosenkę w telefonie, czasami rozpoznawałem jakiś jej kawałek. Być może przez urywki z filmów albo reklam, bo piosenek jako takich nie znałem, gdyż w domu czy w samochodzie zawsze słuchaliśmy wiadomości, ja zaś byłem takim dziwakiem, co przez internet w starych katalogach bibliotecznych wyszukiwał nagrania, w których Maya Angelou opowiada, skąd wie, dlaczego ptak w klatce śpiewa, czy też Carl Sandburg czyta o tym, jak mgła przychodzi na drobnych kocich łapkach.

Lecz krótko po tym, jak przekroczyliśmy granicę z Nevadą, przerwałem im.

– Hej – wciałem się między piosenkami – a czy Babcia po wojnie dalej zapoznawała cię z muzyką?

– Oczywiście – odparł Dziadzio. – Nie chciałem się jej przeciwstawiać. A ona to uwielbiała. Potem zaś sam to pokochałem, gdyż ona to kochała.

– A zatem mój ojciec, dorastając, musiał pewnie słuchać sporo rock'n'rolla – zauważyłem. Nie wiem, dlaczego o tym wspomniałem. Choć może wiem. Może właśnie przez całe to mówienie o domu rodzinnym pomyślałem o Zmarłym Tacie. Może na tej samej zasadzie, na jakiej Dziadzio wziął ze sobą fotografię, ja zabrałem w podróż ducha Zmarłego Taty, albo też może to on mnie ścigał,

może to ta jego mokra ręka unosząca się ponad wodę, ten głos, którym nawołuje, bym do niego dołączył.

Dziadzio zamilkł na chwilę. Obróciłem się ku niemu, a on położył mi rękę na ramieniu.

– Tak – odparł cicho. Spodziewałem się, że powie coś jeszcze, on jednak odwrócił się i popatrzył przez okno.

– Na przykład co? – spytałem. – Jakie były jego ulubione kawałki?

– Nie wiem, Teddy – odpowiedział Dziadzio. – Naprawdę nie wiem, co lubił.

– Ale czy nie miał jakichś płyt? Coś sobie chyba puszczał?

– Mówiłem ci, że nie wiem – powtórzył Dziadzio. – Nie dręcz mnie już.

Delikatna sytuacja. Oczywiście, że nie należało dręczyć Dziadzia, a le mnie to zabolalo, bo sądziłem, zwłaszcza teraz, że w rzeczywistości wiedział więcej i rozmyślnie mi nie mówił. Chodziło wszak o mojego tatę. Jaka była jego ulubiona piosenka? Jaki smak lodów lubił najbardziej? W jakiej koszulce grał w szkole w bejsbol? Tego rodzaju drobnostki miały dla mnie znaczenie – i już.

Lecz Dziadzio najwyraźniej wciąż myślał o Wietnamie, bo gdy wjechaliśmy do Nevady, a Corrina zrobiła głośniej, gdy na jej playliście przyszła kolej na *Fortunate Son* Creedence Clearwater Revival, Dziadzio tym razem nie zaśpiewał, dalej milcząc. Wyglądał przez szybę na pylistą pustynię Mojave, bezwiednie czochrając po łbie Starego Grzmota.

– Przejeżdżamy przez Vegas – odezwał się wreszcie. – Chciałbym się zatrzymać i zobaczyć Gawędziarza.

Ściszyłem muzykę, żeby lepiej go słyszeć.

– Kogo? – dopytała Corrina.

– Gawędziarza – odparł Dziadzio. – Przejeżdżamy tuż obok niego. Od lat się z nim nie widziałem.

– Musimy dziś dojechać jak najdalej w kierunku Denver – zauważyłem. – Nie powinniśmy się zatrzymywać, o ile nie jest to konieczne.

– Możemy się zatrzymać – powiedział Dziadzio.

– Kto to jest Gawędziarz? – ponownie spytała Corrina.

Obróciłem się na siedzeniu, żeby spojrzeć na Dziadzia.

– Jest już późne popołudnie. Nie wiemy jeszcze, gdzie spędzimy noc.

– Będzie wiedział, że przejechaliśmy tuż obok niego. Serio. On po prostu takie rzeczy wie.

– Poważnie pytam – powtórzyła Corrina – co to za gość?

– Martwię się kwestią czasu – zauważyłem.

– Ty martwisz się kwestią czasu – powtórzył Dziadzio. – Ty? Teddy, mamy

czas.

Słyszałem, jak głęboko pod skórą budzi się w nim gniew. Nie było po co raz jeszcze doprowadzać go do wybuchu. Jak na jeden dzień scenka w barze z burgerami w zupełności wystarczyła. Po tamtym zajściu czułem się wyczerpany i zapewne zdołałbym z miejsca zasnąć na fotelu pasażera, bałem się jednak tego, co może nastąpić, kiedy tylko zamknę oczy. Martwiło mnie, co może się stać, kiedy w końcu tej nocy będę musiał zasnąć, podobnie jak to, co czekało nas w kolejnych dniach.

– W porządku – powiedziałem, odwracając się z powrotem do przodu. Opadłem na fotelu. – Ale tylko na chwilkę.

– Hurraa! – Corrina wyrzuciła pięść w powietrze. – Viva Las Vegas!

## ROZDZIAŁ 9

### Gawędziarz

Gawędziarz to facet, który na zdjęciu z plaży stał obok Dziadzia, ten wysoki, o szerokich ramionach, z gęstą czupryną odrzuconych w tył włosów, co śmiał się tak, jak gdyby wył do księżyca. Nigdy go nie poznałem, lecz słyszałem opowieści, i to smutne – Gawędziarz oberwał w plecy po wybuchu granatu i sparaliżowało go od pasa w dół. Utrzymywali ze sobą kontakt, lecz Dziadzio od lat już go nie widział.

Aby się z nim zobaczyć, jechaliśmy do Vegas, ale nie takiego Vegas, jakie wyobrażała sobie Corrina. Chwilę nam zajęło, nim zjechaliśmy z piętnastki i dostaliśmy się na ulice miasta, pozostawiając migotliwe megahotele bulwaru znanego jako The Strip z tyłu po lewej. Dziadzio przypominał sobie coraz więcej, aż w końcu, kiedy kilka razy okrążyliśmy kasyno Boulder Station, rozpoznał beżowy hotel w czerwone paski, który chciałby udawać dekorację z filmu umiejscowionego na Dzikim Zachodzie, gdyby tylko piętnastopiętrowe budowle miały w starych westernach rację bytu, i stwierdził, że Gawędziarz mieszka w pobliżu, bowiem pracował w Boulder Station i codziennie jechał tam na wózku.

Wszystkie domy w tej okolicy były wyraźnie mniejsze od mojego, niektóre były zaledwie przyczepami czy też miały rozmiar przyczepy z niewielkim spłachetkiem pylistej ziemi w charakterze podwórka. Dzielnica była pusta i niegościnna, co wzbudzało we mnie nerwowość. Chciałem wpaść i wypaść, bo czekała na nas trasa, a na niej jeszcze mnóstwo mil do przebycia.

Kiedy tak kręciliśmy się po tych zapuszczonych ulicach wśród pokrzywionych i powyginanych ogrodzeń, którym brakowało sztachet i kawałków drutu, przypomniałem sobie, ile to razy uskarżałem się na własny dom, sądząc, że jest mały i marząc o tym, by zamieszkać w którejś z tych kolorowych, schowanych za drzewami miniposiadłości na jednym z przyjemniejszych wzgórz Venice czy też w pobliżu promenady w Santa Monica.

W końcu, gdy przeczołgaliśmy się wzdłuż Avondale Avenue, Dziadzio wskazał na kolejny dom, bladoróżowy sześcian. Ten jednak otoczony był siatkowym ogrodzeniem w doskonałym stanie i połyskiwał w oślepiającym,

pustynnym słońcu.

– To tu – stwierdził Dziadzio. – To tutaj mieszka.

Było nieco po wpół do czwartej po południu, a kiedy zaparkowaliśmy przed budynkiem i zgasiliśmy silnik, poczuliśmy, jak z chwilą wyłączenia klimatyzacji skwar zakrada się do wnętrza pojazdu. Przypiąłem Staremu Gr zmotowi smycz, po czym wszyscy czworo stanęliśmy przed furtką.

– Jest pan pewien? – spytała Corrina. Wachlowała się dłonią. – Trochę się boję, że ten, kto tu mieszka, powita nas z bronią w ręku.

Powietrze było ciężkie i przesycone niepokojem, a gdzieś zza domu dało się słyszeć charakterystyczny, metaliczny warkot i buczenie. Obydwa okna od frontu, a także przeszklone drzwi, zasłaniały spuszczone żaluzje. Na moment jedna z nich uniosła się w kąciuku, zaraz jednak opadła z powrotem.

Stary Grzmot kręcił się tam i z powrotem, wężąc przy ogrodzeniu.

– No – odezwała się Corrina – sprawdźmy, kto jest w domu.

Kiedy zrobiłem krok przed siebie i sięgnąłem ku furtce, frontowe drzwi się otworzyły i zobaczyłem mężczyznę na wózku inwalidzkim, który gorączkowo machał w moją stronę. Stary Grzmot zaszczekał.

– Czekaaj! – zakrzyknął mężczyzna, ale było już za późno. Ledwie mój palec musnął klamkę furtki, szarpnął mną wstrząs i poczułem się dziwnie skołowany.

Wszyscy się cofnęli, a mężczyzna na wózku sięgnął przed drzwi wejściowe i przełączył pstryczek w skrzynce na progu.

– W porządku! – Gestem zaprosił nas do środka, lecz ja pozostałem w miejscu, czy też prawie, bowiem wydawało mi się, że zemdleję, ale Dziadzio objął mnie ramieniem. Otworzył furtkę i wprowadził nas wszystkich na posesję.

– Przepraszam – odezwał się Gawędziarz. – To tylko takie drobne zabezpieczenie, by nie przełaziły mi tu dzieciaki z sąsiedztwa. Mocno oberwałeś?

Pokręciłem głową, bo też co innego miałem zrobić, rozplakać się? Nadal czułem w sobie lekkie wyładowania, lecz powiedziałem, że nic mi nie jest.

Skinął głową, a następnie wyciągnął dłoń do Dziadzia.

– Charlie! Nie mówiłeś, że przyjeżdżasz. Co jest, stary? Chodź no tutaj.

Poprowadził nas do klimatyzowanego wnętrza i prędko zamknął drzwi. Jego dom przypominał węzowisko korytarzy oplecionych kablami, które biegły wzdłuż ścian, prowadząc do rozmaitych klawiatur, monitorów i rozproszonej kolekcji części komputerowych, konsoli do gier i elektroniki gromadzonej chyba przez cztery ostatnie dekady. Stały tam nieznane mi modele komputerów Apple, stara konsola Nintendo walająca się pomiędzy książkami na niskiej półce,

wszędzie też widać było ekrany, w tym jeden przy wielkim fotelu, inny zaś wciśnięty w róg kanapy. Na taborecie stał stareńki komputer Atari z wciąż wsuniętą grą Pong, która wystawała ponad konsolę niczym ołtarzyk. Przez jeden z ekranów powoli przelatowała duża, dwubarwna, rysunkowa kaczką. Gawędziarz chwycił szary pistolet Nintendo i zestrzelił kaczkę, przejeżdżając na drugi koniec salonu, gdzie kończył się dywan a zaczynały kuchenne kafelki. Nie musiał daleko jechać. Byłem pod wrażeniem, jak prędko i sprawnie poruszał się w tym bajzlu.

– To moje miejsce – powiedział, ogarniając ruchem ręki pokój. – Nazywam je Gniazdem. Witajcie – dodał. Następnie, marszcząc brwi, spojrzał na Dziadzia. – Ile to już lat?

Dziadzio rozejrzał się dookoła i ostrożnie podążył za Gawędziarzem.

– Sam nie wiem – przyznał.

– Co najmniej ze cztery, może więcej. Ja cię sunę! – Gawędziarz zerknął w tył na mnie i Corrinę i wzruszył ramionami. – Wybaczcie. Jeśli chodzi o maniery, to jestem zdrowo popierdolony – to jest, chciałem powiedzieć... Cholera, wiecie, co miałem na myśli. Sorry.

Stałem jak wryty na środku salonu. Nawet Stary Grzmot wzmógł czujność. Węszył pośród kabli i komputerów, jak gdyby obawiał się kolejnego kopnięcia prądem. A przynajmniej miałem nadzieję, że to właśnie robi, bo sam jeszcze poruszałem się powoli, nerwowo mrugając, ziewając i głęboko oddychając, pragnąc się upewnić, że moje ciało działa, jak powinno.

Corrina wyminęła mnie.

– Mnie to nie przeszkadza – zapewniła.

– Nie – zauważył Gawędziarz. – Ty mi wyglądasz na najtwardszą z tej ekipy.

– Bo jestem – stwierdziła, siadając na szafce, która pełniła też rolę blatu. Obok stało parę wolnych stołków, ale nie zwróciła na nie uwagi. Gdy tam przycupnęła, znalazła się praktycznie na tej samej wysokości co ja i z uśmiechem spojrzała w moją stronę.

– Wydaje mi się, że ma rację – zawyrokował Dziadzio. Sprawiał wrażenie zmęczonego i opadł na jeden z taboretów. – Za stary już jestem.

– W porządku – odparł Gawędziarz. – Ale przecież nie jechałeś taki kawał drogi, żeby mi to powiedzieć. Co się dzieje? Powiedziałbym, że zabrałeś ze sobą całą rodzinę – zauważył, lecz zaraz spojrzał chytrze na Dziadzia. – Tyle tylko, że nie zabrałeś.

– Syn chce mi pomóc – powiedział Dziadzio, a ja pomimo oszołomienia zerknąłem na niego, usiłując przewidzieć, co się następnie wydarzy, martwiłem

się bowiem, że traci kontakt z rzeczywistością. Podeszedłem do niego i oparłem się o blat pomiędzy nim a Corriną. Zdjął kapelusz i zawiesił go na kolanie. – To znaczy wnuk.

Potarł twarz i spojrzał na ścianę. Na kołku przybitym do drewnianych listewek na ścianie Gawędziarz miał taką samą, czarno -złotą czapkę bejsbolową weterana z Wietnamu jak Dziadzio.

– A już sądziłem, że to ja mam tyle historii do opowiadania. – Gawędziarz się uśmiechnął. – Taka okazja, że trzeba się napić. – Sądząc po kolekcji pustych butelek w beczce stojącej przy drzwiach, Gawędziarz był zagorzałym miłośnikiem burbona Basil Hayden's. Wychwycił moje spojrzenie. – Kosztowny trunek jak na gościa na rencie, ale jak to mówił Abe Lincoln, człowiek bez wad ma niewiele zalet. A poza tym to Vegas, do diaska. Charlie, szklaneczkę czegoś dobrego?

Dziadzio pokręcił głową.

– Nie mogę.

Gawędziarz zmarszczył brwi.

– A to cholera – skwitował i wszyscy zrozumieliśmy, że odnosi się do choroby Dziadzia. – A wy? – Wskazał palcami na nas.

– Weźmiemy, co pan da – odpowiedziała Corrina. Gawędziarz się roześmiał. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zawiesiła je na dekolcie mojego tizerta, ja zaś się zawahałem, nic nie mówiąc, ponieważ nie byłem pewien, czy to od kopniaka z ogrodzenia pod napięciem, czy też przez delikatny dotyk palców Corriny u podstawy mojej szyi poczułem drobne elektryczne iskry.

Kiedy Gawędziarz podjechał wózkiem do skrzynki, by wyjąć z niej szklanki, Dziadzio pokręcił głową.

– Lou – napomniął go. – To jeszcze dzieci.

Gawędziarz spojrzał na niego, nalewając sobie niewielkiego szota ze świeżo otwartej butelki. Szybko go wypił i nalał sobie tym razem pełniejszą szklankę.

– Dla ciebie to jeszcze jedna drzazga w dupie, co nie? – zauważył. – Wuj Sam najmuje cię na rok, wysyła na drugi koniec świata, by tam usiłovali cię rozwalić na tysiąc różnych sposobów, a po powrocie do domu nie możesz nawet napić się burbona. Popieprzone, nie?

– Popieprzone – zgodziła się Corrina. Machała zwieszonymi pod blatem nogami, ewidentnie smakując każde słowo, jakie padało z ust Gawędziarza. – Niesprawiedliwe, nie fair, nieludzkie – ciągnęła dalej.

– I ni cholery nie możemy z tym zrobić – skwitował Gawędziarz.

– Otóż to – przyznała. – I wszystko to wydaje mi się dosyć osamotniające.

Zaśmiał się.

– Osamotniająca. Podoba mi się to określenie. Cholernie trafne. Hej, wy jesteście razem? – spytał, wskazując na mnie palcem. – Jesteście parą? Chodzicie ze sobą? Czy jak to się teraz, u diabła, nazywa?

– Nie – odpowiedziała pospiesznie Corrina.

– Coś z tobą nie tak? – spytał mnie.

– Ehm, ona też ma tu coś do powiedzenia – zauważyłem.

– A żebyś wiedział – potwierdziła Corrina.

– Tak. Tak, jasne. Łapię. – Ponownie się roześmiał. – Cóż, zauważyłem za to, kogo z wami tutaj nie ma. – Pociągnął nosem. – Rodzinnej optymistki.

– Proszę – odezwałem się, odstępując od powierzchni barowej. – Ona nie wie, że tu jesteśmy.

Słyszając, z jakim naciskiem to powiedziałem, Gawędziarz skinął głową.

– Słuchaj, młody, rozumiem. Nie wygadam się. – Nalał jeszcze do swojej szklanki, po czym przejechał wózkami w miejsce, gdzie na ekranie wyciszonego telewizora widać było kolejnych kilka kaczek, a także psa o sierści tej samej barwy, co Stary Grzmot, mrugającego w oczekiwaniu, aż coś się wydarzy. Gawędziarz wyłączył telewizor i ustawił się przed nami.

– Jak to już mówiłem – ciągnął dalej. – Opowieści.

– W porządku, Lou – odezwał się Dziadzio. – Chciałem tylko wpaść i zobaczyć, jak się miewasz. Masz teraz więcej tego syfu dookoła niż poprzednim razem. – Lubiałem, kiedy Dziadzio używał soczystego języka, niezależnie od tego, co o tym sądzili goście z Calypso. Dzięki temu brzmiał, jakby się zbierał do powrotu na szczyt, jak gdyby wciąż się czegoś mocno trzymał i nie pozwalał, by mu się to wyslizgnęło.

– Cztery lata temu, może pięć – zauważył Gawędziarz.

– Wiem. Po prostu miałem trochę kłopotów.

– Wiem – odparł Gawędziarz – wiem. – Podjechał do fotela i zestawiał monitor na podłogę. – Usiądź, Charlie, wyglądasz, jakbyś był wykończony.

– Bo i jestem. Ale jadę do domu – odpowiedział Dziadzio. – Jedziemy do Ithaki. O to właśnie chodzi. – Opadł na siedzisko i odchylił głowę w tył. – Wreszcie.

– Ach – skwitował Gawędziarz. – Skoro ruszyliście w drogę, musicie to uszanować. Takie wyprawy zawsze trzeba uszanować.

– Otóż to – przyznał Dziadzio. – Takie wyprawy trzeba uszanować.

Pokiwali głowami, jak gdyby odnosili się do czegoś z przeszłości.

Gawędziarz spojrział na mnie.



– Dobra, młody, ja się nie wygadam, ale – zerknął znacząco na Dziadzia, który trochę zdawał się odpływać – musisz mi powiedzieć, co jest grane. Chciałbym wam pomóc. To kawał drogi.

– Ano kawał – przyznałem. – Ale musimy ją pokonać.

Gawędziarz zmarszczył brwi i pogroził mi palcem.

– Nie bądź mięczakiem, nikt nie lubi mięczaków. Nabierz ikry i posłuchaj. Chcę ci opowiedzieć historię o twoim dziadku. Pewnie nigdy ci nie mówił o tym, jak uratował połowę naszego oddziału w samym, kurwa, środku kanonady, co nie? Jeżeli ktoś miałby dokonać czegoś podobnego, to właśnie ten gość. – Wskazał na Dziadzia, który nawet jeżeli kiedyś był bohaterem wojennym, to teraz stał się drobnym człowieczkiem w nazbyt wymiętych ubraniach i właśnie zapadał się w fotelu wykonanym z myślą o kimś wyraźnie większym niż to, co z niego zostało.

– Słuchaj – kontynuował Gawędziarz. – Usiądź sobie wygodnie. Gdzieś w głębi lodówki powinienem mieć parę puszek Bestii. Weź sobie coś, żeby zwilżyć wargi i siadaj. No i przynieś też coś koleżance. Wygląda na spragnioną.

Dziadzio posłał mu spojrzenie.

– No co? Spróbuj mi wmówić, że w tym wieku nie piłeś piwka. I że nie było to legalne, do stu diabłów!

– On ma piętnaście lat.

– Siedemnaście – sprostowałem.

– Tak czy siak, jeszcze dzieciak – zwrócił się do mnie Dziadzio.

– A tam – odezwał się Gawędziarz, kwitując słowa Dziadzia machnięciem ręki. – Rok dzieli cię od piekła. Nie zwracaj uwagi na staruszka – powiedział mi. – Idź i przynieś parę browarów.

Lecz Gawędziarz nie opowiedział nam jednej historii, a pięć czy sześć, a wszystkie się nawzajem przeplatały, mówił więc o okropieństwie stacjonowania na północy, na płaskowyżu w pobliżu wietnamskiej strefy zdemilitaryzowanej, w pierwszych czterech miesiącach 1968 roku, o tym, jak wszyscy w oddziale uwielbiali Dziadzia, także za to, że niewiele mówił, ale jak już mówił, to nie pieprzył o byle czym, jak również za to, że choć był starszy od pozostałych sierżantów i tak każde cholerne zadanie i uciążliwą pracę wykonywał wraz z nimi, ramię w ramię w błocie, pośród trzciny i w deszczu, tak więc najważniejszym słowem, jakie między nimi padało, było „my”.

– Przedzieraliśmy się w smrodzie rozmokłej ziemi, pośród woni gnijących liści i gałęzi, zadzierając głowy, by przyjrzeć się monstrualnych rozmiarów roślinności, wsłuchując się w potworne odgłosy dżungli, poprzez błoto i tę całą

dziwność, przeskakując przez paprocie i drzewa zanurzone w wodzie i poskręcane od jej ciężaru niczym wielkie, zielone zasłony, których nikt nie odsuwał, albowiem za nimi czyhał oddech śmierci. Zastanawialiśmy się – gdzie jesteśmy? Gdzie czekamy, gdzie idziemy? Dlaczego akurat tutaj? W workach mieliśmy szczury. Mieliśmy węże. W oczach, ubraniach i włosach kłębiły nam się nieprzeliczone chmary owadów.

Nigdy nie rozumieliśmy naszych rozkazów czy też tego, dokąd zmierzamy. Nawet wtedy, kiedy cel podróży był jasny, jak gdy śmigłowcami przerzucano nas na północ i desantowano bez zatrzymywania, a jedynie zwalniając w locie, każąc wyskakiwać wprost na pole, które przeorywały już pociski smugowe, gdzie kule przecinały trzciny i trawę, kule przelatowały przez liście i drzewa, kule trafiały w błoto i w ziemię. Czołgaliśmy się wkoło z gwizdem moździerzy ponad naszymi głowami.

Noce spędzaliśmy w okopach, zaparci plecami o wały z worków z piaskiem, ściskając się w kolanach i krzycząc. Wykopywaliśmy sobie stanowiska i zajmowaliśmy je na noc, obserwując aktywność przeciwnika przez podczerwień. Potem przez całą noc spadały na nas tony pocisków moździerzowych, nieprzyjaciel wdzierał się do okopów i przełamywał nasze pozycje, a obok płynęła rzeka ciał zabitych w walce wręcz. Wybuchł granat i rzuciło nas o ścianę okopu, a zgiełk toczącej się naokoło bitwy, wrzaski, krzyki, koszmarny terkot kałasznikowów, chlupotanie błota i jęki zlewały się w naszych uszach w jeden odgłos, a dłonie mieliśmy śliskie od własnej krwi i wołaliśmy o pomoc, ale nie słyszeliśmy siebie nawzajem, bo głuchliśmy od hałasu, a przy tym było ciemno i z bólu nic nie widzieliśmy, ale Charlie wyciągnął nas stamtąd do głębszego wykopu, a walka wokoło ciągnęła się aż po brzask, kiedy to wszystkich rannych wyciągnięto, by poczekać na śmigłowce, i sądziliśmy, że siedział tam z nami przez całą noc, ale tak nie było, bo w międzyczasie wyskoczył i wyciągnął jeszcze Jacka Powersa, Matta Washingtona i innych. W wioskach szalały pożary, pochłaniając chaty, pożerając wokół nas szopy, drzewa, rośliny śliskie od ognia i Bóg wie co jeszcze. Dymy nad błotem. Dymy wśród trzciny. Dymy wśród drzew i listowia. Wojna była w nas, nasze ciała, nasze trumny zawierały w sobie jedynie szept śmierci w oddechu naszych kości. Dżungla zakradała nam się do umysłów.

## ROZDZIAŁ 10

### Wszystkie drogi prowadzą do Saint Louis

Kiedy Gawędziarz skończył opowiadać, uniósł butelkę z burbonem, ocenił na oko pozostałą ilość płynu, zawahał się, po czym nalał sobie jeszcze szklanę.

– Cholerne czasy – stwierdził, nim upił kolejny łyk. – Prawdziwy koszmar.

Dziadzio słuchał opowieści Gawędziarza, od czasu do czasu kiwając twierdząco głową, lecz twarz cały czas miał pozbawioną wyrazu i posępną. Nie ruszył się z fotela, sięgając jedynie ręką, by podrapać Starego Grzmota po karku. Kiedy jednak wróciłem z łazienki, Gawędziarz sączył burbon, zaś nachylony do przodu Dziadzio mamrotał coś pod nosem.

– Nie wiem, dlaczego akurat takie sprawy muszę tak dokładnie pamiętać. Mnóstwo jest rzeczy, o których chciałbym pamiętać, ale nie daję rady. A zarazem są takie historie, o których, wybaczu Lou, z kolei wolałbym raczej zapomnieć. Wciąż słyszę te świszczące wokół pociski, jak gdyby działo się to tu i teraz. Takiego napięcia nigdy się nie zapomina. Jezu, i te ciała. Chcę zapomnieć o tych ciałach, Lou, ale nie potrafię.

– Ani ja – odparł Gawędziarz. – A z kim mógłbym o tym pomówić, czy w ogóle ktoś, kto tam z nami nie był, chciałby o tym słuchać? Każdy z wojny wraca trochę martwy. Mamy szczęście, że w naszym przypadku tylko trochę.

– O rany – rzuciła Corrina. Lekko się o mnie oparła. Dłonie miałem na blacie. Podpierałem plecami bar, a ona po prostu położyła swoją dłoń na mojej i ją tak zostawiła. Gdzieś w trzewiach coś mi załopotalo jak flaga na wietrze, kiedy poczułem obok siebie miękką i smutny oddech jej ciała.

– Tak wiele opowieści – zauważył Gawędziarz.

– Nazywają cię Gawędziarzem – zwróciłem się do niego. – A może opowiedz coś o Betty? Dla Dziadzia.

Dziadzio spojrział na mnie i się uśmiechnął. Odniosłem wrażenie, że miał coś na końcu języka, nic jednak nie powiedział, usiłując opanować w sobie coś jeszcze. Zatrzepotał powiekami. Stary Grzmot trącił go i połasił się głową o nogę Dziadzia. Dziadzio oparł się w fotelu i wiedziałem, że rozsmakowuje się w innych drobnych wspomnieniach, jakie był akurat w stanie przywołać.

– To prawda – odezwał się do Dziadzia Gawędziarz. Jednym kołem wózka jeździł w przód i w tył, uniósł się i poprawił na siedzisku. – Na ciebie w domu

czekał ktoś. Ktosie.

I w ten oto sposób w pokoju między nami pojawił się mój ojciec. Byli więc Dziadzio i Betty, nieszczęście zażegnano, wbrew przeciwnościom losu rodzina znów była razem, a z przeszłości przez tę opowieść wyłonił się także mój Zmarły Tata. Jestem jakoś pewien, że właśnie o to chodzi, gdy w kontekście pradawnych kultur wspomina się o potędze opowieści i znaczeniu mitu. Że ich przedstawiciele to właśnie mieli na myśli, kiedy wspominali o czasie mitycznym, w którym przeszłość żyje równolegle do terażniejszości.

– Znał pan mojego ojca? – spytałem.

– Nie za dobrze – odpowiedział Dziadzio, nim Gawędziarz zdołał dojść do głosu. – Ale w sumie kto go znał? Mam rację, Lou?

Gawędziarz zerknął na Dziadzia, po czym wrócił spojrzeniem do mnie.

Po pokoju przeszedł szmer i ciszę wypełnił duch Zmarłego Taty, aż nazbyt dobrze znany mi z Wielkiego, Pustego Błękitu, nadciągając niczym niewidzialna mgła, przypominając nam, że nie da o sobie zapomnieć – że również na tym wyjeździe podąża za nami.

Pierwszy odezwał się Gawędziarz.

– Co chcecie znaleźć tam na Wschodzie? – spytał.

– Betty – odparł Dziadzio.

Na chwilę zamilkłem, pragnąc się upewnić, że nie powie nic więcej, że nie doda czegoś naprawdę dziwnego, jak gdyby znienacka pomyślał, że ona wciąż tam będzie, podobnie jak Zmarły Tata, że może on sam ma znowu dwadzieścia dziewięć lat i wraz z kolegą z wojska z torbami podróżnymi wepchniętymi pod siedzenia jedzie autobusem z San Francisco do Nowego Jorku, że są w długiej drodze powrotnej po tym, jak udało im się przeżyć Wietnam.

– Teddy zabiera mnie do domu – ciągnął Dziadzio.

– Zgadza się – potwierdziłem.

– A ja się muszę trzymać ograniczeń prędkości – dodała Corrina. – Co też spowalnia sprawę.

Sięgnęła po swoją puszkę piwa, ale nic już w niej nie było. Upiła więc łyk z mojej.

Przewróciłem oczami.

– No, a na dodatek dane Dziadzia są w systemie. Mieliśmy go zabrać jedynie na trzy dni – łącznie z tym dzisiejszym.

Gawędziarz uderzył pięścią w dłoń.

– Cholera, mam nadzieję, że nie przejeżdżaliście przez żadne bramki, co?

– Nie – odparła Corrina.

– To dobrze – stwierdził. Przejechał obok nas, duszkiem wypił resztkę burbona ze szklanki, którą zostawił przy skrzynce, po czym zaczął coś pisać na jednej z klawiatur przy fotelu, który zajął Dziadzio. – Na pewno? – mruknął, nawet na nas nie spoglądając.

– Mhm – potwierdziła. – Nie jechaliśmy takimi drogami.

Ciągle trzymała moje piwo i zastanawiałem się, czy powinienem je odebrać, ale w jej dłoniach wyglądało tak naturalnie, jak gdyby doskonale przywykła do tego, że opiera się swobodnie o barowe blaty, omawia trasy i miejsca do odwiedzenia, i to, jak na tym wielkim świecie powinno się żyć, jak po nim się rozbijać, jak go odkrywać, jak widzieć, jak słyszeć, jak ten świat czuć, dotykać i smakować.

Przez ramię Gawędziarza Dziadzio spojrzął na niewielki monitor na regale.

– Ani trochę się nie zmieniłeś – skwitował. – Ciągle te same teorie spiskowe.

– Charlie, jeżeli coś dzieje się naprawdę, to to już nie jest teoria spiskowa.

– Dobra, dobra. Co tam masz? – spytał Dziadzio, nachylając się bliżej.

– Popatrz sam – odparł Gawędziarz. Wskazał na o wiele większy monitor, który ustawił na podłodze nieopodal fotela pod takim kątem, że z blatu widzieliśmy jego ekran. – To mapa wszystkich głównych szos i autostrad w kraju, gdzie zainstalowali kamery odczytujące numery z tablic.

– Serio? – spytałem.

– Co, kurwa? – spytała Corrina.

– No właśnie – przyznał Gawędziarz. – To się dzieje naprawdę. Rzecz jasna, najbardziej oczywistym miejscem są bramki, gdzie się płaci, ale kamery zamontowali przy różnych drogach. Na całe szczęście, kiedy Wuj Sam odstawia takie numery, niektórzy z nas to przyuważają.

– Przy których drogach? – spytałem. – Przy wszystkich?

– Pewności nie mam, ale równie dobrze możecie przyjąć, że przy wszystkich, bo przy bardzo wielu, i owszem – odparł Gawędziarz. – Oczywiście w różnych stanach inaczej to wygląda. Ale o Chicago i całym stanie New Jersey możecie zapomnieć. W ogóle się tam nie zapuszczajcie.

– O Chicago? Przecież to na naszej trasie.

– Mowy nie ma. Strefa zakazana. Kiedy tylko znajdziecie się parę mil za Peorią, będą mieli w systemie tak wasze auto, jak i fotkę wszystkich na pokładzie. Po prostu tam nie jedźcie.

Corrina zeskoczyła z baru i zgarbiła się nad ekranem.

– Są wszędzie – zauważyła.

– Skąd pan wie o tych rejestratorach tablic? – spytałem.

– Słuchajcie. – Gawędziarz obrócił się w miejscu w naszą stronę. – Wielu z nas jeździ na zloty. Przede wszystkim motocyklowe, ale niektórzy muszą jechać samochodem albo siedzieć w bocznej przyczepce. W ramach tych zlotów jedziemy kawał drogi przez pustynię czy też góry, zatrzymując się w kolejnych miastach, tak tylko, aby przypomnieć o tym, że jeszcze żyjemy. Wszystko to jest zupełnie legalne, nie ma powodu do obaw, gliniarze jadą z nami, to już nie sześćdziesiąty ósmy, nikt już się weteranom nie naprzykrza, tyle że kilku gości miało nieopłacone mandaty, no więc przejeżdżamy granicę stanów i zjeżdżamy na postój na obrzeżach Denver, a tu paru policjantów kręci głowami i pakuje mandaty za wycieraczki kilku naszych wozów i na jeden motor, przy czym nawet, cholera, nie sprawdzali tablic – po prostu dostali informację przez radio i podano im numery. Sami nie mieli ochoty tego robić, ale otrzymali dyspozycję, więc nie mogli jej tak po prostu olać.

Gawędziarz klepnął Corrinę w ramię, toteż podniosła się i zeszła mu z drogi. Chwycił butelkę, nalał sobie więcej do szklanki, wypił ją na raz, po czym uderzył się flaszka po nodze. – Wiecie, moja robota polega na dbaniu o to, by serwerów w kasynie Boulder Station nie trafił szlag – mówił dalej. – Mniej więcej tyle ode mnie chcą. Ale informacja to już nie świstek papieru w starej szafie na dokumenty. To niewidzialny szereg zer i jedynek, ciągnący się w nieskończoność w eterze. Nazywali to kiedyś superautostradą informacyjną. – Spojrzał na mnie. – Po takiej autostradzie mogę sobie śmigać. Jestem na wózku, ale nie oślepiłem. Kiedy zapuszczę się gdzieś, gdzie nie powinienem, uważnie się rozglądam. – Przerwał i wbił we mnie palec. – Jak się komuś wygadasz, to usmażę twoje jaja w panierce. Kumasz?

Kumałem i ani myślałem się wygadać, więc skinąłem na potwierdzenie.

– Ale są chyba przecież jakieś drogi, na których by nas nie śledzili? – spytałem.

– Oczywiście. – Podjechał z powrotem do klawiatury. – Całe mnóstwo, ale musicie się pilnować.

– Nie możemy jechać przez Denver? – dopytałem. – Bo zamierzaliśmy pruć stąd właśnie do Denver, a dalej prosto do Chicago.

Gawędziarz powiększył widok mapy i wskazał na nią dłonią, w której wciąż trzymał pustą szklankę.

– Pojedziecie na południe, przez Flagstaff, starą odnogą dawnej sześćdziesiątki szóstki i powoli wykręcicie na północ. Nie możecie jechać dalej trasą południową, bo ciągnąc na północ przez Waszyngton, załatwilibyście się na amen, a poza tym wyniosłoby was za daleko od celu. Wasza trasa wygląda

tak.

Podążyłem za jego palcem, którym przeciągnął po ekranie.

– Wszystkie drogi zdają się prowadzić przez Saint Louis – zauważyłem.

– Zgadza się – potwierdził. Spojrzał na mnie. – Nie przeszkadza ci to?

– Skoro to właściwa trasa, to jasne, że nie – odparłem.

Gawędziarz zerknął na Dziadzia, który pokręcił głową.

– Co? – spytałem. – Co takiego jest w Saint Louis?

– Nie, nic – uciął Gawędziarz. Odwrócił wzrok i machnął dłonią na wysokości głowy. – Po prostu co raz przychodzą mi do łba jakieś oderwane wspomnienia.

– Nie zwracajcie na to uwagi.

– Dobra – oznajmił Dziadzio. – Wystarczy tego.

Gawędziarz już odjeżdżał, ja jednak podniosłem się i stanąłem mu na drodze.

– Co takiego jest w Saint Louis?

– Lou – głos Dziadzia zabrzmiał jak ostrzeżenie – to nieodpowiedni moment.

W pokoju zapanowała niezręczna cisza. Czułem, jak na czoło występuje mi pot.

– Dziadziu – odezwałem się tak spokojnie, jak tylko mogłem. Nie chciałem go zanadto pobudzić. – O czym ty mi nie mówisz? – Znowu cisza. – Czy to coś związanego z moim tatą?

Dziadzio odwrócił wzrok, zamknął się w sobie jak zawsze, kiedy pytałem o Zmarłego Tatę, ale Gawędziarz uniósł brwi i spojrzał na Dziadzia wiele mówiącym wzrokiem. Nie mogłem się już powstrzymać.

– Zginął w rzece niedaleko Ithaki! – wykrzyknąłem. – Wiem tylko tyle. Ale tu kryje się coś jeszcze, prawda? Dziadziu?

Gawędziarz znowu spojrzał na Dziadzia.

– Nie ma co przed młodym ukrywać, że ona tam mieszka – zauważył.

– Cholera jasna, Lou!

– Sam to stwierdził – mówił dalej Gawędziarz. – Tak czy siak, jedziecie przez Saint Louis.

– Kto tam mieszka? – dopytałem. – Co za ona?

– Lou. – Dziadzio położył Gawędziarzowi dłoń na ramieniu.

– To jedyna droga – dodał Gawędziarz. Wytoczył się spod uchwytu Dziadzia i wyjechał na środek pokoju. – A zresztą Charlie, na Boga, przecież to już nie jest chłopczyk.

– Obiecałem – odparł Dziadzio.

– No, dalej, Charlie. Chryste, ty to rzeczywiście się nie zmieniasz.

– Staram się chłopaka nauczyć czegoś o obietnicach. O tym, ile znaczą.

– Ja wiem – odpowiedział Gawędziarz. – Ja wiem.

– Hej – odezwał się. – O czym wy w ogóle mówicie?

– Cóż, spytaj dziadka – odrzekł Gawędziarz. Wyminął nas, objechał bar i wtoczył się do kuchni. Otworzył lodówkę i wyciągnął z niej ostatnią puszkę piwa.

– Cholera jasna, Lou – warknął Dziadzio. – Ty naprawdę nie wiesz, kiedy trzymać gębę na kłódkę, co?

Gawędziarz spojrział na puszkę i rzucił mi ją przez kuchnię.

– Zgadza się, twój ojciec zginął w wypadku samochodowym pod Ithacą – kiedy jechał zobaczyć się z kobietą, z którą miał romans. Tyle że ona, Teddy, już nie mieszka w Ithace. Mieszka teraz nieopodal Saint Louis. W mieście zwanej Troy, już w Illinois. Akurat tamtędy będziecie przejeżdżać.

Dziadzio pokręcił głową.

Wziąłem głęboki wdech, zdając sobie jednocześnie sprawę, że historia o śmierci mego ojca pojawiała się w tylu innych umysłach, w tylu innych możliwych rozmowach. Zabrzmi to głupio, ale dotychczas z jakiegoś powodu myślałem wyłącznie o tym, jak to się miało do mnie, do mamy i do Dziadzia, a nie przyszło mi do głowy, że nie pogrążył się bez reszty w ogromnej nicości, a jego imię wciąż się pojawiało na ustach innych, być może nie tak, jakby sobie tego życzył, tym niemniej było obecne w teraźniejszości, jako imię człowieka, który żył, który chodził po tym świecie i który ewidentnie nawalił.

Dziadzio przeszedł przez pokój, położył mi rękę na ramieniu i spojrział na mnie wilgotnymi oczami, jak gdyby miał zaraz coś powiedzieć, ale tego nie uczynił. Oparł się o bar. Ponownie objął mnie ramieniem, a ja zrobiłem to samo.

– Mądry chłopak był z mego syna – wyrzucił w pustkę pokoju, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego, wpatrując się raczej w podłogę czy też w przestrzeń między Corriną a mną. – Ale samolubny. – Głos mu się załamał. – Bez dwóch zdań.

– Nie mógł być tak do końca zły – zauważyła Corrina. Uśmiechnęła się do Dziadzia. – Wystarczy spojrzeć na jego ojca.

Była tyle ode mnie silniejsza. W gardle miałem sucho i brakło mi słów.

– Nie. Nie, nie był. – Dziadzio pokręcił głową.

Gdy jego słowa wybrzmiewały, przytulił mnie, a ja trzymałem go tak mocno, jak tylko mogłem.

– Słuchaj – gdzieś z tyłu, z kuchni, odezwał się Gawędziarz. Szukał czegoś po szafkach, kolejno otwierając je i zatrząskując z łomotem. – Sam najlepiej wiesz, że świat jest bardziej złożony.



Mówił do Dziadzia, ale ja się z nim zgodziłem. Kiedy mój ojciec zmarł, byłem za młody, by zdążyć go naprawdę poznać. Wspomnienia o nim miałem wybiórcze i prawdopodobnie zmyślane, były to raczej okruchy tego, kim chciałbym, żeby był, nie zaś tego, kim był naprawdę. Ale bez względu na to, czy żył, czy już nie żył, nadal był moim ojcem, a kiedy jesteś dzieckiem, to czujesz coś dziwnego, gdy twój rodzic nie ma racji. I to nie w związku z jakąś błahostką, którą usłyszałeś w szkole, taką jak szybszy sposób na opanowanie tabliczki mnożenia, ale kiedy naprawdę nie ma racji, kiedy myli się głęboko i fundamentalnie, jak wtedy, gdy przychodzi odróżnić prawdę od fałszu i okazuje się, że to ty, a nie on, wiesz, co jest słuszne. Pomyślałem też o mamie i o tym, że pewnie to nie tylko samotność, ale i zdrada popchnęła ją głęboko w objęcia kancelarii Brenner, Stoddard & Pell. Kiedyś była inna. Być może bardziej była matką. A może była nią nadal.

– Mamo – powiedziałem na głos, jak gdybym chciał ją również ściągnąć w przestrzeń tego pokoju.

Dziadzio zwieszał się teraz na mnie, toteż czym prędzej odprowadziłem go z powrotem do fotela. Corrina pomogła mi go posadzić.

– Jestem zmęczony – stwierdził.

– No – odezwała się Corrina. – I powinniśmy coś zjeść.

Gawędziarz najwyraźniej znalazł to, czego szukał w szafkach i wrócił do pokoju, trzymając w dłoni szklanekę z drinkiem, do którego wrzucił plasterki limonki.

– Pizza? – spytał. Oczy miał nabiegłe krwią.

– Tak – przystała Corrina. – I cokolwiek pan pije, też bym takie chciała. Nie wydaje mi się, byśmy gdzieś teraz jechali.

Miała rację. Wyglądało na to, że Dziadzio w fotelu już odpływał, czy to za sprawą senności, czy też dezorientacji, zaś promienie słoneczne, które swego czasu wkradały się przez szczeliny wokół żaluzji, zniknęły. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że zapadła już noc. Tak czy siak nie było sensu teraz jechać, mieliśmy bowiem nową trasę.

## ROZDZIAŁ 11

### Skąd jesteśmy

Nastąpiły kolejne wojenne opowieści, po czym Dziadzio zasnął w fotelu, Gawędziarz zaś na wózku, Stary Grzmot zwinął się w kłębek u stóp Dziadzia, za to Corrinie i mnie wcale się nie chciało spać.

– Chcesz sprawdzić, czy da się wyjść na dach? – spytała.

Otworzyliśmy drzwi prowadzące z kuchni na zewnątrz i natknęliśmy się na przylegającą do budynku szopę, w której najwyraźniej Gawędziarz miał swój generator. Wdrapaliśmy się na płaski dach jego domu. Przeszliśmy ku frontowi budynku i zwiesiliśmy nogi. Sąsiedzi Gawędziarza po przeciwnej stronie ulicy otoczyli podwórko murem z pustaków, mimo to z wysokości dachu byliśmy w stanie zobaczyć, że mieli przed domem wielokolorowy, plastikowy mały gaj, a także zjeżdżalnię.

– Dziwne – zauważyła Corrina, wskazując w tamtą stronę. – Jakby tak wychować się gdzieś indziej. Wyobraź sobie, że wychowałeś się właśnie tutaj.

– To byłbym kowbojem, o świcie wyruszałbym na wzgórza i wracał tuż przed zachodem słońca – odparłem, ruchem ręki wskazując na cieniste, granatowo-purpurowe góry na horyzoncie. Wiedziałem, że były wiele mil stąd, ale zdawały się w zasięgu ręki, jak gdyby wyrastały z ziemi po drugiej stronie osiedla.

– No – zgodziła się. – Ja też. – Na chwilę zamilkła. – Zastanawiam się, jakby to było dorastać gdzie indziej. Kim bym była, gdyby para ekshipisów nie zabrała mnie z Gwatemali?

– Pewnie nie poznałabyś Elektrycznych Kurzajek.

Zaśmiała się cicho i delikatnie. Wcześniej było gorąco jak cholera, toteż jeansową kurtkę zostawiłem w Błękitnej Bombie, teraz jednak, gdy słońce zaszło, pustynne powietrze zrobiło się o wiele chłodniejsze. Również Corrina to odczuła. Zadrzała z zimna. Żałowałem, że nie mam przy sobie kurtki, by móc okryć jej ramiona.

– Byłabyś kimś zupełnie innym – stwierdziłem.

– To dobrze czy źle? – spytała.

– Sam nie wiem – przyznałem. – Ale bym cię wtedy nie znał. Nie byłabyś sobą. Więc z mojego punktu widzenia byłoby do chrzanu.

Wzruszyła ramionami.

– Ale nie o to pytasz.

– Nie. – Zamilkła, po czym mówiła dalej. – Mam wrażenie, jakby całe życie ludzie mówili mi, kim nie jestem. Ciągle czuję, czym nie jestem, czy też czym jestem nie w pełni. Chciałabym po prostu czuć się częścią czegoś. Chcę być czymś, czym jestem. W pełni.

Sądziłem, że powie coś jeszcze, ale tak się nie stało. Pomilczeliśmy przez chwilę, wyglądając na osiedle ciemnych albo ledwie oświetlonych prostokątów. Wiedziałem jednak, że Corrina patrzy też na mnie.

– Pochodzę z dziwnego domu – powiedziałem w końcu. – Znaczący wiesz, zawsze podejrzewałem, że Zmarły Tata na boku robił mamę w konia, ale zarazem to trochę popieprzone, że nic mi więcej o tym nie mówiła. Że wiedziała, ale słowem nie pisnęła. Całe to milczenie w niczym nie jest lepsze od kłamstwa.

– Łapię – stwierdziła Corrina, odchylając się w tył. – Totalnie łapię.

Dziwnie się czułem, bo tak to już jest, jak dasz się porazić prądem, ale też dlatego, że wciąż myślałem o Zmarłym Tacie i kobiecie w Saint Louis, o mamie i tym, co wiedziała czy też czego nie wiedziała, dlaczego Dziadzio nie był w stanie o tym mówić i dlaczego zawsze to właśnie o tym, co tak naprawdę jest najważniejsze, nikt nie ma ochoty rozmawiać.

– Oboje jesteśmy z dziwnych rodzin – odezwałem się w końcu, by cokolwiek powiedzieć, by chociaż spróbować.

– No, w sumie. – Pociągnęła nosem. – Żadne z nas nie wie zbyt wiele o swoich rodzicach.

– Ale twoi rodzice nie skrywają tajemnic – zauważyłem.

– Nie mówię teraz o ekshipisach – wyjaśniła. – Chodzi mi o moich biologicznych rodziców. Już nawet to słowo ich skrywa. Biologiczni: zupełnie jakby zagubili się gdzieś zamknięci w podręczniku czy encyklopedii. Gdzie oni są? Kim oni są? No, wiesz. Tego rodzaju tajemnice.

– Jasne – odparłem. – Przepraszam.

– No i... – Spojrzała na mnie, po czym odwróciła wzrok, wyglądając ku górom. – Wszystko to prowadzi do kolejnych tajemnic. Tajemnic – czy też raczej czarnych dziur w rozumieniu. Tak jakbym cały czas tkwiła pomiędzy dwoma różnymi światami, ale tak do końca nie rozumiem ani jednego, ani drugiego. Czasem wydaje mi się, że ludzie by chcieli, bym wybrała jeden z nich, ale nie mogę. Tkwię pośrodku i nikt tego nie pojmuje. Więc dlaczego właśnie ja mam to wszystko pojąć?

Przytaknąłem.

– Człowiek czuje się samotny.

– I to, kurwa, jak. – Corrina pokręciła głową. – No więc mam tych rodziców, którzy mnie kochają, wszystko pięknie, tyle tylko, że oni mnie nie znają. To jest, wiesz, mój tata potrafi wymieni ć koncert, datę, rok, kto występował, pamięta setlistę. Tyle że na niczym nie gra. To w takim razie co naprawdę wie? Zawsze o tym myślę. Czy moi rodzice w Gwatemali grali na jakimś instrumencie?

– Zastanawiasz się, dlaczego sama grasz? Że to przez geny?

– I tak, i nie – odparła Corrina. Obie dłonie przyłożyła do głowy, jak gdyby nie chcąc dopuścić do tego, by się jej rozpadła. – To nie takie proste. Po części to za sprawą ekshipisów. To oni pozwolili mi się zapisać na obóz rockowy dla dziewczyn. Jeździłam tam całe lata. To tam zaczęłam uczyć się ich ulubionych piosenek. To takie dziwne. Na początku byli sceptyczni, ale kiedy usłyszeli, jak gram to, co tak kochają, to się z tym pogodzili.

Wstała, przemierzyła dach i z rękami w kieszeniach zatrzymała się na przeciwnym krańcu, wpatrując się w lunę nad centrum Vegas, na pojedynczy słup szarego światła wznoszący się ponad piramidą i cukierkową mgiełkę spowijającą budynki naokoło. Mogłoby to przypominać Los Angeles, tyle tylko, że były tam hotele i nic poza tym.

Stojąc wciąż plecami w moją stronę, kontynuowała.

– Czasami się zastanawiam, czy to dlatego gram, że tylko wtedy mnie słuchali. Ale tak naprawdę, że patrzyli na mnie i naprawdę słuchali. Że tylko wtedy byli ze mnie naprawdę dumni czy przynajmniej, że tylko wtedy mogłam to dostrzec na ich twarzach. Ale grałam ich muzykę, rozumiesz? I należę do ich świata. Bo należę. Ale zarazem nie należę, a o tym nigdy nie mówią.

Już miałem powiedzieć „Jasne, znam to”, ale nie znałem. Zamilkłem i po prostu słuchałem. Bo tak naprawdę nie znałem, a twierdzenie, że jest inaczej, byłoby z mojej strony głupotą.

– Tata spisuje wzory moich zachowań, ale jakoś nigdy nie spyta: „Hej, jak to jest być śniadą dziewczyną wychowaną przez białych rodziców?”. No, a mama? Mama mówi: „Kochanie, my nie dostrzegamy rasy. Dostrzegamy tylko rodzinę”. – Corrina odwróciła się w moją stronę i pomimo mroku zauważyłem, że w oczach pobłyskują jej łzy. – To popierdolone, Hendrix. Popierdolone i tyle. Wiesz co, mam, skoro nie dostrzegasz rasy, to nie dostrzegasz mnie. – Wskazała na przestrzeń pomiędzy nami. – Jeżeli na jakimś przyjęciu stoję po przeciwnej stronie pokoju niż moi rodzice, nikt nie spojrzy na nich i nie założy, że to właśnie są moi rodzice. Wszyscy tylko rozglądają się wokoło za kimś ciemniejszym.

Pomyślałem o zdjęciu, które Corrina znalazła w Wielkim, Pustym Błękitcie,

o fotografii Dziadzia – bohatera wojennego z plastikowym kubkiem. Droczyła się ze mną, ale w rzeczywistości dawała do zrozumienia: To twoje dzieje, Hendrix. Miałem to wprost przed moimi oczami. Przypomniała mi się pierwsza praca, jaką pani Keene zadała nam na zajęciach z poezji: wiersze „Skąd jesteśmy”. Każdego z nas poprosiła, by odczytał swój wiersz na głos, Corrina napisała o wirującej kuli ognia, czymś przypominającym słońce, z plamami wynurzającymi się na powierzchnię i zapadającymi się z powrotem ku żarzącemu się wnętrzu.

– Corrina – w obliczu całej klasy zwróciła się do niej pani Keene. – Prosiłam was o napisanie czegoś konkretnego, nie zaś abstrakcyjnego. O tym, skąd jesteście, o jedzeniu, o kulturze, o zapachach z kuchni waszej babci, o dźwiękach z waszego sąsiedztwa.

Corrina wstała.

– Proszę bardzo – odparowała. – „Skąd jestem”. Whiskey i tłuczone ziemniaki. A moi rodzice są, kurwa, z Irlandii.

Za wulgarne słownictwo usunięto ją z zajęć.

Ale jakże bym mógł ją winić za tę frustrację? Słowa takie jak „dom” czy „rodzina” niekoniecznie musiały pasować do estetycznego pudełeczka z etykietką na pokrywce, które ktoś inny mógłby sobie akuratnie postawić na półce. A gdyby tak Corrina założyła własną księgę rodzinną? Rodzinną Księgę Corriny. Jakby ona wyglądała? Co tak właściwie oznacza rodzina? I, skoro już o tym mowa, czym jest dom? Na pewno nie musiał to być koniecznie Wielki, Pusty Błękit.

Tymczasem na dachu głos Corriny zaczął brzmieć nieco ochryple.

– Dlaczego w ogóle ci to mówię? Pewnie wychodzę na wariatkę. Może to mój tata ma rację?

– Ej – odezwałem się, przysuwając się do niej nieco bliżej. – Nie jesteś wariatką.

– Ta, jasne. Nie znasz mnie, białasku.

– Tego nie mówię. Mówię tylko, że jak tak ciebie słucham, to nie wydajesz się wariatką. – Wzięłem głęboki oddech. – Na serio. Pamiętam z zajęć twój wiersz o wirującej kuli ognia. Mnie wydał się sensowny. Był fantastyczny. Żywiłowy, a przecież w kuli ognia o to, kurde, chodzi! To wszystko układało mi się w całość.

– Naprawdę?

– Jakby to było coś żywego i płynnego – a może ruchomego. – Przerwałem. – Powinienem był się wtedy do ciebie odezwać.

Corrina pociągnęła nosem.

Podszedłem do niej i wyjrzałem w stronę miasta.

– Powinienem. I powinienem był też powiedzieć coś pani Keene.

Corrina głęboko wciągnęła powietrze przez nos.

– Przyznam, Hendrix, że byłoby to miłe, gdyby ktoś inny jej coś wtedy powiedział.

Skinąłem głową i przez chwilę staliśmy tak obok siebie, wpatrując się w krzykliwą panoramę.

– No, dobra – odezwałem się w końcu. Wskazałem w stronę miasta. – Czyli to jest Vegas. Ale my jedziemy dalej. – Poprowadziłem nas na przeciwną stronę dachu, skąd popatrzyliśmy ku skąpanym w granatowym mroku górom na horyzoncie. – Nie wiem, co tam jest – przyznałem, wskazując na to, co kryło się za szczytami.

– Ale i tak tam jedziemy – odparła Corrina. – Takie życie. Dzień w dzień czuję się, jakbym po przebudzeniu skakała z urwiska, licząc, że na dole będzie woda.

– Albo ogień – dodałem. – Słoneczny blask, co skacze z powierzchni Słońca w nadziei, że wpadnie z powrotem do ognia i nie zagaśnie... To szło jakoś tak, prawda?

Corrina skinęła twierdząco.

– Jakoś tak. Matko, nie mogę uwierzyć, że to wszystko pamiętasz.

– Pamiętam przeróżne fragmenty wierszy. To takie moje... hobby.

– To jakie jeszcze?

Zamilkłem, bo zdałem sobie sprawę, że nasze ręce były zaledwie kilka cali od siebie i przynajmniej jeżeli chodzi o mnie, to czułem szalony, niewidzialny ogień przeskakujący między nami, jak gdyby podnosił się nam ze skóry i spalał w miękkiej przestrzeni między naszymi palcami, i jeden wewnętrzny głos podpowiadał mi, bym chwycił ją za rękę, podczas gdy inny kazał mi się opanować, bo ona przecież dopiero co się przede mną otworzyła, a ja dałbym wszystko za jakiś, kurcze, przewodnik użytkownika, ale nic takiego nie miałem, więc jąkałem się i wiłem, usiłując wykrztusić z siebie pierwsze, co tylko przyjdzie mi do głowy.

– Znasz E.E. Cummingsa? – spytałem.

– Niefortunne personalia.

– Bardzo śmieszne. Chodzi o to, że napisał taki wiersz, który przypomina mi ciebie: głos twych oczu głębszy jest niż wszystkie róże / i nikt, nawet deszcz, nie ma takich drobnych rąk<sup>1</sup>.

Spojrzała na mnie i się uśmiechnęła.

– Głos twych oczu, podoba mi się.

– Podobają mi się twoje ręce – powiedziałem, po czym ująłem jedną z nich i przyłożyłem do mojej, dłoń do dłoni, ciepło do ciepła, a moje wielkie, drżące paluchy wystawały ponad jej opuszkami. – Są takie małe. Ale przy tym chyba silniejsze.

– To od gry na gitarze.

– No tak, ale też pewnie dlatego, że są twoje. A ty jesteś silna.

– Ty też.

Nachyliła się w moją stronę, twarzą ku mojej piersi, a ja delikatnie ją objąłem. Przez koszulę wyczuwałem jej oddech.

– Tylko popatrz – wybąkała. – Kto by pomyślał, że będziemy kiedyś razem stali na dachu w Vegas.

Staliśmy tak przez chwilę, obejmując się nawzajem, spowijając się wzajemnie w swoim milczeniu, pozwalając, by nas otoczyło, aż stało się czymś na kształt kokonu ciepła, niedopuszczającego do nas chłodnego powietrza.

W końcu usiedliśmy i spojrzeliśmy w stronę gór, a ja uśmiechnąłem się, słysząc, jak zaczyna śpiewać głosem tak pięknym jak pustynne światło, jak kolory zmierzchu zanikające w nocy, jak barwa tego łopoczącego w trzewiach uczucia, które naszło mnie, kiedy usiadła na brzegu dachu, oparła się o moje ramię i zaśpiewała.

Powiedziała, że to piosenka, która spodobałaby się Dziadziowi, zatytułowana *Bell Bottom Blues*, ja jednak odniosłem wrażenie, że dla niej znaczyła coś zgoła odmiennego, coś osobistego, coś, co rezonowało gdzieś głęboko w niej, i zaczynałem się przekonywać, że niczym duch czy też zaklęcie, niezależne i potężne, porusza się ona w każdym z nas, więc kiedy Corrina śpiewała, moje myśli dryfowały i zastanawiałem się, czy Dziadzio słyszał tę piosenkę w swych dawnych, wojennych, bohaterskich czasach i czy mu się podobała, czy sam podśpiewywał sobie te słowa – „I don't want to fade away”, nie chcę wyblaknąć – kiedy był po drugiej stronie kuli ziemskiej w Wietnamie i czy Babcia też jej słuchała, kiedy czekała, czekała i czekała na jego powrót do domu.

– Zaśpiewaj coś swojego – powiedziałem, gdy skończyła. – To twoje piosenki najbardziej lubię.

Skinęła głową. Nie spojrzała na mnie. Siedziała przez chwilę w milczeniu, ja zaś mogłem wyczuć, mogłem usłyszeć, jak łapie oddech.

– W porządku – powiedziała.

## ROZDZIAŁ 12

### Dokąd zmierzamy?

Corrina i ja spaliśmy w salonie z Dziadziem – Corrina na kanapie, ja zaś na podłodze, na wypadek, gdyby Dziadzio obudził się zdezorientowany. Lecz to nie on wstał jako pierwszy. Gawędziarz obudził się przed nami wszystkimi i ruszył do kuchni, by zaparzyć kawy. Stary Grzmot podążył za nim i – jak to Stary Grzmot – najwyraźniej zaczął dobierać się do dystrybutora wody obok drzwi do łazienki, bowiem obudził mnie dochodzący z kuchni łomot i krzyki Gawędziarza, a nim zdążyłem się podnieść i porządnie zebrać myśli, usłyszałem trzaśnięcie drzwi prowadzących z kuchni na zewnątrz.

Z kuchni dało się słyszeć kolejne jęki i stęknienia, ja jednak przetarłem twarz i odwróciłem się w stronę Dziadzia, który nieufnie rozglądał się wokoło.

– Dziadziu – odezwałem się. – To ja, Teddy. Zasnęliśmy w salonie.

Łypnął na mnie i poruszył zeszywniałymi ramionami. Nie bez trudu wstał i rozejrzał się po pokoju.

– Cholerny pies! – krzyknął z kuchni Gawędziarz. – Chodźcie tu i posprzątajcie ten syf!

Dziadzio zerkał to na mnie, to na kuchnię, to na Corrinę na kanapie, to z powrotem na kuchnię, a na jego twarzy pojawiły się głębokie zmarszczki zatroskania. Wstałem, przytuliłem go i przypomniałem mu, że jesteśmy razem na wyprawie, że jedziemy do Ithaki i że zasnęliśmy u Gawędziarza. Wszystko to powiedziałem mu tak powoli i spokojnie, jak tylko mogłem, podczas gdy Gawędziarz w dalszym ciągu się za mną wydierał.

– Wszyscy już pana słyszeli – odpowiedziała mu Corrina i sturlała się z kanapy. Z uchwytu drzwi lodówki wyjęła ścierkę do naczyń i wytarła nią rozlaną wodę.

Następnie wszyscy się umyliśmy, zjedliśmy po misce płatków, nakarmiliśmy Starego Grzmota i podziękowaliśmy Gawędziarzowi za gościnę.

Gawędziarz wyjechał na niewielką werandę i odłączył zasilanie ogrodzenia, abym po raz drugi kretyńsko nie poraził się prądem, a kiedy Dziadzio wyszedł na chodnik, Gawędziarz krzyknął za nim: „Charlie, stary, wyprawy trzeba uszanować!”. Wyciągnął rękę w powietrze i ułożył palce w znak pokoju.

Dziadzio lekko parsknął śmiechem.



– Trzymaj się, Lou – powiedział i obydwaj skinęli sobie ze wzrokiem wbitym gdzieś w dal.

Dziadzio odwrócił się i wszyscy wpakowaliśmy się do Błękitnej Bomby.

Corrina jako jedyna się przebrała. Ja byłem ubrany w moje zwyczajne niebieskie jeansy i koszulkę, Dziadzio wciąż miał na sobie czapkę weterana, zaś Corrina ponownie włożyła czarne jeansy, tym razem jednak z inną koszulką, o urwanych rękawach podwiniętych na podobieństwo ramiączek. Z przodu widniała naniesiona czarno-białym sitodrukiem jakaś nieznana mi kapela, a wszyscy jej członkowie sprawiali wrażenie śmiertelnie wychudzonych.

Wyjechaliśmy z osiedla Gawędziarza, pozostawiając za sobą panoramę The Strip, a zakurzone osiedla wozów kampingowych, wypłowiałe fast foody i tanie markety wielobranżowe w rodzaju Big Lots migwały wzdłuż płaskiej, bezbarwnej szosy niczym powolne łopaty ogromnego wiatraka.

Przyszło nam się przebijać przez ruch uliczny za kasynem Paradise, ale kiedy wreszcie wyminęliśmy ostatnie skupisko sztamponowych, prefabrykowanych, przypominających pudełka po butach białych domów w Henderson, wydostaliśmy się z powrotem na otwartą szosę, wokół siebie mając tylko ogromny bezkres bladobłękitnego nieba. Jeśli o mnie chodzi, to równie dobrze moglibyśmy być i na księżycu, gdyż otaczali mnie wszyscy ci, których chciałem mieć przy sobie. Zerknąłem na Corrinę – która kryła się za okrągłymi okularami przeciwsłonecznymi w złożonych oprawkach i podśpiewywała do pulsującej potężnymi akordami piosenki ze swojej playlisty – i się do niej uśmiechnąłem.

Zostawialiśmy za sobą kolejne mile autostrady, zbliżając się do Zapory Hoovera. Błękitna Bomba z Corriną za kierownicą zmierzała na wschód, ku Arizonie. Znaleźliśmy się na moście, mając przed sobą parę pagórków, dalej zaś rozległy, szary bezkres pustyni, lecz wtem droga dała nura w dół i nie przestawała już opadać, a to, co uznałem za pagórki, okazało się skałami wysoko nawarstwionymi na ogromnych kopcach ziemi, które przeszły w strome klify nad najgłębszym wąwozem, jaki kiedykolwiek widziałem. Za sobą mieliśmy czerwono-szare skały Nevady, przed sobą zaś czerwono-brunatne skały Arizony, a gdzieś daleko pod nami jedno od drugiego oddzielał zielony wąz rzeki Kolorado. Wysoko ponad naszymi głowami chmury ciągnęły się niczym ekstrawaganckie gęsie pióra.

Byliśmy w drodze. Dziadzio siedział cicho i spokojnie, przez większość czasu wyglądając przez okno i słuchając współczesnej muzyki, którą Corrina stale puszczała; przez kamienisty, usiany ostańcami, górzysty kawałek drogi odczuwałem dziwny spokój, ogarnęło mnie poczucie, że nasza absurdalna

wyprawa może mimo wszystko się dobrze ułożyć, tak jak płynnie układały się kolejne piosenki na zdającej się nie mieć końca playliście Corrinie: Sarah Jaffe, Hindi Zahra, The Heavy, Pimps of Joytime, Gary Clark, Jr., Little Hurricane, We Are Trees, The Districts.

Lecz mniej więcej tuż po tym, jak w okolicy Kingman wjechaliśmy na czterdziestkę, mijając surrealistycznie wyglądające pośród pustynnych brązów, beżów i szarości zielone pola golfowe, telefon komórkowy Corrinie we wgłębieniu tablicy rozdzielczej zaczął bzyczeć i telepać się. Obydwoje zerknęliśmy w tym kierunku i natknęliśmy się na pociągłą i rumianą twarz jej ojca, który spoglądał na nas z wyświetlacza. Wyglądał o wiele starszej, niż bym przypuszczał, na łysiejącej głowie wciąż widniało nieco cienkich, pierzastych włosów, a oczy miał żółte z wyczerpania. Na zdjęciu nie miał okularów, pozostawiły one jednak czerwone odciski na jego nosie.

Corrina zignorowała telefon.

– Odczep się – rzuciła w stronę aparatu.

Zadzwoił ponownie i po raz trzeci, a Corrina zagulgotała z frustracji.

– Zrób coś, żeby już nie dzwonił – powiedziała.

Sądząc, że okaże się pomocny, sięgnąłem po aparat i już miałem wcisnąć guzik wyłączający ekran, lecz samochód skoczył, dłoń mi się obsunęła i trafiłem w przycisk odbierający połączenie.

Bzyczenie ustało, muzyka ucichła i do samochodu wdarł się brzęczący głos ojca Corrinie:

– Corrina? Corrina? Gdzie jesteś?

Nie był przełączony na głośnik, brzmiał więc cicho i odlegle, ale powtarzał się raz za razem i prosił ją, by natychmiast się odezwała.

Corrina rąbnęła dłonią w kierownicę i obróciła się, by na mnie spojrzeć. Nie widziałem jej oczu zza szkieł okularów przeciwsłonecznych, lecz wiedziałem, że się we mnie wpatruje. Czuję się zbyt zakłopotany, by się ruszyć, zbyt wystraszony, by cokolwiek powiedzieć. Siedziałem sztywno i bez słowa, jak gdyby pasy skrepowały mi ramiona i owinęły mi się wokół ust. Błękitna Bomba nabierała prędkości.

– Corrina, proszę – ciągnął jej ojciec. – Gdzie ty jesteś? Co robisz?

– No, odpowiedz mu – odezwał się z tyłu Dziadzio. Nachylił się do przodu i wskazał na telefon. – To twój ojciec? No to z nim porozmawiaj.

– Corrina?

Nim jednak Dziadzio czy jej ojciec zdołali cokolwiek zrobić lub powiedzieć, Corrina rozłączyła się. Twarz jej ojca zniknęła z wyświetlacza, ona sama zaś już

na mnie nie patrzyła.

– Hendrix, ty idioto – rzuciła w szosę przed nami.

– Przepraszam. To wyszło niechcący.

Pędziliśmy z prędkością, przez którą wóz zdawał się podskakiwać na kołach i już miałem ją poprosić, by zwolniła, ona jednak wcisnęła pedał gazu w podłogę, zajęchała drogę samochodowi na środkowym pasie, a następnie przecięła pas do zjazdu i wpadła na szerokie, kamieniste pobocze wzdłuż jezdni, gdzie dała po hamulcach, wpadając w poślizg i niemal tracąc panowanie nad autem.

– Hej! – zawołał Dziadzio.

– Co jest, cholera? – spytałem.

Gdy tylko Błękitna Bomba zatrzymała się, Corrina zgasiła silnik, wyskoczyła zza kierownicy i popędziła w górę zbocza. W pierwszej chwili ruszyłem za nią, pozostawiając otwarte drzwi, a Stary Grzmot chwilę po mnie wyrwał się ku porośniętej bylicą nieużytkom obok drogi. Wnet przeraziła mnie myśl, że przygalopuje z powrotem i wpadnie na autostradę, usłyszałem jednak, że drzwi Dziadzia również się otworzyły. Obróciłem się w jego stronę. Stał blisko samochodu, lecz od strony szosy, gdzie co chwila mijały go pędzące sto pięćdziesiąt na godzinę auta. Rozciągał ramiona. Przybiegłem do niego z powrotem.

– Chodź, Dziadziu – powiedziałem, gdy znalazłem się obok niego. – Idziemy po Starego Grzmota.

– Nie mów tak na niego. Ma na imię Skipper. – Dziadzio był zrzędlawy, ale dał mi się poprowadzić z tyłu auta na skraj drogi i dalej w górę zbocza. Niedaleko, przy dużej skale, dostrzegłem Starego Grzmota. Corrina stała z rękami na biodrach. – Ta dziewczyna jest szalona – powiedział, gdy się do niej zbliżyliśmy.

Dalej stała do nas plecami.

– Niech to szlag – rzuciła.

– Hej – odezwałem się. – Nie możesz tak robić.

– Nie mów mi, co mam robić.

– Mogłaś nas zabić. A co, jeśli samochód wypadłby z drogi? A co, jeśli inne auto byłoby zbyt blisko? Poważnie, Corrina. To było głupie.

Odwróciła się do mnie.

– Hendrix, już mam jednego tatę. Kolejny mi niepotrzebny.

– Czyś ty zwariowała?

Prawdę mówiąc, byłem wystraszony. Nie mogłem nawet opanować własnych

dłoni – musiałem wcisnąć je w kieszenie, żeby mi nie dygotały. Ale dlaczego ona się nie bała? Po prostu sobie stała, wpatrując się we mnie z góry, jak byśmy byli dwoma psami, które zaraz rzucą się sobie do gardeł. Czy ona kiedykolwiek się bała? Szczerze mówiąc, nie wierzyłem w tę jej pozę twardzielki. Zapewne w ogóle nie zdawała sobie sprawy z tego, co zrobiła – ale tego rodzaju nieświadomość i nieodpowiedzialność była równie niepokojąca jak urojenia Dziadzia i wyrwy w jego umyśle.

– Przepraszam, dobra? – powiedziałem. – Ale czy ty w ogóle widziałaś, jak on wysiadł z samochodu? Od strony jezdni? – Wskazałem na Dziadzia, starając się zachować dyskrecję, ale i tak to zauważył.

– Teddy, ja tu stoję. Nie jestem niewidzialny.

– Jezuu, naprawdę – odezwała się Corrina. – Przestań się tak cholernie martwić. To denerwujące.

– To nie o mnie tu chodzi. Zachowałaś się lekkomyślnie!

– Przestań na mnie krzyczeć – odparowała.

– Słuchaj – powiedziałem spokojniejszym tonem. – Przepraszam, że odebrałem ten telefon. To było niechcący.

– „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”. – Corrina zerknęła raz jeszcze na aparat, po czym schowała go do tylnej kieszeni i odeszła między pustynne zarośla, lecz w przeciwnym kierunku niż Stary Grzmot.

– No – odezwał się Dziadzio, patrząc na oddalającą się Corrinę. – Powinieneś chyba za nią pójść.

– Nie wydaje mi się – odparłem.

– Słuchaj – rzucił Dziadzio. – Nie możesz pozwolić, by ktoś tak sobie odszedł...

– Dziadziu, nie zawsze masz na wszystko odpowiedź – odparłem. Następnie wzięłem głęboki wdech. – Proszę. Po prostu daj jej spokój.

Dziadzio zmarszczył czoło i przywołał Starego Grzmota.

Nie żebym nie chciał popędzić za Corriną – bo chciałem – ale przez ostatnich kilka dni słyszałem, jak życzyła sobie ciszy, widziałem, jak wyznaczała sobie własną przestrzeń. Powiniennem przynajmniej to uszanować, szczególnie po tym, jak niczym ostatni kretyn odebrałem ten cholerny telefon, ściągając do samochodu jej ojca i niszcząc całe wrażenie wolności, jakie do tej pory odczuwaliśmy. Jestem pewien, że jej ojciec nie wiedział, kim jestem, kim jest Dziadzio czy też że Corrina jest akurat z nami, martwiło mnie jednak, co może zrobić, że w jakiś sposób już w drugim dniu naszej wyprawy może nas powstrzymać, że zdoła nas zahamować, nim zdążymy w ogóle gdzieś dalej

dotrzeć. No bo to w końcu zwykli robić ojcowie, prawda? Manifestować swoją siłę, czy tego chciałeś, czy nie.

Rzecz jasna, nie mogłem mieć pewności.

Gdzieś daleko nad szosą zebrały się chmury, które rzucały teraz cień na pustynię. Patrzyłem, jak Corrina zatoczyła niewielki krąg, zatrzymała się i wbiła wzrok przed siebie w te same chmury. Na prawo ode mnie Dziadzio znalazł coś, co przypominało patyk, i bawił się teraz w aportowanie ze Starym Grzmotem.

– Hej – zagadałem do niego. – Wczoraj wieczorem w końcu nie porozmawialiśmy.

– Nic tylko rozmawialiśmy – odparł Dziadzio.

– Chodzi mi o moją tatę – dodałem.

Nie odezwał się.

– Dziadziu, to mój tata. Nie powinienem wiedzieć o nim więcej?

– Teddy, to było już lata temu.

– Ale co było? Dlaczego ani ty, ani mama nie chcecie o nim mówić?

– Sam słyszałeś. Miał romans. – Dziadzio ponownie podniósł patyk i rzucił go przed siebie, tym razem mocniej. – Właśnie tam, tuż pod moim nosem, w naszym domu w Ithace. A ja sądziłem, że jak tam przyjeżdżał, to po to, by odwiedzić chorą matkę. – Spojrzał na mnie. – To samo zresztą sądziła twoja matka. – Stary Grzmot przyniósł mu z powrotem patyk i Dziadzio siłował się teraz, by wyciągnąć mu go z pyska. Tylko Dziadzio tak ostro zabawiał się ze Starym Grzmotem, i obaj to lubili. – Niewiele więcej jest tu do powiedzenia.

– Ale weź. W sensie, czy w ogóle jakoś jestem do niego podobny?

Dziadzio puścił patyk i odwrócił się w moją stronę.

– Nie, Teddy. – Podeszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu. – Ani trochę.

– Nie możesz tak po prostu go wymazać. Zresztą dlaczego miałbyś chcieć to zrobić?

– Teddy – wymamrotał Dziadzio. – Ty tego nie zrozumiesz. Twoja matka i ja po prostu uznaliśmy, że najlepiej będzie o nim nie wspominać. Nie było po co sprawiać, byś jeszcze bardziej za nim tęsknił.

Stary Grzmot wskoczył pomiędzy nas i spojrzał na Dziadzia. W pysku wciąż trzymał patyk i radośnie potrząsał zadem.

– A poza tym – kontynuował Dziadzio – nie masz pojęcia, jak bardzo mnie rozzłościł. Tego, co zrobił twojej matce, co uczynił mnie i twojej Babci, nigdy mu tego, Teddy, nie wybaczyłem.

Nachylił się nad Starym Grzmotem i szybkim ruchem odebrał mu patyk.

– Ale... – zacząłem.

– Nie – uciął Dziadzio, odwracając się ode mnie i wyrzucając patyk. – Rozmowa skończona.

Odszedł kilka kroków w ślad za Starym Grzmotem, nie próbowałem go zatrzymać. Corrina wciąż stała jakieś trzydzieści metrów dalej, to wpatrując się w telefon, to znowu wyglądając ku ciemniejącemu horyzontowi. Przyłożyła dłoń do twarzy, ja zaś byłem zbyt daleko, by dojrzeć jej minę, lecz z jakiegoś powodu przypominała mi mamę, jej obraz z czasów, gdy nie była jeszcze korpomamą, skamieniałym, wyzutym z emocji posągiem w kanciastym, szarym garniturze z czasów śmierci taty, nie wiedziałem co prawda, czy sprzed niej, czy też już po, w każdym razie obraz w pamięci miałem tak wyraźny, jak gdybym trzymał przed sobą fotografię.

Mama siedziała na kanapie w salonie, otoczona stertami świeżo upranych ubrań, które właśnie miała poskładać, a kiedy natknęła się na bieliznę Zmarłego Taty, wybuchła płaczem. Włożyła ją na głowę niczym maskę i głośno łkała, jęczała na poły skryta pod tym przerażającym strojem.

Być może mama potrzebowała garnituru, żeby się na powrót nie rozpaść?

Dziadzio zajmował się Starym Grzmotem, toteż podszedłem do Corriny. Powietrze pachniało deszczem, jak gdybym – choć kroczyłem pośród pyłu – smakował wokół siebie krople wody.

– Hej – odezwałem się do niej.

– Hej.

– Spytałem w ten sposób – oznajmiłem – chcesz zawrócić i pojechać z powrotem?

– Nie – odparła. – Dopiero co ruszyliśmy. A zresztą nawet nie wiedzieliby, że zniknęłam, gdybym z kasetki w gabinecie ojca nie zgarnęła tysiąca dolarów.

Wykrzywiła się w nieszczerym uśmiechu.

– O, cholera.

– Nie patrz tak na mnie. Rąbnęliśmy samochód twojej mamie. Też coś musiałam buchnąć. A zresztą jak niby miałabym za cokolwiek zapłacić po tym, jak się rozstaniemy?

Popatrzyła na mnie przez dłuższą chwilę.

– A tak w ogóle, to dokąd ja konkretnie jadę, co, Hendrix? Co ja robię? Bo ty masz gdzie jechać. Do Ithaki. A ja gdzie jadę?

– Nie wiem. Może w Ithace jest też coś dla ciebie.

– Wątpię. – Przykopała w ziemię. – Chcę spróbować czegoś na dużą skalę. Nie chcę być tylko dziewczyną, która bywała na imprezach. Chcę spróbować

pograć dla kogoś ważnego. Chcę dostać prawdziwą szansę, Hendrix.

– Słusznie.

Nagle podniosła wzrok.

– Aiko! – wykrzyknęła. – Aiko! Jezu, Electric Warts są teraz megamodne i siedzą na Brooklynie. Muszę do niej zadzwonić.

Kiedy powróciliśmy do Dziadzia, Stary Grzmot był w trybie pełnego posłuszeństwa i warował u jego stóp, zaś sam Dziadzio zdawał się w trybie dowodzenia, z wyprostowanymi ramionami ściskając dłonie za plecami. Wysunął głowę na wschód. Chmury zdążyły zdławić leżące przed nami góry i rozlały się ponad pustynią niczym gigantyczne szare fale, które wzniosły się, by zaraz się przełamać.

– Szybko nadciąga – zauważył. – Teddy, odpalmy, tę, no, Błękitną Bombę i zjeżdżajmy. W każdej chwili może lunąć.

Twarcz miał skupioną, a te swoje wspaniałe błękitne oczy jasne i obecne, toteż przez moment dostrzegłem w nim tego dawnego Dziadzia, jakim go znałem jeszcze parę lat wcześniej, tego, który w wydawanym poleceniu potrafił zamaskować subtelny uśmiezek, jak gdyby pod marsową miną śmiał się z samego siebie.

– Jak tam, Dziadziu?

– Rajsko nie jest – odparł i mrugnął okiem. – Dobra, to się zbierajmy.

Tak więc się zebraliśmy. Jedno spojrzenie i jedno słowo („noga!”) wystarczyło, by Stary Grzmot trzymał się blisko Dziadzia, wszyscy wpakowaliśmy się z powrotem do Błękitnej Bomby, Dziadzio upewnił się, że gitara Corrina jest dobrze przypięta pasami, pozamykaliśmy okna, a Corrina odpaliła silnik.

– Do Ithaki – rzuciła.

– Na Brooklyn – dodałem.

– A, właśnie – zauważyła. – Jest o tym piosenka. – Pogmerwała w telefonie, aż w końcu ją znalazła. – Beastie Boys. *Licensed to Ill*. Osiemdziesiąty szósty. *No Sleep Till Brooklyn*.

Piosenka rozbrzmiała, Błękitna Bomba ruszyła z pobocza, wyjechaliśmy na prawy pas, następnie nabraliśmy prędkości i zjechaliśmy dwa pasy na lewo, wokoło zaś cała pustynia zatapiała się w głębszym odcieniu szarości, nadciągnął deszcz i spłukał pył ze skał i zarośli, w środku dnia pogrążając nas wszystkich w ciemnej nocy.

## ROZDZIAŁ 13

### Pustynne burze

Dwóch spraw przed wyjazdem nie przemyślałem: jak często będziemy musieli tankować i gdzie będziemy nocować.

Corrina wskazała na drogowskaz, który mignął obok nas.

– Co tam było napisane?

– Sześćdziesiąt dwie mile do Wielkiego Kanionu.

Następnie minęliśmy znak informujący, że dwa kolejne zjazdy prowadzą właśnie do Wielkiego Kanionu, oddalonego o sześćdziesiąt mil na północ.

– Ja się rozglądam – wyjaśniła – za stacją benzynową. Dochodzimy do dna baku.

– Jasne – odparłem. – Staniemy na następnej stacji.

– Hendrix?

– Tak? – Wciąż napawałem się tym, jak to podsunąłem Corrinie inspirację i pomimo deszczu czerpałem przyjemność z jazdy.

– Widziałeś tu ostatnio jakąś stację?

– Nie.

– Sytuacja jest poważna.

Obejrzałem się na Dziadzia, który spał i pomyślałem, co się stanie, jeżeli w samochodzie skończy się benzyna i utknijemy na poboczu szosy w Arizonie, poza zasięgiem sieci komórkowej, a gdy tylko ktoś zdoła nas znaleźć i nam pomóc, dowie się, kim jesteśmy i z podkulonym ogonem przyjdzie nam wrócić do Los Angeles.

Milczeliśmy przez kilka mil, aż w końcu napotkaliśmy szyld stacji Mobil. Stała przy szosie, lecz kiedy zjechaliśmy na podjazd, ujrzeliśmy mężczyznę w kombinezonie, który zakrywał dystrybutory paliwa czarnymi workami na śmieci.

– Nic z tego – oznajmił. – Benzyna mi się skończyła.

– Jak to w ogóle możliwe? – spytałem, gdy ponownie wyjechaliśmy na drogę.

– Hendrix, jesteśmy na zadupiu – zauważyła Corrina.

Wróciliśmy na czterdziestkę i dalej kierowaliśmy się w stronę Flagstaff. Corrina nie podśpiewywała już do muzyki.

Po dwudziestu milach dostrzegliśmy kolejną zapowiedź stacji. Ta znajdowała



się tuż obok autostrady, ledwie sto metrów od zjazdu na drogę dojazdową. Na budynku widniał napis Sklep Ogólnospożywczy, przed wejściem stały dystrybutory Texaco, a także wisiał krótki, zielony daszek, osłaniający werandę z drewnianą poręczą, do której – jak sobie wyobraziłem – można by było przywiązać wierzchowca, gdyby ktoś takowego miał i gdyby takie rzeczy jeszcze się w ogóle robiło.

Dwóch oklapłych, starszych mężczyzn siedziało obok siebie niczym suszone morele na drewnianej ławie, która wyglądała, jakby pod ciężarem kogoś jeszcze mogła się załamać. Tkwili bez ruchu i palili papierosy, przyglądając się, jak parkujemy. Zatrzymaliśmy się przy dystrybutorze, a ja wyskoczyłem, by zorientować się, jak napełnić bak. Dzień wcześniej zrobiła to Corrina. Podniosłem dyszę i przełącznik i postępowałem zgodnie z instrukcjami, lecz z dystrybutora nie pociekła benzyna. Stałem pod czarno-czerwoną markizą Texaco, lecz deszcz zacinał z ukosa i padał mi na twarz. Obejrzałem dystrybutor z wszystkich stron, a morele nie spuszczały mnie z oka. Na pompie przed nami wisiała częściowo przyklejona kartka, podbiegłem więc, by sprawdzić, co jest na niej napisane, była jednak przedarta na pół, a niebieski atrament się rozmył, przez co nie sposób było jej przeczytać.

Corrina otworzyła drzwi od swojej strony.

– Czasami najpierw trzeba zapłacić – rzuciła, przekrzykując uderzenia deszczu o plastikowe i metalowe elementy markizy.

Wiedziałem jednak, że nie o to chodziło. Nim zmókłbym jeszcze bardziej, wsiałem z powrotem do samochodu.

– Tu też nie mają paliwa? – spytała Corrina. – Matko, czyli brakuje go w całej okolicy.

– Co robimy? – spytałem.

– Spróbujemy dojechać do Flagstaff.

Ale kiedy przekręciła kluczyk w stacyjce, nic się nie stało. Słychać było wycie silnika, ale zapłon nie zaskakiwał.

– Cholera – rzuciła Corrina. Walnęła w kierownicę. – Trzeba było nie gasić silnika.

Próbowała odpalić raz za razem, nic to jednak nie dawało.

– Skończyło nam się paliwo – zauważył z tylnego siedzenia Dziadzio. – Jak będziesz tak dalej kręciła, zarznięsz przekładnię.

Nie spostrzegłem, że się obudził, ale skoro już wstał, cieszyłem się, że jest z nami, i to w pełni przytomny.

– To co robimy? – spytałem.

– Musimy znaleźć paliwo – odparł. – I tyle.

Corrina oparła głowę na kierownicy.

– Nie mogę uwierzyć, że do tego dopuściłam – powiedziała. – Nim moi ekshipisi kupili sobie elektryczne auto, zawsze przestrzegali zasady co do poziomu paliwa. Nigdy nie dopuszczali, by spadł poniżej jednej czwartej baku. Raz jeden się nie zastosowałam. Jeden raz!

Podniosła głowę i wpatrzyła się w deszcz.

Wyciągnąłem telefon, ale byliśmy poza zasięgiem.

– Nie możemy tak po prostu tutaj siedzieć – zauważył Dziadzio.

– Wiem – powiedziałem, ale w tej samej chwili zauważyłem, że gotuje się do wyjścia z wozu. – Nie – rzuciłem. – Pójdę spytać w środku.

Deszcz przybrał na sile i smagał mnie, gdy biegłem ku werandzie. Pod drzwiami wejściowymi tupnąłem przemoczonymi nogami i rzuciłem okiem na morele. Z bliska dostrzegłem, że obydwaj mieli gęste, siwe wąsy, obydwaj też zamrugali i zmrużyli oczy, lecz żaden się nie odezwał.

– Dostaniemy tu benzynę? – spytałem.

Wydęli grube wargi, nadal jednak milczeli. Odwrócili głowy w stronę samochodu, czy też może horyzontu, czy też ku czemukolwiek, co akurat przyszło im do głowy, ja zaś wszedłem do środka.

W sklepie pełno było poupychanych na półkach pamiątek poświęconych Route 66, koszulek i słodczy, a także piwa i napojów gazowanych ustawionych w dwóch wąskich lodówkach. Pod sufitem leniwie kręciły się dwa wentylatory. Kasa i maszynka loteryjna stały na niewielkiej ladzie wykonanej z takich samych drewnianych listew, jakie pokrywały ściany sklepu. Świeciło przytłumione i ciepłe światło i być może była to kwestia deszczu, ale sklep wydawał się przyjazny i przytulny. Nikogo poza mną w nim nie było, lecz z sąsiedniego pomieszczenia dało się słyszeć słabe dźwięki muzyki, a za wąskimi, drewnianymi drzwiami dostrzegłem poustawiane na półkach duże, plastikowe torby. Okrążyłem kontuar i przeszedłem przez drzwi. Torby okazały się workami ziarna i śrutu dla koni i drobiu. Tu również nikogo nie było, lecz muzyka brzmiała już nieco głośniej, a może po prostu lepiej ją słyszałem, sam nie byłem pewien, podobnie jak nie byłem pewien, czy to istotnie muzyka, czy po prostu melodyjne głosy, w każdym razie brzmiały cholernie ciekawie, bowiem przyciągały mnie do siebie, mimo że zdawały się dochodzić ze ścian.

Reszta sklepu była pusta. Jako że muzyka wdarła mi się teraz pod skórę i swędziała do żywego, przeszedłem na przód budynku, zapuszczając się w korytarz, w którym zauważyłem oznakowanie toalet, i natrafiłem na kolejny,

niewielki korytarz z rzędem skrzynek na listy oraz widoczne w głębi częściowo uchylone drzwi. Dźwięki dobiegały właśnie zza tych drzwi i teraz zdałem sobie sprawę, że były to głosy, lecz w języku, którego nie rozumiałem czy też może który wydawał mi się znajomy, lecz na zasadzie odległego, ledwie rozpoznawalnego wspomnienia. Przez otwarte drzwi dostrzegałem bele siana ułożone wzdłuż ściany z pustaków, rozrzuconą po podłodze słomę oraz zawieszoną pod sufitem skórki zdjęte z drobnych zwierząt.

Kiedy wszedłem do niewielkiej, zaimprovizowanej stodoły, ujrzałem dwie białe dziewczyny mniej więcej w moim wieku lub może ciutkę starsze, które stały pod tylną ścianą pomieszczenia, kołysząc się ze spojrzeniem spuszczone pod nogi i bucząc z modulowanym, melodyjnym zawodzeniem. Z miejsca ogarnął mnie wstyd, że też tak tam wtargnąłem, a jednocześnie poczułem się zahipnotyzowany sceną pogrzebu, który najwyraźniej wyprawiały psu złożonemu do dołka wykopanego w ziemi pod stopami.

Nie odwróciły się w moją stronę, nie zdawały się nawet zauważać mojej obecności i pewnie w nieskończoność stałbym tak tępo w wejściu do stodoły, gdyby nie Corrina, która znienacka chwyciła mnie za ramię i wciągnęła z powrotem do korytarzyka ze skrzynkami na listy. Za nami wciąż słychać było nieprzerwane zawodzenie, niczym uderzenia i syk przybrzeżnych fal w zimną, ciemną noc na Venice Beach.

– Co ty robisz? – spytała, wyciągając mnie z powrotem na przód sklepu.

– Sam nie wiem – odpowiedziałem. – Usłyszałem te dźwięki i po prostu musiałem sprawdzić, skąd pochodzą.

– Wyglądasz, jakbyś śnił na jawie.

– Wyprawiały pogrzeb.

– Dołujące – zauważyła Corrina. – I przerażające. W ogóle to miejsce jest przerażające.

– I nie mają benzyny – dodałem.

Wyprowadziła mnie na werandę przed budynkiem, wyminęliśmy morele i wyszliśmy z powrotem na deszcz. Wskazała na przeciwny koniec stacji.

– Tam jest jakiś niewielki podjazd – oznajmiła. – I widzę coś jeszcze. Samochody. Jakiś garaż. Chodźmy sprawdzić.

Ruszyła w tamtą stronę, ale chwyciłem ją za ramię.

– Nie możemy tak po prostu zostawić tutaj Dziadzia – przypomniałem. – A co jeśli sobie gdzieś pójdzie?

– Co? Byłby do tego zdolny?

– Owszem – przyznałem.

Corrina skinęła w stronę garażu.

– Słuchaj – odezwała się. – Podjazd do tamtych zabudowań prowadzi z górki. Może zdołamy zepchnąć do niego samochód.

Wróciliśmy do Błękitnej Bomby i Corrina wyjaśniła, co trzeba zrobić. Nie miałem pojęcia, jak niby mielibyśmy zepchnąć samochód, ale kiedy wrzuciła luz i zdołaliśmy go wypchnąć spod daszku, zdaliśmy sobie sprawę, że to wykonalne. Dziadzio również pragnął pomóc. Wołał do nas przez otwarte okno z tyłu.

– Wypuście mnie! – powtarzał. – Pomogę pchać.

– Nie – odparłem.

– Teddy, ty mi nie mów, co ja mogę robić, a czego nie mogę.

Szło nam wolno i ledwie ruszyliśmy się z miejsca, pomoc istotnie by się nam przydała, ale co, jeśli poślizgnąłby się i uderzył w głowę? Albo gdyby się przewrócił, a samochód po nim przejechał?

Corrina zawołała mnie ponad maską wozu.

– Hendrix, potrzebny nam kierowca. Ktoś musi sterować. – Miała rację. Samochód skierowany był wprost ku rzędowni drzew. Żeby trafić w podjazd, musieliśmy skrócić w lewo. W zacinającym deszczu mrużyliśmy oczy i osłanialiśmy je przyłożonymi do czoła dłońmi. Corrina uśmiechnęła się do mnie.

– Potrzeba nam kapitana! – krzyknęła, aby przez okno usłyszał ją też Dziadzio. – Potrzebna nam pańska pomoc. Siada pan za kółkiem.

Raz jeszcze na mnie spojrziała.

– Uda nam się!

Pragnąłem zatrzymać czas, przeskoczyć przez maskę auta, wziąć ją w ramiona i wyznać jej skrywany w sercu sekret, o którego prawdziwości byłem teraz absolutnie przekonany, bo kiedy masz przed oczami najpiękniejszą dziewczynę na świecie, której deszcz przykleja włosy do głowy, której mokra koszulka przylgnęła do ciała niczym druga skóra i gdy ta dziewczyna czyta znaki i troszczy się o twojego Dziadzia lepiej niż ty sam, ten sekret, którego usiłowałeś nie wyznać przed sobą samym, rozpala się w tobie i rozchodzi po całym ciele niczym słońce o brzasku rozbijające mroki nocy.

Wpakowaliśmy Dziadzia na fotel kierowcy i z jego pomocą wypchnęliśmy Błękitną Bombę po łuku prowadzącym ku podjazdowi.

– O to chodzi! – zawołała i ja też wykrzyknąłem, wyrzucając z siebie coś gardłowego, zwierzęcego i swobodnego, czego nigdy dotąd nie czułem, a samochód zaczął wręcz nabierać nieco prędkości i łatwiej go było teraz pchać, aż zniecka zdaliśmy sobie sprawę, że zbocze jest bardziej strome niż nam się

wydawało i że wóz toczy się już sam z siebie bez naszej pomocy, więc zamiast pchać, usiłowaliśmy pociągnąć w przeciwną stronę, żeby go spowolnić, ale auto było zbyt ciężkie i tylko przyspieszało w dół krótkiego zbocza. Aby za nim nadążyć, musieliśmy się puścić biegiem.

– Hamuj! – krzyczała Corrina. – Hamuj!

– Hamuj! – powtarzałem za nią.

Dziadzio trzymał obie ręce na kierownicy i przynajmniej usiłował utrzymać wóz na prostej, teraz jednak wydawało się, że Błękitna Bomba zaraz wrąbie się w metalowe wrota garażu u podnóża pagórka. Wóz ciągle nabierał prędkości, a my pędziliśmy po jego bokach.

– Charlie! – wołała Corrina. – Hamuj, do cholery!

– Hamuję – odpowiedział.

Bo hamował. Koła już się nie kręciły. Po prostu ześlizgiwały się ze wzgórza koleinami formującymi się w czerwonym błocie. Błękitna Bomba utrzymywała kurs prowadzący ku bramie garażu i już sądziłem, że Dziadzio rzeczywiście ją staranuje, szarpnął jednak kierownicą i opony wyskoczyły z kolein, samochód przekrzywił się i zwolnił, a kiedy zbiegliśmy ze wzgórza na równy teren, zatrzymał się parę metrów od garażu.

Serca nam łomotały, nogi oblepiało błoto, ale nic nam się nie stało.

– Zamknij okna, Charlie – powiedziała Corrina. – Za moment wracamy.

– Nigdzie nie wychodź – dorzuciłem, ale na to zmarszczył czoło i pokręcił głową.

Z boku baraku przylegającego do garażu były szklane drzwi i kiedy wraz z Corriną zbliżyliśmy się do nich, ujrzeliśmy parę osób siedzących w środku. Otworzyliśmy drzwi i weszliśmy, a trzech bardzo rostrych mężczyzn przerwało swoje zajęcia i spojrzęło w naszą stronę.

Tak naprawdę miało się wrażenie, że w pomieszczeniu jest sześć głów – trzy łyse głowy olbrzymów oraz trzy widniejące na ich koszulkach czaszki z wydobywającymi się przez oczodoły i szczęki płomieniami. Jeden z wielkoludów stał za zaimprovizowanym kontuarem, który przypominał kawałek starego ogrodzenia. Kolejny siedział na wychylonym do tyłu krześle, opierając na kontuarze swe buciory motocyklisty. Trzeci natomiast siedział na taborecie naprzeciwko niego, lecz kiedy weszliśmy, wstał. Rozciągająca się na jego klatce piersiowej czaszka zdawała się większa od mojej głowy.

Ten za kontuarem gwizdał coś, lecz gdy nas zobaczył, ten na krześle krzyknął:

– Cholera jasna, żaden z nas nie wie, co to za piosenka, ale przez ciebie utkwiała mi w głowie. Więc albo przestań, albo powiedz mi, co też, u diabła,

wydaje ci się, że gwizdzesz!

Facet za kontuarem wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem.

Gość z taboretu, największy z całej trójki, gapił się na nas.

– Czegoś trzeba? – spytał.

– Benzyny – odparła Corrina.

– W dystrybutorach stojących przed wejściem... – powiedział powoli.

– Nic nie ma – dokończyła za niego Corrina.

Otaksował ją wzrokiem równie powoli, jak przemawiał. Wszyscy gapili się na Corrinę, na jej koszulkę, podejrzewam, że na widniejący na niej zespół albo też po prostu lubieżnie na nią samą. Zdawali się mieć w dupie, czy się ich boimy. Wydawało się wręcz, że ich to bawi.

– Coś daleko od domu, mały człowieczku – odezwał się do mnie ten z za kontuaru.

Wszyscy mieli długie brody, przez które sprawiali wrażenie starszych niż zapewne byli. Równie dobrze mogli być to bracia. Pomyślałem o dziewczynach w stodole koło sklepu. Ale garaż też w sumie wyglądał na coś w rodzaju sklepu. Stało w nim parę regałów, a na półkach widać było skromny wybór płynów do spryskiwaczy, płynów do chłodziń i olejów, jak również wycieraczki, szmaty, gumowe dywaniki i – owszem – czerwone, plastikowe, galonowe kanistry z benzyną.

– Skąd jesteście? – ten, który wstał, spytał Corrinę.

– Z Los Angeles – odparła.

Wskazałem na kanister na półce.

– Ile za paliwo? – spytałem.

Pierwszy z nich zbliżył się o krok.

– Z Los Angeles? – spytał Corrinę. – No, to jesteście kawał drogi od domu. – Zerknął na mnie. – Lubisz takie z Południa?

Wyszczrzył się w uśmiechu. Był równie brzydki co czaszka na jego koszulce. Facet za kontuarem wybuchnął śmiechem, tymczasem jednak ten na krześle opadł nogami na ziemię, przez co nogi krzesła walnęły o podłogę. Hałas sprawił, że aż podskoczyłem.

– Widzieliśmy, jak tu zjeżdżacie – powiedział. – Jest z wami ktoś jeszcze?

– Mój dziadek – odparłem.

Pokręcił głową.

– Dokąd jedziecie?

– Do Nowego Jorku.

To go rozśmieszyło, a pozostali mu zawtórowali.

– Z Los Angeles do Nowego Jorku jest spory kawał drogi.

– Ile za benzynę? – spytała Corrina.

Podeszła do półki i zdjęła z niej dwa kanistry.

– A ile jest dla was warta? – spytał ją gość na krześle.

Nachylił się do przodu i złożył dłonie między nogami.

– Ile za benzynę? – spytałem. W środku dygotałem jak szalony i miałem tylko nadzieję, że tego po mnie nie widać. – Spiesz się – dodałem.

– Nie wątpię – rzucił facet na krześle. – To ile jesteście gotowi za nią zapłacić?

Już włożyłem rękę do kieszeni, aby jak ostatni idiota wyciągnąć portfel, kiedy za moimi plecami otworzyły się drzwi. Do środka wpadł deszcz i poczułem, jak Dziadzio kładzie mi rękę na ramieniu. Wyminął mnie i podszedł do Corriny.

– Znaleźliście benzynę? – spytał.

Pomyślałem, że może niczego nie zauważył, ale wnet, gdy i jej położył rękę na ramieniu i wbił spojrzenie w trójkę brodaczy, zdałem sobie sprawę, że Dziadzio od wejścia zorientował się w sytuacji.

– Znaleźli – odpowiedział ten na krześle. Spojrzał na Dziadzia i dostrzegł jego czapkę. Wyraz jego twarzy uległ zmianie. – Piechota morska?

– Od sześćdziesiątego siódmego do sześćdziesiątego dziewiątego. Khe Sanh. Hue. – odparł Dziadzio. – A ty?

– Faludża.

Dziadzio skinął głową, przeszedł przez pomieszczenie i uściśnął mu dłoń.

Pozostali się rozluźnili. Duży, który wcześniej siedział na taborecie, wyszedł za kontuar.

– Hej – rzucił weteran. – Podlicz tych młodych.

Razem z Corriną zanieśliśmy do kontuaru cztery galony benzyny, po czym Corrina dorzuciła jeszcze dwie butelki dodatku do paliwa i podczas gdy płaciliśmy za zakupy i wraz z facetami za kontuarem pakowaliśmy je do torby, Dziadzio urywanymi, niemal szyfrowanymi zwrotami i fragmentami zdań prowadził rozmowę o walce w terenie zabudowanym, Faludży, Bagdadzie oraz wietnamskim Hue.

Weteran wyszedł nawet z nami przed stację, pomógł wlać benzynę do baku i upewnił się, że odpalimy. Kiedy się to udało, Dziadzio ponownie uściśnął mu dłoń i powiedział mu coś cicho na ucho. Tamten przytaknął.

– Przepraszam za kłopot – powiedział. – Bez obrazy, tak sobie tylko żartowaliśmy.

Dziadzio skinął głową.

– Dzięki za pomoc.

Corrina wysunęła głowę przez okno i ponad rozciągniętą na piersi trupią czaszką spojrzała w oczy weterana.

– Ted Nugent – powiedziała.

– Co?

– Ted Nugent. *Call of the Wild*. Siedemdziesiąty czwarty. Kolega za cholere nie potrafi gwizdać, ale to ta piosenka. Która, swoją drogą, też jest do dupy.

Uruchomiła silnik, wycofała Błękitną Bombę spod stacji i powiozła nas z powrotem w górę zbocza, pozostawiając weterana samego pośród błota.

– Ale z nich palanty – zauważyła, wyjeżdżając na drogę dojazdową przed Sklepem Ogólnospożywczym. – Palanty.

– Wiesz – odezwał się Dziadzio. – Gość musiał spojrzeć na sytuację z innej perspektywy.

– Kumple. Brachole. Ziomkowie z ekipy. Jedna cholera – ciągnęła Corrina.

– Cóż, większość ludzi potrafi uszanować wyprawę – zauważył Dziadzio. – No wiesz, jak przyjdzie co do czego, to każdy potrafi uszanować wyprawę.



## ROZDZIAŁ 14

### Szare zjawy

Corrina wyprowadziła Błękitną Bombę z powrotem na czterdziestkę i ruszyliśmy dalej w kierunku Flagstaff. Patrzyłem, jak przed nami burza szturmuje szczyt Humphreys Peak. Pioruny siekły raz po raz, jak gdyby na niebie toczyła się jakaś potworna bitwa.

Co do jednego byliśmy zgodni. Po spotkaniu z palantami zgłodnieliśmy. W końcu ujrzyliśmy drogowskazy na Flagstaff i gdy zbliżaliśmy się do miasta, miałem nadzieję, że coś tam znajdziemy. Najpierw uzupełniliśmy zapas paliwa w baku, po czym natrafiliśmy na taco bar i usiedliśmy na kanapach przy stoliku, starając się nie wyglądać na zbiegów. Dziadzio milczał; choć podczas sytuacji w garażu był czujny i energiczny, niedługo po tym, jak wróciliśmy na szosę, zapadł w drzemkę i obawiałem się, że zbyt nadwyrężył umysł. Kiedy kelner spytał go o zamówienie, Dziadzio zamilkł. Wziął głęboki oddech, ja zaś dostrzegłem, jak jego twarz przybiera wyraz zagubienia.

– Dziadziu – odezwałem się. – Zamówmy to, co zawsze. Ty lubisz burrito z kurczakiem, a ja carnitas. Weźmy to i już, co?

Podniósł na mnie wzrok i się uśmiechnął.

– Tak – powiedział. – Oczywiście.

Restauracja miała sklepiony sufit, kolorowe boksy ciągnęły się na podeście wzdłuż jednej ze ścian, prócz nich było też ileś rozproszonych stolików, a także długa lada barowa, za którą ogromny, plastikowy rekin przebijał się przez mur ze sztucznych cegieł. Na ścianach i suficie wisały inne marynistyczne rekwizyty, takie jak deski surfingowe, pułapki na homary, oznaczenia dla płetwonurków wskazujące miejsca, gdzie „da się zamoczyć” i inne znaki o podobnie subtelnym podtekście, piankowe boje i rozmaite plastikowe ryby. Wystrój mi się podobał, tyle że za barem grała głośna muzyka, którą za sprawą konstrukcji pomieszczenia dodatkowo potęgowało echo, w różnych kątach lokalu błyskały cztery wielkoekranowe telewizory, a gwar klientów i obsługi tym bardziej czynił z miejsca lokal nader nieprzyjazny Dziadziowi.

Otrzymaliśmy nasze zamówienie i niedługo potem Dziadzio musiał pójść do łazienki. Poprowadziłem go i zaczekałem przy umywalkach, aż zrobi, co trzeba, a kiedy szliśmy z powrotem do sali, chwycił się mocno mojego

ramienia. Zaprowadziłem go do naszego boksu, on jednak spojrzął na talerz, jakby zdążył zapomnieć o jego zawartości, a kiedy rozejrzał się dookoła, miał rozbiegany wzrok, jak gdyby dopiero co przebudził się z drzemki i nie pamiętał tego, że w ogóle zasnął.

– Gdzie my tak w ogóle jesteśmy? – spytał.

– We Flagstaff – odparła Corrina.

Skinął głową, widziałem jednak, że ma problem z jej rozpoznaniem.

– Jesteśmy na wyprawie – przypomniałem mu. – I świetnie się bawimy.

Corrina natychmiast zdała sobie sprawę z kłopotu Dziadzia.

– Charlie, każdy potrafi uszanować wyprawę – stwierdziła, sięgając po jego własne słowa.

Spochmurniał i wrócił do posiłku. Przez dłuższą chwilę jedliśmy w milczeniu, lecz Corrina także rozglądała się sceptycznie po lokalu. Poza elementami marynistycznymi wszędzie widać było też sombrera. I to nie po prostu powieszona na ścianach, a wciśnięte na rekinie łby czy też narysowane na głowach karykaturalnych mężczyzn ozdabiających szyldy i plakaty na ścianach. Po wejściu do knajpy nawet tego nie dostrzegłem, ale poza Corriną wszyscy w lokalu byli biali.

– Głupio wybrałem miejsce na lunch – przyznałem. – Dopiero to zauważam.

– Doprawdy? – parsknęła, nabijając na widelec kolejną porcję enchilady. – Jedzenie w sumie całkiem niezłe, ale lepiej, kurwa, nie poruszaj tematu.

– Wiem, wiem – odparłem.

– Co to za słownictwo? – odezwał się zza stołu Dziadzio. Wpatrywał się w Corrinę. – Skoro już zapraszam cię na lunch, to życzylibym sobie przestrzegania pewnych reguł.

– Mhm, w porządku – odpowiedziała Corrina.

Zerknęła na mnie.

– Ciebie też to tyczy – zwrócił się do mnie. – Za każdym razem, kiedy się widzimy, tak po prostu oczekujesz, że cię gdzieś zaproszę, a jednocześnie nie masz za grosz szacunku do tego, jak cię wychowałem.

Mówiąc to, groził mi widelcem. Corrina wbiła we mnie spojrzenie. Nie za bardzo wiedziałem, co się w ogóle dzieje. Kiedy jadaliśmy w Holy Guacamole przy plaży, to zawsze ja płaciłem za burritos czy też, ściślej rzecz ujmując, miałem na to pieniądze od mamy, to ja też płaciłem za wszystko od wyjazdu.

– Ja wcale nie muszę jeździć na takie wycieczki – ciągnął dalej Dziadzio. – Przyjeżdżam, żeby cię odwiedzić i zawsze jest tak samo. Kolejny lunch, kolejna

panna. Jemy. Wychodzimy. A może byś tak spytał, co u matki?

– Dziadziu? – wciąłem się.

– Jake, ty nie masz zielonego pojęcia, ile zrobiliśmy, żeby zapewnić ci takie warunki. Zielonego! To może okazać jednak trochę szacunku?

W spojrzeniu jego zmrużonych oczu widać było, jak wrze w nim gniew, ja zaś nie wiedziałem, co zrobić, by go uspokoić. Choć siedziałem tyłem do większej części sali, byłem pewien, że niektórzy klienci nas słyszeli. Duch powrócił i siedział z nami przy posiłku, tyle tylko, że tym razem siedział we mnie.

– Dziadziu – szepnąłem. – To ja, Teddy.

Oddychał przez nos.

– Co tu się dzieje? – spytał.

– Mam prośbę – odezwała się Corrina. – Zaśpiewajmy tę wczesną piosenkę Joni Mitchell, którą z Betty tak podobno lubiliście.

Corrina zaśpiewała parę strofek i wyciągnęła do niego dłoń, on jednak ją odrzucił, że aż uderzyła w ścianę obok.

– Przestań – rzucił. – Nie próbuj mnie ugłaskać. Ach, Jake – westchnął, kręcąc głową i patrząc na mnie. – Ty i te twoje dziewczyny. Ty i te wszystkie twoje dziewczyny. – Gorzko pociągnął nosem. – No więc kto to jest? Kogo niby mam dzisiaj poznać?

– Hej, Dziadziu – odezwałem się, tym razem głośniej, nic sobie już nie robiąc z tego, czy ktoś nas usłyszy. Objąłem Corrinę ramieniem. – To ja, Teddy. Jemy sobie po prostu burritos, tak jak zawsze. To moja przyjaciółka Corrina. Jest naszym kierowcą. Kocham cię. I robię wszystko tak, jak o to prosiłeś. Jak zawsze. Po prostu zjedzmy sobie posiłek, dobra?

Mówiłem tak równo i spokojnie, jak tylko mogłem, a kiedy skończyłem, bez namysłu chwyciłem Corrinę za dłoń. Pozwoliła mi na to, a gdy ją ścisnąłem, odwzajemniła uścisk i nawet bez oglądania się na nią jakoś poczułem, że nie jest na mnie zła.

– Nie rozumiem – powiedział Dziadziu.

– Dziadziu – zwróciłem się do niego. – Chciałbym cię teraz odprowadzić do samochodu.

– Nie rozumiem – powtórzył i w jego zamglonych oczach dostrzegłem zmieszanie, jakie dopadało go w te słabsze dni. To było coś gorszego niż kiedy po prostu zapominał słów, takich jak choćby „lodówka” czy „zupa”; było to coś znacznie bardziej przerażającego, jak gdyby żył w innym czasie, jak gdyby widział świat niczym podwójnie naświetloną fotografię, na której szare zjawy przeszłości nakładały się na rzeczywistość tu i teraz.

Wstałem i podałem Corrinie plik banknotów, na co ona po prostu skinęła, po czym obszedłem stolik i spróbowałem pomóc Dziadziowi podnieść się z siedziska. Początkowo miał z tym kłopoty, lecz jego furia zdążyła ustąpić i teraz, zagubiony, czuł raczej lęk aniżeli gniew. Wyprowadziłem go do samochodu i posadziłem z tyłu obok Starego Grzmota. Siedzenia były trochę mokre, bo ze względu na Starego Grzmota musieliśmy zostawić niedomknięte okna, deszcz już jednak ustał, powietrze było chłodne i rześkie, a ogromne, kłębiaste chmury przesuwały się powoli niczym statki w olbrzymim, niebiańskim porcie. Spojrzałem w górę, oparłem się o karoserię Błękitnej Bomby i zacząłem czytać z Rodzinnej Księgi Hendrixów, powtarzając Dziadziowi historię, którą niegdyś mi opowiedział.

## OPOWIEŚĆ O PIERWSZYM POCAŁUNKU DZIADZIA I BABCI

Betty McCarthy była niekwestionowaną piękną Ithaki. Jej rodzice uważali, że uroda zapewni jej szczęście. Uważali też, że szczęście oznaczało bogactwo i bezpieczeństwo. Jej rodzice byli w błędzie.

W 1963 roku w Ithace niewiele było majątnych osób, które w ten czy inny sposób nie byłyby związane bądź to z uniwersytetem Cornell, bądź też Ithaca College. Tym niemniej część z tych, którzy nie byli profesorskimi dziećmi, także wydawała się mieć pewne perspektywy. Charlie Hendrix nie zaliczał się do tego grona, ale jego przyjaciel Frank Morris owszem. Każdy wiedział, że Frank zostanie lekarzem, prawnikiem czy też może senatorem. Jego ojciec prowadził warsztat na obrzeżach miasta. Nie ukończył choćby szkoły średniej, za to Frank był w szkole prymusem i zamierzał daleko zajść. Każdy to wiedział. Każdy się tego spodziewał. I każdy w mieście znał Franka. Kiedy Frank zabierał dziewczynę na lody do Purity Ice Cream, dostawał porcję gratis. Kiedy zjawiał się z dziewczyną u Macavoya, barman zawsze na powitanie dawał jej darmową sherry. Wszyscy znali Franka i wszyscy go kochali, zwłaszcza on sam siebie. Wraz z Dziadziem pracowali w warsztacie jego ojca, przez co niby byli przyjaciółmi, acz nie spędzali ze sobą wiele czasu.

Tego wieczoru, gdy Frank miał zabrać Betty do Macavoya na pierwszą randkę, zapomniał, że zawczasu umówił się z Kim Lynch, z którą spotykał się na boku i w związku z którą miał osobne plany.

– Charlie, pójdz może za mnie z Betty, co? Dyskretnie powiedz Davy’emu, że wyświadczasz mi przysługę. On już o was zadba.

– To randka. Nie można tak po prostu podstawić kogoś innego.

– Ha! Nie, nie można, fakt. Ale weź, wyświadczyć mi przysługę.

Charlie niechętnie przystał, a kiedy stanął się u drzwi Betty, ta pomyślała, że to jakiś żart. Kazała mu usiąść na schodach werandy i razem zaczekać na Franka, by mogła mu wygarnąć, że zachował się po chamsku i że od początku wiedziała, jaki z niego niegodziwiec. Charlie próbował ją pocieszać, usiłował przekonać, że Frank jest w porządku, nie był jednak przekonujący, ponieważ sam wcale tak nie uważał, tak więc po chwili wyznał jej całą prawdę na temat Franka. No, prawie całą. Ani słowem nie wspomniał o Kim, bo kimże on był, by ją szkalować.

– No, to rozstrzyga sprawę – oznajmiła Betty. – Nie na darmo się stroiłam. – Spojrzała na samochód Charliego. – Charlie Hendriksie – odezwała się. – Nie będzie z ciebie lekarz czy profesor i po prawdzie to nikomu tak niskiemu nie dałabym się zaprosić na randkę, ale od godziny siedzisz ze mną na werandzie u rodziców i dotąd nie słyszałam ani słowa skargi.

– Cóż, lubię twoje towarzystwo.

Betty przewróciła oczami.

– Naprawdę lubię. Ale przede wszystkim ze względu na twój głos.

Słyszając to, wybuchła śmiechem. Większość chłopaków, gdy prawiała jej komplementy, wygadywała innego rodzaju głupoty. Ale żaden jeszcze nie wygadywał głupot o jej głosie. Dopiero Charlie.

– Jesteś rozgniewana, ale nie dajesz tego po sobie poznać. W twoim głosie słyszę po prostu szczerść. Nie tyle jesteś wściekła na Franka, ile zszokowana tym, że ktoś w ogóle może się tak zachować.

– Owszem – przyznała. – O wiele łatwiej jest być szczerą.

– Zgadza się.

Uśmiechnęła się.

– Zabierzesz mnie do Macavoya?

– Prawdę mówiąc, Betty, wolałbym cię tam nie zabierać. Po prostu nie wydaje mi się, by to było właściwe miejsce. I choć wiem, że czeka tam na ciebie darmowa sherry, wolałbym cię zabrać dokądś indziej, nawet jeśli nadszarpnie mi to budżet.

– Masz w tym aucie koc?

– Mam.

– No to mam pewien pomysł.

Dziadzio z miejsca się zakłopotał.

– Powiem tak – ciągnęła Babcia. – Przynajmniej, Charlie, masz samochód.

Pokierowała go przez miasto na północny wschód, ku wzgórzom, po drodze pytając go, czy jest dżentelmenem, na co Dziadzio odpowiedział, że jest.

– A skąd mam wiedzieć? – spytała Babcia.

– Jak miałbym to udowodnić?

– Nie spróbujesz mnie dzisiaj pocałować.

– Nie spróbuję.

Wyprowadziła go na polanę na zboczu wzgórza, przypominającego naturalny amfiteatr z widokiem na jezioro Cayuga i nieskończoność nocy. Patrzyli, jak gwiazdy niespiesznie suną po niebie. Rozmawiali o dorastaniu. Były między nimi trzy lata różnicy, chodzili do tej samej szkoły średniej, a Dziadzio nie posiadał się ze zdumienia, że pamiętała go z czasów, gdy chodził do ostatniej klasy. Teraz sama kończyła studia w Ithace. On z kolei pracował w warsztacie u Morrisów, starając się zaoszczędzić, ile tylko mógł, i niebawem planował otworzyć własny interes. Doprowadzali się nawzajem do śmiechu. Oboje wiedzieli, że mogą sobie zaufać. Aż w końcu, gdy zrobiło się późno i Dziadzio niebawem musiał już odwieźć Babię do domu, powiedziała, że teraz już może.

– Możesz mnie pocałować.

– Nie – odparł Dziadzio.

Zaśmiała się.

– Nie, spokojnie. Nie mam nic przeciwko.

– Nie. Złamałbym wtedy obietnicę – oznajmił. – A to kiepski sposób na zaczęcie czegoś, co chciałbym kontynuować. Ja dotrzymuję obietnic.

– Aj! – Pacnęła go w ramię. – Nie bądź uparty. Popsujesz nastrój.

– Nie – powtórzył. – Ale cię o coś poproszę.

– Co za tupet!

– Pozwolisz, że zabiorę cię tu jutro wieczorem?

Następnego wieczoru wrócili w to samo miejsce. Serca im waliły, utrudniając swobodną jeszcze dzień wcześniej rozmowę, aż w końcu Babcia nie mogła już dłużej czekać i uprzedziła pytanie Dziadzia:

– Boże, Charlie, czy mogę cię już w końcu pocałować i mieć to za sobą?

– Tak – odpowiedział, więc to uczyniła.

Po chwili zatrzymali się i na moment zamilkli.

– A teraz – odezwał się Dziadzio, biorąc ją za rękę – czy mogę pocałować cię raz jeszcze?

Zaśmiała się i wieczór minął idealnie, z jednym drobnym wyjątkiem – Dziadzio czuł się trochę winny, że odwiózł ją do domu z półgodzinnym spóźnieniem.

Wszystko to przeczytałem mu przez otwarte okno, podczas gdy czekaliśmy, aż Corrina zapłaci rachunek, a kiedy skończyłem, kiwał potakująco głową i wspominał razem ze mną.

– Teddy? – odezwał się, a ja z ulgą stwierdziłem, że wrócił do rzeczywistości. Otworzyłem drzwi, Dziadzio wysiadł i oparł się obok mnie o Błękitną Bombę. – Toż to jakiś koszmar.

– Wiem.

Ledwie dzień wcześniej wyruszyliśmy w trasę, a ja już zaczynałem się zastanawiać, czy aby na pewno podjąłem właściwą decyzję. Pragnąłem tylko dochować mojej obietnicy i nie chciałem przy tym wyrządzić mu jeszcze większej krzywdy.

## ROZDZIAŁ 15

### Ognisko

Kiedy w końcu Corrina wyszła z baru, przypięliśmy Staremu Grzmotowi smycz i zabraliśmy go na przechadzkę po okolicy, aby rozprostował łapy i w razie potrzeby nieco się wyszalał, wydawało mi się bowiem, że rozumiem, jak to jest czuć się trochę szalonym, tak się zachowywać i odczuwać potrzebę wyszalenia się co jakiś czas, by nie hamować tego w sobie niczym jakiejś bomby, która tylko czeka, by odpalić w niespodziewanym, niemożliwym do wyjaśnienia momencie w przyszłości.

Dziadzio przejął smycz, jako że Stary Grzmot słuchał się go bardziej niż mnie czy Corrinę, po czym zeszliśmy ze wzgórza ku obrzeżom osiedla, aby wyrzeć na rozciągający się poniżej inny fragment miasta.

– Przepraszam za tamto – zwróciłem się do Corrinie, z którą szliśmy za Dziadziem i Starym Grzmotem.

– Nie, nie przejmuj się – odparła. – Już się do tego przyzwyczajam. Po prostu trzeba się z tym pogodzić. Trochę ustępujesz, wchodzisz w jego świat, i dobrze, a następnie powoli prowadzisz go z powrotem do naszego świata.

– Jak ręka? – spytałem.

– Z ręką w porządku. Ale wszystko to jest popieprzone, Hendrix. Ten szyld? To logo? Rekin z sombrero na łbie, a na dodatek z gęstym, czarnym wąsem? No i facet za barem, biały, miał takie samo sombrero i też sztuczne wąsy. – Machnęła dłonią w powietrzu. – Boję się takich akcji. Czy ten gość dzień w dzień odstawia takie rasistowskie Halloween? – Zerknęła na mnie. – Serio, Hendrix. Sama nie wiem, czy gorszy jest tamten palant w garażu, czy ten nieogarnięty kolo za barem. Tego się boję. A nie twojego Dziadzia.

– Słuchaj, przykro mi.

– Hendrix, przestań mnie przepraszać. Nic to nie pomoże. Ty się lepiej zastanów, gdzie będziemy dzisiaj spać.

– A, no tak – przystałem. – O tym nie pomyślałem.

– No – rzuciła Corrina. – Właśnie.

Obydwoje zamilkliśmy na moment. Czuję się, jakby mózg miał mi zaraz eksplodować. Musiałem myśleć o Dziadziu, lecz zarazem nie byłem w stanie przestać myśleć o tym, co właśnie powiedziała Corrina. Było to coś



przedziwnego. Zupełnie jakby fakt, że jestem biały, nałożył mi klapki na oczy, przez co nie widziałem wokoło siebie cierpienia. Nie byłem taki sam jak tamci goście w garażu czy ci w restauracji, lecz wiedziałem, że jeśli naprawdę nie postaram się zrzucić tych cholernych kłapek i nazwać tego, co widzę, to bez dwóch zdań będę do tych gości podobny o wiele bardziej, niżbym sobie życzył.

Corrina miała rację także w tym, że musieliśmy znaleźć jakieś miejsce na nocleg.

– Słuchaj – odezwałem się. – Nie jestem pewien, czy powinniśmy jeszcze dzisiaj dalej jechać. To znaczy moglibyśmy. Ale może jednak lepiej byłoby dziś już Dziadzia nie męczyć.

Kiedy w domu Gawędziarza ustalaliśmy nową trasę, planowaliśmy pierwszą noc po wyjeździe z Vegas spędzić w Albuquerque, co bez korków na trasie oznaczało jakieś osiem godzin drogi. Stamtąd następnego dnia mieliśmy pokonać mniej więcej dziewięciogodzinny dystans, by dotrzeć w okolice Oklahoma City. Byliśmy jednak dopiero we Flagstaff, a jak na jeden dzień wystarczająco już Dziadzia wymęczyłem. Postanowiłem, że o ile będzie to możliwe, przez resztę wyprawy będziemy się raczej starali brać jedzenie na wynos.

Kiedy znaleźliśmy zakwaterowanie, był już wieczór. Miejsce znajdowało się na wzgórzu na przedmieściach Flagstaff i przypominało raczej chatę z bali pośród lasu aniżeli motel czy pensjonat, ale deszcz i ciężkie chmury zdążyły przejść, a w pobliżu domku słychać było ćwierkanie chyba z tysiąca małych ptaszków. Wszyscy cieszyliśmy się, że wysiadamy już z auta, w szczególności Stary Grzmot, który zrobił kilka kółek i próbował urwać się ze smyczy, aż w końcu Dziadzio zdołał go uspokoić.

Recepcjonista był niewiele starszy ode mnie. Miał długie, tłuste, czarne włosy, które przez całą rozmowę odgarniał za uszy i żadnemu z nas nie patrzył w oczy. Byłem całkiem pewien, że jest upalony, co mi jednak nie przeszkadzało, bo przyjął od nas zapłatę w gotówce i nie chciał żadnego dokumentu. Motelowa chata miała zaledwie osiem pokoi i dwie łazienki, my zaś byliśmy tej nocy jej jedynymi gośćmi. Recepcjonista oświadczył, że skoro płacimy za jeden pokój, to wszyscy będziemy musieli w nim spać. Właścicielka miała pojawić się nad ranem i na ósmą przygotować śniadanie. Ponoć wypiekała własny chleb.

Corrina poleciła spakować na wynos wszystko to, czego nie zjedliśmy w taco barze, tak więc w aneksie kuchennym przygotowaliśmy sobie wczesną kolację, podgrzewając prowiant w mikrofalówce, a niedługo po zmroku Dziadzio poszedł spać. W pokoju były dwa łóżka i właściwie tylko o tym teraz myślałem,

zastanawiałem się też, co o tym sądzi Corrina, lecz już na samą myśl, że mógłbym znaleźć się z nią w jednym łóżku, odczuwałem pewne oszołomienie.

Kiedy Dziadzio się położył, Corrina i ja przez chwilę zajmowaliśmy się swoimi telefonami. Wspólna izba miała wielki, sklepiony sufit z widocznymi belkami stropowymi, które wznosiły się ku szczytowi dachu w kształcie litery A. Był też kominek z flizowym paleniskiem, a pomimo lata nocą na górzystej pustyni było zdecydowanie chłodniej niż w Los Angeles.

– Myślisz, że damy radę rozpalić ogień? – spytała Corrina.

Pomysł nie wzbudził we mnie entuzjazmu, ponieważ a) nigdy w życiu nie rozpalałem ognia i natychmiast wyobraziłem sobie, że spalę całą chałupę i b) ogarnął mnie paranoiczny lęk, że też może istnieć jakiś nieznany mi przepis zakazujący palenia tutaj ognia i że gdy go rozpalimy i nas na tym przyłapią, to zostaniemy wyrzuceni. Ale podczas gdy jedliśmy kolację, upalony recepcjonista gdzieś zniknął, a Corrina była zdecydowana. W kuchni wygrzebała zapalniczkę, nie mogła jednak znaleźć drewna na opał. Stała przy kamiennym palenisku i pstryknęła zapalniczką. Dostrzegłem, jak dygocze, chwyciłem ułożony na kanapie duży, wojskowy pled i narzuciłem jej go na ramiona.

– To miłe – zauważyła.

– Czyli co, naprawdę nie zamierzasz oddzwonić do taty?

Wbiła spojrzenie w pusty kominek.

– Jeden fragment z teczki, którą mi założył, pamiętam szczególnie dobrze – powiedziała. – „Łatwo myli się w ocenie rzeczywistości, gubi się pod wpływem emocji, niezdolna odróżniać je od siebie. Prowadzi to do nadmiernych wybuchów względem innych osób, kiedy w rzeczywistości to jej własny obraz siebie samej jest niewłaściwy”. Nie chce mi się w ogóle o tym gościu myśleć, a co dopiero z nim rozmawiać.

– Kurde – odezwałem się. – To kiepsko.

Co jednak dziwne, pomyślałem przy tym o Dziadziu, a wyrażona przeze mnie ocena równie dobrze chyba pasowała i do jego sytuacji. Zastanowiłem się, jakbym się czuł, gdyby to mnie ktoś założył taką teczkę.

– Wiesz, o czym w teczce nie napisał? Nietrudno się domyślić. Ale mówię serio, mam takie poczucie, że wszyscy mnie opuszczają, czy też że mają taki zamiar. I pozwól, Hendrix, że tutaj coś powiem. Tak jest. Opuszczają mnie. Ale chrzanić to. Tym razem to ja ich opuściłam.

Następnie zamilkła.

– Wiesz co? – spytałem. – Zawsze mi się wydawało, że masz stada przyjaciół, że żyjesz sobie życiem beztroskiej gwiazdy rocka.

– No, to teraz znasz prawdę. Jestem Corrina, moje życie to pierdolnik. Miło cię poznać. – Wysunęła rękę, ale jej nie uściskałem.

– Nie – odparłem. – Nie, teraz już wiem, że tak naprawdę jesteś o wiele bardziej taka jak ja. – Wzruszyłem ramionami. – Nie żebym twierdził, że to jakoś fantastycznie. Mówię tylko, że to rozumiem – a przynajmniej w kwestii tego poczucia osamotnienia.

Corrina ściślej owinęła się kocem.

– Naprawdę nienawidzę czuć się samotna, nienawidzę być samotna. Ale jestem. Serio, Hendrix, jestem całkowicie samotna.

– No, ja też – przyznałem. – Non stop tak się czuję.

Wzdrygnęła się. Ani myślałem siedzieć tam i przez całą noc pograżać się w chandrze, a że większość światła w pomieszczeniu dawały przyciemnione lampy, przypomniało mi się, jak z Dziadziem urządziliśmy „kemping” w salonie, jeszcze w Wielkim, Pustym Błękitcie. To był jego pomysł, teraz zaś powrócił do mnie pod postacią śmiesznie nostalgicznego wspomnienia.

Usadawiłem Corrinę na dywanie przed kominkiem, po czym sam usiadłem naprzeciwko niej, tak że nasze kolana niemal się stykały. Rogi pledu upchnęliśmy pod sobą, a jego środek podniosłem nam nad głowy niczym namiot.

– Włącz zapalniczkę – powiedziałem.

Tak też zrobiła i ukazał się niewielki płomyk.

– Oto nasze ognisko – oznajmiłem.

– Poczekaj. – Corrina wynurzyła się spod pledu i pobiegła do aneksu kuchennego, skąd wróciła z latarką. – Tak będzie lepiej – stwierdziła. – Dla efektu.

– To taka metafora ognia – uznałem.

– No właśnie, Poeto. Metafora ognia. Czy umiesz się ogrzać metaforami?

– Nie jest mi zimno.

– Ani mnie – wyznała. – Już nie.

Przytrzymałem koc ponad naszymi głowami, a ona włączyła latarkę i przykryła reflektor palcami, robiąc migoczące cienie na ścianie naszego namiotu. Ustawiła sobie latarkę pod brodą i zaczęła robić śmieszne miny, jakby była duchem, a potem podstawiła ją pod mój podbródek i powiedziała, że wyglądam jak zombie.

Następnie to ona przytrzymała pled, a ja wziąłem latarkę i zakręciłem nią dookoła.

– Patrz – powiedziałem. – Ale szal, światła potężnych reflektorów pulsują

na niebie nad teatrem w wieczór premiery twojego pierwszego wielkiego widowiska.

Zachichotała i chwyciła z powrotem latarkę.

– Patrz – powiedziała, świecąc sobie do ust. – Ój olichek chłonie. – Wysunęła latarkę z buzi i ustawiła ją sobie za uchem. – A teraz ucho mi płonie.

W tym świetle jej włosy otaczała ciemnobursztynowa poświata. Przeciągnęła przez nie dłoń, rozdzielając kosmyki i w przestrzeń naszego namiotu rozrzucając między nami jakby drobne iskierki.

– Uważaj z ogniem – zwróciłem jej uwagę. Ponownie wziąłem od niej latarkę.  
– Patrz, jak szybko przeskoczył od ciebie do mnie.

Wsunąłem światło pod moją koszulkę, w pobliże serca.

Corrina zachichotała. Sięgnęła pod koszulkę i chwyciła latarkę. Nie miała zimnych palców, a mimo to ich dotyk sprawił, że na piersi dostałem gęsią skórę.

– Patrz – powiedziała, robiąc to samo, co ja. – Też mi się tak zrobiło.

Miała na sobie czarną bluzkę, toteż ogień nie był już tak jasny, lecz i tak poczułem w brzuchu płomienie.

– Wiesz co – odezwałem się – mam wrażenie, że kiedy jestem z tobą, jestem kimś lepszym.

– Ja mam to samo. Czy też może... – zamilkła. W namiocie panował mrok, jeżeli nie liczyć światełka widocznego na jej piersi. – Wydaje mi się, że kiedy jestem z tobą, jestem taka, jaką pragnę być.

– To tak, jak ja – przyznałem.

Zdawało się, że grawitacja z nami pogrywa, czy też to Corrina się zbliżała, nachylając się ku mnie, przysuwając swoje światełko.

– Chcę po prostu podążać dalej – powiedziała.

– Ja też – zgodziłem się. – Nie chce mi się wracać.

– Ani mnie.

– Podoba mi się, jak to powiedziałaś – zauważyłem. Użyła „mnie” na pozycji akcentowanej.

– A mnie, jak ty to mówisz.

– A mi.

– A mnie.

– A mi.

– A mnie.

– A mi.

– A mnie.

Czułem jej oddech na moich ustach i choć wiedziałem, do czego to zmierza, i tak uważam, że zawsze najlepiej zapytać wprost i nie ma nic złego w chęci upewnienia się, że dobrze zrozumiałeś zaproszenie.

– Czy mogę cię pocałować?

I wiedziałem, że odpowie „tak”, bo latarka upadła pomiędzy nas i poczułem to wesołe ukłucie niepokoju, i po prostu wiedziałem, że zaraz się pocałujemy, wtem jednak zniecka otworzyły się frontowe drzwi.

Corrina wydała z siebie okrzyk, a ja zrzuciłem z nas pled, wymachując latarką niczym sztyletem.

– Co się tutaj dzieje?

W progu stała wysoka kobieta z rękami opartymi na biodrach. Pomimo chłodu ubrana była jedynie w cienki, biały tiszert i cieką koszulę flanelową, rozpiętą niczym płaszcz. Przez ramię miała przerzucone liny do wspinaczki wraz z karabińczykami. Nosila piłkarskie krótkie spodenki i była wręcz absurdalnie umięśniona. Nawet na szyi. Sprawiała wrażenie, jakby mogła kruszyć głązy – wystarczyłoby, by włożyła je sobie pod kolana i wykonała przysiad.

– Co tu się dzieje? – powtórzyła z akcentem, który zabrzmiał mi nieco rosyjsko. – Gdzie jest Greggie?

Była pewnie młodsza od mojej mamy, lecz jej blond włosy miały tak jasny kolor, że wydawały się siwe.

Corrina poderwała się na nogi, ja uczyniłem tak samo.

Kobieta zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Nie prowadzę tu domu seks-schadzek dla nastolatków!

– Eee... – odezwałem się – przecież mój dziadek śpi w pokoju obok.

– Uprawiacie seks, kiedy dziadek śpi w pokoju obok?

Prawdę mówiąc, to pomyślałem sobie, że zawsze to lepiej, niż gdybyśmy mieli to robić w łóżku obok niego, uznałem jednak, że kłócenie się ze zwyciężczynią konkursu na Kulturystkę Roku to dosyć kiepski pomysł.

– Nikt tu nie uprawia seksu – odpowiedziała Corrina. Ledwie była w stanie oderwać wzrok od podłogi i widziałem, jak jej policzki i szyję oblewa rumieniec.

– Żadnego seksu! To jedna z zasad.

– Pani jest właścicielką? – spytałem.

– Owszem. – Wyminęła nas i weszła do aneksu kuchennego. – Greggie! – zawołała.

– Proszę – odezwałem się. – Mój dziadek śpi.

W odpowiedzi zmarszczyła czoło i przeszła prosto do lodówki, skąd

wyciągnęła produkty, by przygotować sobie kolację, a ja wnet uświadomiłem sobie, że nie jesteśmy w żadnym hotelu, a po prostu u niej w domu, gdzie prowadzi nielegalny pensjonacik, i że to dlatego przyjmują tu wyłącznie płatności gotówką.

Z podwórza przez kuchenne drzwi powrócił gustujący w trawce recepcjonista.

– Cześć, kotku – odezwał się, unosząc kąciki ust w leniwym uśmiechu. Jego oczy przypominały dwie czerwone rodzyunki.

– Greggie, zapłacili ci?

– No ta.

– Za ile pokoiów?

– Ee...

– Za jeden – odparłem.

Rosyjska siłaczka spojrzała na Corrinę.

– Pokój numer dwa. Jest twój. Masz w nim siedzieć.

Corrina skinęła głową.

– Zdaje się, że mają psa – dodał Greggie, a głos uwiązł mu w gardle.

Ręce wciskał w kieszenie jeansów, a uniesione barki garbił tak mocno do przodu, że wydawało mi się, że zaraz złoży się wpół i niczym książka zamknie twarzą do środka. Od samego patrzenia na niego chciało mi się mrugać. Dla jego dobra.

– Śniadanie jest o ósmej – oznajmiła siłaczka, nie nam, a Greggiemu.

– Jasne – odparł. W pomieszczeniu panowało koszmarnie napięcie, a Corrina wyglądała na śmiertelnie zażenowaną, bałem się jednak ją przytulić w obecności seks-żandarmerii.

– Hej – odezwałem się, zdobywając się na swiergotliwy, wesoły ton. – Słyszałem, że wypieka pani świetny chleb.

– Wypiekam – odparła siłaczka, wciąż na mnie nie spoglądając.

– Cóż, dobrej nocy – powiedziałem.

– Dobranoc.

Corrina dalej milczała, a ja gestem wskazałem w stronę korytarza i sypialni. Przypisany jej pokój znajdował się najbliżej kuchni.

– Ja tej nocy nie zmruję oka – zastrzegła. – Co tu się, kurwa, dzieje?

– Nie wiem.

– Nie chcę być sama.

– Ona nas pozabija, a przynajmniej mnie, jeżeli zauważy, że wchodzę za tobą.

– Nie patrzy. – Corrina otworzyła drzwi i weszła do środka. – No, chodź – szepnęła.

Zawahałem się. To był błąd. Nic więcej nie powiedziałem, po prostu przystanąłem w korytarzu, lecz wyglądało to tak, jakbym powiedział „Nie, nie mogę” czy „Muszę zostać przy Dziadziu” albo „Tak tu strasnie, że nie zasnę bez mojego kocyka”.

Oblicze Corrinę stężało. Posłała mi piorunujące spojrzenie, po czym zatrzęsnęła drzwiami przed moim nosem.

Z kuchni dochodziły mnie dźwięki noża siekającego coś na desce, tak więc z latarką w dłoni otworzyłem drzwi najbliższej łazienki i czekałem w niej, nasłuchując, aż głosy w kuchni ucichły, po czym dało się słyszeć dwie osoby wchodzące po rozchwianej drabinie na poddasze ponad wspólną izbą. Oczekałem chwilę, po czym wróciłem na korytarz, by pójść do sypialni Dziadzia (i teraz najwyraźniej mojej), ponownie jednak przystanąłem, gdy dobiegł mnie jakiś hałas we wspólnej izbie. Następnie szybko zabrałem się do pokoju, porządnie przy tym wkurzony, byłem bowiem całkiem pewien, że odgłosy, które słyszałem, oznaczały, że siłaczka i Greggie w najlepsze łamią jedną z zasad.

## ROZDZIAŁ 16

### Jazda próbna

Rano obudziłem się sam w pokoju i ogarnęła mnie panika. Miałem nastawiony budzik, lecz ewidentnie go nie usłyszałem, wypadłem więc do korytarza i popędziłem do kuchni, nawet nie obejrzawszy się w lustrze.

Dziadzio siedział przy stole w aneksie kuchennym i popijał kawę z filiżanki. Miałem tylko nadzieję, że bezkofeinową. Siłaczka stała przy zlewie i piła swoją kawę, słuchając jego opowieści. Uśmiechała się, sprawiała wrażenie zadowolonej i wypoczętej, podobnie zresztą jak Dziadzio, który nawet sam się ubrał i włożył buty. Jeżeli pominąć siwą szczecinę na policzkach i podbródku, dawno nie widziałem go równie wyszykowanego.

– Ty to umiesz sobie pospać – stwierdził, kiedy mnie zauważył. Było wpół do ósmej. – Asya mówiła mi, że poznała was wczoraj wieczorem.

No dobra. Dziwna sytuacja. Byłem jeszcze co prawda trochę śpiący, tym niemniej wiedziałem, że najlepiej zrobić unik.

– Gdzie Stary Grzmot?

– Nie nazywaj go tak.

– W twojej głowie – zwróciła się do mnie Asya.

– Za domem – powiedział Dziadzio. – Greg rzuca mu frisbee. – Uśmiechnął się. – A gdzie twoja przyjaciółka?

– Nie wiem. Wstała już?

– Nie – odparła Asya. Odwróciła się z powrotem w stronę Dziadzia. – Z tego co mówisz, Charlie, to była urocza kobieta. Miałeś szczęście.

– Nadal mam szczęście – odrzekł Dziadzio. – I nadal ją Kocham. I każdą spędzoną z nią chwilę uważam za tego wartą.

Usłyszałem za sobą odgłos otwieranych drzwi, potem kolejnych, które natychmiast zatrzaśnięto, a następnie odkręcanie wody pod prysznicem. Przysiadłem się do Dziadzia przy stole i nalałem sobie filiżankę kawy. Asya na drewnianej desce ukroiła grubą kromkę chleba i mi ją podała.

– Cukiniowy – powiedziała i wskazała na ustawione przede mną na stole masło i słoiki z dżemem.

Z powrotem oparła się o zlew i mówiła dalej.

– To właśnie staram się uświadomić Greggemu. Że nie zawsze wszystko



samo pięknie się układa, mam rację? Trzeba być człowiekiem wiary. Trzeba wierzyć, że jesteście stworzeni dla siebie i że choćby nie wiem co, uda wam się zaradzić sytuacji. Zgadza się? Ja mam taką wiarę. Wiarę we mnie i w Greggiego.

– Zgadza się – przytaknął Dziadzio.

Osobiście miałem własne zdanie na temat Greggiego i tego, w co Greggie może wierzyć lub nie wierzyć, zachowałem je jednak dla siebie. Zastanawiałem się, od jak dawna i o czym tak rozmawiają. Miałem poczucie, że nie powinniśmy pozostawać gdzieś, gdzie ludzie już nas znają.

– Choć żałuję, że nie ma jej przy mnie teraz, kiedy mam tego całego alzheimera – ciągnął Dziadzio. – Była dla mnie jak skała. Taka była silna.

– Z pewnością – zgodziła się Asya.

– Od jak dawna sobie rozmawiacie?

– Od wpół do siódmej – odparł Dziadzio. – Asya to fantastyczna gospodyni.

Czyż ten chleb nie jest przepyszny?

Był, tyle że mnie bardziej niepokoiło, że wykorzystując chwilę nieuwagi, Asya mogła już dawno wezwać policję.

Kontynuowali rozmowę, tym razem to Asya opowiedziała Dziadziowi, jak poznała się z Greggiem, ja zaś wyglądałem w korytarz w oczekiwaniu, aż dołączy do nas Corrina. W końcu zawinięta w gruby ręcznik wypadła z łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni. Kiedy weszła do kuchni, usiadła naprzeciwko Dziadzia.

Nalała sobie filiżankę kawy i spojrzała na mnie.

– Hendrix, cuchniesz jak worek zgniłej cebuli.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Dzień dobry? – spróbowałem.

– Teddy – włączył się Dziadzio. – Idź pod prysznic.

Niepokoilo mnie, o czym będą rozmawiać pod moją nieobecność, ale rozpaczliwie potrzebowałem prysznic, poszedłem zatem go wziąć, lecz kiedy szorowałem się pod pachami, usiłując zdrapać z siebie wspomniany fetor zepsutej cebuli, nie mogłem odpędzić myśli, że był poniedziałek rano, to jest dzień, kiedy w Calypso spodziewali się, że wrócę z Dziadziem ze zjazdu, a zarazem ledwie dwa dni przed powrotem mamy z Szanghaju. Jeżeli dzisiaj ci z Calypso by do niej zadzwonili, a mogli to uczynić, ona z kolei zadzwoniłaby do mnie i spytała, co się, u licha, dzieje, musiałbym jej powiedzieć, co się dzieje albo też ją okłamać. Nie byłem jednak przekonany, czy by mi się to udało. Jeżeli chodzi o łamanie zasad, byłem naprawdę beznadziejny – zupełnie nie wiedziałem, co robię.

Kiedy wreszcie wróciłem do kuchni, w czystej bieliźnie i zaczerwieniony od gorącej wody i całego tego szorowania twardą kostką mydła, zobaczyłem, że Corrina i Dziadzio spakowali już torby i zanieśli je do samochodu, a teraz Dziadzio siedział w fotelu na biegunach na werandzie i czekał wraz ze Starym Grzmotem.

Asya z Corriną pakowały prowiant.

– Przyda wam się – mówiła gospodyni. – Czeka was długa droga, jeżeli planujecie dotrzeć aż do Oklahoma City.

Corrina skończyła ładować kanapki do torby i uściskała Asyę na pożegnanie.

– Prześlę ci plik, kiedy tylko będę mogła wrzucić go na Dropboxa – oznajmiła. – Rusz się, Hendrix – dodała, odwróciwszy się w moją stronę. – Mamy kawał drogi przed sobą.

Nie można powiedzieć, by się do mnie uśmiechała, lecz było to coś w rodzaju uśmieszku. Przemknęła obok mnie ku przednim drzwiom auta.

Asya chwyciła mnie za barki. To ta chwila, pomyślałem. Oto nadchodzi pocałunek Judasza, oto moment, w którym powie mi, że zadzwoniła po gliny, że czekają na nas na ulicy i dlaczego jestem tak niesamowicie naiwną osobą, że też w ogóle wydawało mi się, że ten szalony plan może nam się udać.

Ale tak nie zrobiła. Przyglądała moje czyste już i idealnie przygładzone włosy.

– Dobry z ciebie chłopak – stwierdziła. – Dbaj o dziadka.

Uściskała mnie.

– Tak jest.

Następnie puściła mnie, dzięki czemu ponownie mogłem zaczerpnąć tchu.

– A teraz jazda! – krzyknęła, a ja się posłuchałem.

Kiedy zjeżdżaliśmy w dół wzgórza, kierując się z powrotem na autostradę, wreszcie odetchnąłem nieco swobodniej. Poniedziałek wieczór: Tulsa. Wtorek wieczór: Indianapolis. A w środę powinniśmy, o ile to możliwe, dojechać aż do samej Ithaki, nim mama zdołałaby się zorientować, gdzie dokładnie jesteśmy. I może, kto wie, uda mi się ten plan zrealizować.

Prawie dojeżdżaliśmy już do węzła prowadzącego z powrotem na czterdziestkę, kiedy odezwała się Corrina.

– Wiesz, co mnie wkurza? Że przez cały czas to ja muszę prowadzić.

– Przykro mi – odparłem.

– Matko, a ty znowu z tym twoim przepraszeniem.

– No bo co mogę zrobić? – powiedziałem. – Przykro mi, że nie umiem prowadzić. Chciałbym, żeby było inaczej!

– Hendrix, tak bardzo poddajesz się zasadom, że już sam nie wiesz, kiedy powinieneś samodzielnie myśleć. To smutne, człowieku. Smutne.

– Dobra, zatrzymaj się – odezwał się z tyłu Dziadzio. Corrina zerknęła na niego i dalej jechała ku autostradzie. – Zatrzymaj się – powtórzył. Tym razem spojrzała na mnie. Skinąłem głową. Zjechała na pobocze kilkaset metrów przed wjazdem na autostradę.

– A teraz wysiadaj – oznajmił.

Silnik wciąż pracował, Corrina wrzuciła luz.

– Charlie, słuchaj. Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz. Ja tu tylko staram się wyjaśnić Hendrixowi, że nie musi się ciągle tak wszystkiego bać i trzymać wszelkich zasad.

– Do diabła z zasadami. Wysiadaj z wozu.

– Dziadziu – odezwałem się. – Nie złość się na nią.

– Nie złoścę się – odparł. – Oboje doprowadzacie mnie do szału. Nie da się na to patrzeć! A teraz – zwrócił się do Corrinie – wysiadaj z samochodu.

Zrobiła, co jej kazał, po czym popchnął fotel do przodu i sam również zaczął gramolić się na zewnątrz. Wyskoczyłem z auta i obiegłem je, aby dopilnować, że nie zatoczy się pod jadące samochody.

– Ja prowadzę – oznajmił stanowczo. – Teddy, nawiguj mnie do Tulsy.

– Dziadziu, to beznadziejny pomysł – oceniłem.

– Teddy, czuję się wyśmienicie.

– Wiem, ale...

– Kiedy matka kupiła ten wóz, jeździłem nim częściej niż ona.

– No tak, ale.

– Teddy, prowadzę auta całe moje życie. To moja druga natura. A najłatwiej jedzie się autostradą.

Pasem tuż obok nas przemknęła ciężarówka, a podmuch powietrza przerzucił czapkę Dziadzia przez dach samochodu. Nie jechała na tyle blisko, by nas potrącić, lecz wystarczająco blisko, bym sobie wyobraził, że mogła to uczynić. Patrzyłem, jak zjeżdża na prawo i włącza się do ruchu na czterdziestce. Corrina obiegła samochód, żeby podnieść czapkę, nim kolejny podmuch uniósłby ją pomiędzy sosny porastające wzgórze po przeciwnej stronie autostrady.

– Dziadziu – powiedziałem. – Ja wiem, że potrafisz prowadzić. Ale nie mogę ci na to pozwolić.

– Teddy.

Chwyciłem go za ramię, nachyliłem się bliżej i szepnąłem mu do ucha:

– Proszę, pozwól mi to zrobić. Potrzebuję twojej pomocy. – Trzymając go za

ramię, wyprostowałem się. – No, dobra – powiedziałem nad dachem do Corrinie.  
– To naucz mnie prowadzić.

Po tych słowach Dziadzio zaczął z powrotem pakować się na tylne siedzenie.

– Dzięki Bogu – odetchnął.

– Jesteś pewien? – spytała Corrina. – Ciebie?

– Tak.

– W porządku, Hendrix. – odparła. – Zróbmy to.

Corrina wyprowadziła Błękitną Bombę na rozległy, niemalże pusty parking przylegający do sklepów Best Buy i Home Depot, zaparkowała w miejscu oddalonym od tych kilku aut, które stały przy wejściu do budynków i wyłączyła silnik. Zamieniliśmy się miejscami, a kiedy znalazłem się na siedzeniu kierowcy, Dziadzio nachylił się do przodu i poklepał mnie po ramieniu.

– To bułka z masłem – powiedział.

– W porządku – zaczęła Corrina. – Lekcja pierwsza. Gaz i hamulec.

Mówiła mi, co i jak, podobnie jak Dziadzio, i po paru minutach spazmatycznej szarpaniny, w trakcie której to rzucałem nas na pasy bezpieczeństwa, to znowu wciskałem w fotele, wyczułem działanie pedałów i nauczyłem się w miarę gładko nimi manewrować, po czym oswoiłem się z ruchami kierownicy i Corrina kazała mi przejechać tam, gdzie samochody wjeżdżały na plac i włączyć się między nie, abyśmy skierowali się w stronę sklepu, a następnie skrócić w lewo i po mniej więcej godzinie takich rozrywek zacząłem jakoś wyczuwać, co mam robić, więc Corrina zachęciła mnie do wyjazdu na szosę, nawołując: „Tak, Hendrix, tak!”, kazała przyspieszać, aż dojechaliśmy do znaku stopu, a za sprawą jakiegoś kosmicznego zbiegu okoliczności przecznica, przed którą stanęliśmy, nazywała się Test Drive – dosłownie Jazda Próbną.

– Skręć w lewo na Jazdę Próbną – powiedziała Corrina i się zaśmiała.

Tak też zrobiłem, ruszając nieco za szybko, przez co opony zapiszczały, i przejeżdżając być może trochę zbyt blisko nadjeżdżającej ciężarówki, która zmierzała w naszą stronę po Test Drive, lecz choć krew w moich żyłach pędziła szybciej niż Błękitna Bomba, czułem się dobrze. Nakrapiane zielenią brunatne szczyty wzgórz zdawały się mnie przyzywać, a chmury na jasnoblękitnym niebie były niczym samochody w ruchu nade mną, przesuwały się szybko i gładko, niekiedy się wyprzedzając, a wszystkie kierowały się gdzieś za nas.

Przez kolejną godzinę ćwiczyliśmy na okolicznych drogach, aż dotarliśmy do znaku wskazującego odcinek historycznej Route 66. Była to pusta, wąska dwupasmówka, biegnąca równoległe do czterdziestki.

– To jest to, Hendrix – odezwała się Corrina. – Wjeżdżaj! Prosto do Tulsy, chłopaku!

Wyciągnęła telefon, wyszukała piosenkę i powiedziała, bym dodał gazu, rozległa się muzyka, a ona śpiewała wraz z nią, ja zaś czułem, jak jej głos przemieszcza się we mnie, jak wyśpiewywane przez nią nuty falują we mnie niczym tętno krwi, jak pomruk Błękitnej Bomby przenosi się z pedału i wibruje mi w nodze, a w żołądku narasta crescendo podobne do uczucia w sercu, kiedy szeptała, oddychała i nachylała się ku moim ustom w ciemności.

Podśpiewywała równo z piosenką. Zdążyłem już się nauczyć, jak bardzo uwielbia Patti Smith. Nawet umiałem już, tak jak ona, podać namiary: *Because the Night*, z albumu *Easter*, siedemdziesiąty ósmy.

– Dobra, dobra – odezwał się z tylnego siedzenia Dziadzio. – Teddy! – zakrzyknął. – Zwolnij!

Nie zdawałem sobie sprawy, że pędzę sto trzydzieści na godzinę, śmigając między drzewami, łąkami, niewielkimi szopami i podmokłymi, żwirowanymi drogami, jakie odchodziły od Route 66. Zwolniłem nacisk na pedał gazu, a Corrina roześmiała się i dalej śpiewała z piosenkarką, aczkolwiek trochę ściszyła, byśmy słyszeli siebie nawzajem bez konieczności krzyczenia.

Kiedy piosenka dobiegła końca, Corrina powróciła do playlisty Dziadzia.

– Sly and the Family Stone – zapowiedziała. Sześćdziesiąty dziewiąty.

*Thank You.*

Skinął głową.

– Wciąż jestem na ciebie zła – powiedziała, kącik ust unosząc w półuśmiechu.

– Ale jesteś w porządku, Hendrix. Jesteś w porządku.

Nachyliła się i pocałowała mnie w policzek, szybko i wdzięcznie, lecz między tymi ustami zawierała się całość minionej nocy i ja tam znowu byłem, żywy, przytomny i sam w namiocie z Corriną, podczas gdy reszta świata pozostawała w cichym i spokojnym mroku poza nami.

– Nowy Jorku, przybywamy! – z rozwianymi wiatrem włosami wykrzyknęła przez otwarte okno, a kiedy odcinek historycznej drogi dołączył do autostrady, skierowałem Błękitną Bombę na wschód ku Ithace.

## ROZDZIAŁ 17

### Na skróty

Słuchaliśmy *Dancing in the Streets*, *Think*, *Route 66*, *Mustang Sally*, *Hit the Road Jack*, *Ramblin ' Man*, *Going Up the Country*, *Long-Distance Operator*. Następnie Corrina zmieniła listę i oznajmiła, że przyszła pora, byśmy posłuchali wyłącznie czadowych kobiet: The Ronettes, The Supremes, The Shirelles, Yeah Yeah Yeahs, Joan Jett, The Breeders, Heart, The Pretenders, Patti Smith, Bikini Kill, Melissy Etheridge, The Donnas, Flyleaf, Advaety, Shingai Shoniwy, Cherry Glazerr, ZZ Ward, PHOX, Nadii Washington, Jessiki Newry, sięgając aż po Dusty Springfield.

Przewiozłem nas przez upstrzoną szarymi zaroślami pustkę wschodniej Arizony, a kiedy przemierzaliśmy obszar zwany skamieniałym lasem – choć naokoło dalej rozciągał się ten sam płaski bezkres – umysł wciąż płatał mi figle, bo gdy wpatrywałem się w zdawać by się mogło nieskończony pas terenu wokół czterdziestki, odnosiłem wrażenie, że prowadzę Błękitną Bombę w stronę konkretnego punktu, gdzie niebo i ziemia się spotykają, jak gdybym pędził wprost w powierzchnię ogromnego płótna, a przy odpowiednio dużej prędkości mógłbym przebić się przez jego włókna i po drugiej stronie znaleźć to, czego szukam.

Było wczesne popołudnie, gdy zbliżyliśmy się do granicy Nowego Meksyku, a z pustynnego horyzontu zaczęły wyrastać księżycowe, wielowarstwowe ostańce i potężne, kuliste masy skalne – samotne, powyginane ciała porzucone w czasie i pustej przestrzeni. GPS informował mnie, że przecinając wschodnie rubieże Arizony ku Nowemu Meksykowi, przejeżdżaliśmy przez obszar rezerwatu ludów Hopi, Nawaho i Zuni, a kiedy spoglądałem ku niewielkim, kwadratowym sylwetkom budynków niemal unoszących się na przypominających fale wzgórzach, myślałem o tym, jak daleko stoją one od wszelkich miast i miasteczek, jak pięknie musi być wyglądać co rano przez te okna i patrzeć na świat budzący się na rozległej pustyni, ale zarazem jak bardzo odległa mogła się stąd wydawać reszta świata i co taka odległość mogła oznaczać.

Telefon Corrinny przez cały czas służył nam za odtwarzacz muzyki i tkwił w stacji dokującej na desce rozdzielczej, tak więc nietrudno byłoby dostrzec,

gdyby dzwonił jej ojciec – a dzwonił, i to trzy razy, a za każdym razem Corrina zrzuciła jego twarz z ekranu, nie wyłączając choćby na moment muzyki, tak jakby nie był on w stanie przebić się przez wzniesioną przez nią ścianę dźwięku. Kiedy jednak zignorowała trzecią próbę połączenia, przysłał wiadomość, którą zdążyłem przeczytać, nim straciła ją z ekranu:

Żeby nie musiał wzywać policji.

Byłem pewien, że Dziadzio z tylnej kanapy nie zdołał jej przeczytać, zerknąłem więc na Corrinę, lecz ona, odwrócona ode mnie, wyglądała przez okno i nie poruszyliśmy tematu. Patrzyłem, jak jej ramiona podnoszą się i opadają, gdy oparła głowę o szybę. Chciałem zapytać ją o tę sytuację, bałem się jednak, co powie Dziadzio, jeśli zorientuje się w rozmowie, tak więc też się nie odzywałem. Nie porozmawialiśmy o tym nawet wówczas, kiedy stanęliśmy na lunch, tym niemniej nie byłem w stanie myśleć o niczym innym jak o groźbie ze strony jej ojca i o tym, że policja rozpoczynała już pewnie poszukiwania.

Sądziłem, że będziemy zmuszeni zjeść w lokalu typu KFC, Pizza Hut czy Long John Silver's, natknęliśmy się jednak na bar Route 66 Diner i uznaliśmy, że to właściwe dla nas miejsce. Gallup znane było – przynajmniej kiedyś – jako Światowa Stolica Indian, lecz nam, dwojce dzieciaków z zachodniego Los Angeles, miasto wydało się opustoszałe, wręcz bezludne. W niewielkiej kawiarni zobaczyliśmy zdjęcia najwyraźniej przedstawiające niegdysiejsze centrum miasta, ceglane budynki przyozdobione szyldami jak z kreskówek, jakby pomniejszoną, kowbojską wersję Times Square, wszystko to jednak przeminęło.

Myślałem o nadanym temu miastu przydomku. Gdzieś kiedyś wyczytałem, że istnieje ponad pięćset różnych plemion rdzennych ludów północnoamerykańskich, a każde z nich uznawane jest w Stanach Zjednoczonych za odrębny naród. Takie wrzucanie ich do jednego worka nie wydało mi się czymś właściwym. Kto wymyślił tę nazwę? Zdałem sobie sprawę, że przez większą część życia widziałem ich na kubkach, koszulkach, gazetkach szkolnych, zjazdach czy też futbolowych kaskach – nawiązywały do nich nazwy drużyn, maskotki, nie widziałem zaś samych ludzi. Zrobiło mi się niedobrze. Jechaliśmy przez obszar stanowiący w głównej mierze rezerwat ludu Nawaho, powiedziałem więc facetowi za kasą, że powinni zmienić szyld na „Gallup: Miasto ważne dla ludów Nawaho, Hopi i Zuni. Inne plemienne stolice znajdziecie w przewodniku”.

– Aha – odparł, zerkając na mnie przelotnie, nim wydał mi resztę. – Postaram się komuś to przekazać.

– Dobrze by było – dodałem, uświadamiając sobie, jak bardzo moje komentarze były nie na miejscu. Zabraliśmy jedzenie na wynos i posililiśmy się na parkingu, odpowiednio przy samochodzie, w samochodzie i na samochodzie.

Po posiłku zaproponowałem, że dalej będę prowadził, a Corrina nie miała nic przeciwko, ponieważ po potrójnej porcji naleśników z czekoladą ogarnęła ją senność. Z bosymi stopami opartymi na desce rozdzielczej przysnęła obok mnie na odchylnym w tył fotelu gdzieś w okolicy miejsca zwanego Continental Divide – Kontynentalny Dział Wód. Ponownie włączyła playlistę Dziadzia: Chucka Berry’ego, War, The Band, Arethę Franklin, Fleetwood Mac, Cata Stevensa, Nicka Drake’a, Neila Younga, Jefferson Airplane, Marviną Gayę, Little Richarda. W pewnym momencie, gdy z głośników specjalnie dla Dziadzia zagrał zespół America, on zaś od czasu do czasu podśpiewywał parę strofek piosenki, pomyślałem sobie, że oto falującą w górę i w dół szosą przekraczamy właśnie kontynentalny wododział i że do nocy znajdziemy się w odległości czterech stanów od jednego domu i w pół drogi przez kraj do drugiego.

W końcu Dziadzio również odpadł, kiedy więc niebawem po tym, jak przemknęliśmy przez miejscowość Grants, ujrzałem znak informujący o objeździe, nie byłem pewien, czy znaczy to, że zbliżamy się do objazdu, czy też że droga, którą jedziemy, stanowi objazd dla innej. Nasza droga prowadziła na wprost, a GPS kazał mi dalej jechać czterdziestką, więc jechałem. Lecz w miarę jak szosa przecinała terytorium ludu Laguna Pueblo, dostrzegłem kilka kolejnych znaków nakazujących mi zjechać z czterdziestki na drogę numer sześć. Mimo to GPS dalej kierował mnie prosto, toteż go usłuchałem, mijając ostatni drogowskaz, jaki ustawiono tuż za znakiem zjazdu numer 126 na Los Lunas. Kiedy przemknęliśmy pod estakadą, wokół nas rozlała się pustynia, czy też może raczej mignęła, bowiem ledwie kawałek dalej szary pustynny kurz i szary asfalt szosy zlewały się w całość, która wznosiła się ku chmurom.

Nie dostrzegłem już żadnych innych drogowskazów na objazd, ale to mnie tylko bardziej zaniepokoiło. Do tej pory autostrada nie była może zatłoczona, ale przynajmniej oprócz nas jechały nią ciężarówki, wozy kempingowe, a także trochę osobówek. Teraz pozostaliśmy sami. Wnet, w miejscu, gdzie czterdziestka wykręca szerokim łukiem na północ i wschód, zobaczyłem, w czym rzecz. Ściana ostańca nieopodal drogi zawałiła się, grzebiąc autostradę pod długą hałdą głazów, skał i żwiru.

Zwolniłem i zatrzymałem wóz pośrodku pustkowia. Przede mną nie było już żadnych pojazdów, a jedynie w odległości może mili porozrzucane kamienie, nikt też nie jechał za nami. Pomyślałem, żeby przejechać przez piaszczysty pas



rozgraniczający jezdnie i powrócić do znaku kierującego na objazd, lecz przed nami dostrzegłem jakąś drogę gruntową, tak więc przyjrzałem się mapie w telefonie, z której wynikało, że sieć indiańskich dróg serwisowych łączy się z drogą numer sześć, uznałem więc, że w ten sposób zaoszczędzimy czasu. W końcu czego nas uczyli na lekcjach geometrii? Najkrótsza odległość między dwoma punktami biegnie po linii prostej. Wyglądało na to, że temu właśnie służyły drogi serwisowe.

Zjechałem na drogę gruntową, lecz już po krótkim fragmencie nawierzchnia stała się bardziej piaszczysta i byłem zmuszony zwolnić. W pewnym momencie trafiliśmy na wyrwę, a podskoki samochodu obudziły Corrinę.

Rozejrzała się naokoło.

– Co jest?

Dziadzio również się podniósł.

– Co się dzieje?

– To skrót – odparłem.

– O, nie – odezwała się Corrina. Wjechaliśmy w kolejną wyrwę i Błękitną Bombą zarzuciło w bok na piasku. – Nie jest dobrze. Co ty w ogóle myślałeś?

– To taki objazd – wyjaśniłem.

– To nie może być objazd. – Corrina wyłączyła muzykę i zaczęła szukać w telefonie mapy. – Dokąd ty nas wiesziesz?

Już chciałem wytłumaczyć, lecz coraz trudniej było mi zapanować nad samochodem. Piasek zdawał się robić coraz głębszy, a Błękitna Bomba ślizgała się i podskakiwała na drodze. Pod nami chrzęścił żwir, trzaskając o podwozie.

– Oszalałeś! – krzyknęła Corrina.

Dziadzio i Corrina darli się na mnie, bym zwolnił, zawrócił, zatrzymał się i wytłumaczył, a ja w dalszym ciągu miałem nadzieję, że dostrzegę przed nami jakiś drogowskaz na drogę numer sześć, nie będę musiał nic wyjaśniać i udowodnię im, że jestem w stanie zabrać nas do celu i dowieźć każde z nich tam, dokąd zmierzało, lecz podczas gdy ich głosy przybierały na sile, a samochodem miotało, podrzucało i trzęsło, przed nami nie widziałem nic poza rozległą, suchą pustką.

Wtem trafiliśmy na kamień i rozległ się niewielki wybuch, a Błękitną Bombę wyrzuciło w górę, po czym rąbnęła o ziemię w rowie obok drogi. Wszyscy zamilkli w szoku, aż w końcu, oburącz ściskając kierownicę, wydałem z siebie głos:

– O, kurwa!

Spróbowałem ruszyć na wstecznym, ale koła kręciły się w miejscu i Dziadzio

powiedział, bym dał sobie spokój. Pomimo wszelkich moich prób wytłumaczenia, co zrobiłem i dlaczego postanowiłem tak zrobić, Corrina wciąż powtarzała:

– Objazd. Objazd. Nie umiesz czytać?

Dziadzio wysiadł i myślałem, że poszedł ocenić zniszczenia pojazdu, on jednak przeszedł w tył, przeciął drogę i stanął w miejscu, wpatrując się w pustkę. Stary Grzmot wyskoczył z Błękitnej Bomby i pobiegł za nim. Jeśli pominąć samotny ostaniec w oddali, pustynia miała postać połaci wypalanej na brązowo martwej trawy i kurzu. Poza tym widać było jedynie niebo i postrzępiony, rozdarty koc z chmur ponad nami.

## CZĘŚĆ 2

*Teraz*

## ROZDZIAŁ 18

### Problemy możliwe do rozwiązania

Żyjemy jednocześnie w trzech czasach: zawsze w teraźniejszości, ale też w przeszłości, która niczym cień ciągnie się za nami, deptając nam po piętach, a kiedy odwrócimy się, obraca się wraz z nami i wtedy zniemacka to przeszłość mamy przed sobą, gdzie rzuca swą ciemną sylwetkę na naszą przyszłość – a przynajmniej tak to odczuwam, kiedy idę przez pustynię, myślami wracając do Los Angeles, po czym odwracam się i z popołudniowym słońcem za plecami widzę własny cień, który rozciąga się przede mną, wskazując na wschód, ku Saint Louis. Nie jestem pewien, czy tam dotrę, ale jeśli dotrę, to czeka tam na mnie duch, tyle że z inną kobietą.

Teraz zaś, gdy wraz z Corriną opieramy się o karoserię i wpatrujemy w horyzont ponad suchą pustynią, nie jestem w stanie wyjaśnić, dlaczego doświadczam tego zderzenia wspomnień, emocji i oczekiwań, lecz niczego nie żałuję, nawet w przypadku tych z nich, które kipią od strachu i gniewu. W tym momencie mam pełne prawo odczuwać to wszystko.

– Zmieniałaś kiedyś przebite koło? – pytam Corrinę.

– Nie. Ale to przecież nie może być takie trudne, co?

– Nie – odpowiadam, choć sam nie wierzę we własne słowa.

Wypakowujemy zawartość bagażnika i pod wykładziną znajdujemy koło zapasowe i zestaw narzędzi. Rzecz nie wydaje się niemożliwa do zrobienia. Narzędzi nie ma zbyt wiele. Ale kiedy bierzemy się do roboty, stwierdzamy, że nie wiemy, czy niewłaściwie korzystamy z narzędzi, czy też Błękitna Bomba tkwi zbyt głęboko w rowie, w każdym razie pod tym kątem nie jesteśmy w stanie podnieść wozu.

Oboje oblewamy się potem, Corrina związała sobie włosy jedną ze swoich własnoręcznie barwionych bandan, a teraz wstaje i odchodzi od samochodu.

– Hendrix – odzywa się. – A co, jeżeli nam się nie uda?

Wiem, że wciąż jest na mnie zła, a pewnie też żałuje, że wyprawiała się w tę wariacką podróż, a przynajmniej, że musi sobie radzić ze mną i całym tym moim bagażem.

– Co ja robię? – wykrzykuję, po czym nie mogę już powstrzymać słów. – Zaraz o wszystkim dowie się moja mama, a wtedy mnie zabije, w Calypso

zabronią mi kiedykolwiek więcej widzieć się z Dziadziem, pewnie ogłosili już Srebrny Alarm, a twój tata zapewne zdążył powiadomić policję. Co ja robię? Czemu sądziłem, że to się może udać?

Próbuję zapanować nad sobą i spoglądam w pustkę. W jałowość. Słońce późnego popołudnia wciąż jest oślepiającą kulą, a to, co z siebie wydaję, brzmi jak gniew, ale nim nie jest, jest po prostu wolnością.

– Ja tylko staram się dać mu coś, czego pragnie i czego nikt inny nie może ani nie chce mu dać. To mój Dziadzio, lecz zarazem ktoś najbliższy roli taty. Mama zawsze poucza mnie, jak ważne jest się angażować, wchodzić w różne inicjatywy i poznawać ludzi, a potem ani razu nie zjawia się, kiedy w czymś uczestniczę. On przychodzi. Czy raczej przychodził. A teraz, spójrz na niego. To nie fair. Ja po prostu chciałem raz mu się zrewanżować. I tyle.

– Wiesz, ja też tu jestem – odzywa się Corrina. – Więc to nie tylko ty masz problem.

Rzecz jasna, ma rację.

Kontynuuje.

– I też nie wiem, co ja tutaj robię z tobą i twoim szurniętym Dziadziem. – Rozgląda się. – Nie wiem nawet, w którą stronę jest Los Angeles, a w którą Nowy Jork. – Spogląda w niebo, aby się zorientować w kierunkach i wskazuje na zachód, w stronę słońca. – Wiesz co, po tych telefonach od taty, po tych wiadomościach i ciągłych naciskach, sprawdziłam odległość z Los Angeles do Guatemala City. I wiesz, co jest przedziwne? Że z Los Angeles do Ithaki jest niemal dokładnie tyle samo, co z Los Angeles do Guatemala City. Taka sama odległość, ale nawet gdybym się tam znalazła, to co bym tam miała robić? – Waha się. – Jedno wydaje się tak możliwe, drugie już nie. – Usta jej drżą. – Ja nie mam swojej Ithaki. I co mam z tym zrobić?

Milknie i odchodzi ode mnie, a ja mam ochotę podnieść głaz i z całych sił przywalić nim wszystkie problemy świata, takie jak ten. Czy można kogoś kochać, jeżeli nie jest się w stanie rozwiązywać jego problemów? Czy jakkolwiek jest się komuś takiemu przydatnym?

Oddycham ciężko i odsuwam się od samochodu, bo organizm pragnie, bym coś zrobił, na przykład zmiażdżył coś albo wspiał się na górę, bo wszystko, co noszę w sobie, chce się wydostać. Czuję gorący, duszący nacisk popołudnia i jestem tak śliski od potu, że zastanawiam się, czy tak właśnie ludzie ulegają odwodnieniu, dosłownie czując, jak cała wilgoć z nich uchodzi. Potrzeba mi wytchnienia. Muszę oddalić się od Corrinie, od Dziadzia i od Starego Grzmota, pochodzić samotnie pośród kurzu i przekonać się, czy w ogóle jestem

w stanie coś wymyślić w zalewie krwi pulsującej mi w żyłach i rozrzuconych na ziemi kamykach. Nic tam jednak nie widzę i kiedy właśnie myślę, że naprawdę docieramy do kresu i że zawiodłem Corrinę, Dziadzia i siebie samego, spostrzegam, że Dziadzio się nachyla, przyglądając się oponie i narzędziom.

Trzymając w jednym ręku podnośnik, w drugim zaś klucz do śrub, obchodzi samochód. Otwiera klapę bagażnika i siada na brzegu. Mamrocze coś do siebie i kiedy zaczynam się martwić, co też może z tymi narzędziami zrobić, przywołuje mnie gestem, a następnie kiwa też na Corrinę. Ta wprawdzie patrzy na niego z odległości dwudziestu metrów, wówczas jednak woła ją po imieniu, ona zaś kiwa głową i podchodzi.

– Słuchajcie – odzywa się Dziadzio, kiedy wszyscy znowu stoimy koło siebie.  
– Naprawmy to, co naprawić umiemy, i ruszajmy w drogę, bo nie możemy spędzić nocy pośrodku pustyni, czekając na cud. Musimy coś z tym zrobić. –  
Podaje mi podnośnik, Corrinie zaś klucz. – Róbcie, co mówię.

Prowadzi nas w stronę bagażnika samochodu, gdzie siadamy i naciskamy, wduszając tył Błękitnej Bomby głębiej w ziemię, po czym podchodzimy do rowu i to samo robimy z prawym przednim kołem, następnie podstawiamy podnośnik równo pod samochód, blisko przebitego lewego koła, i Dziadzio instruuje mnie, jak się nim posłużyć. Przeraza mnie, że zaraz cały wóz runie mi na rękę, tak się jednak nie dzieje. Dziadzio doradza Corrinie, która odkręca śruby i mi je podaje, po czym wszyscy troje wspólnymi siłami zdejmujemy skapcianałe koło i montujemy zapasowe. Corrina siada za kierownicą, ja z Dziadziem pchamy, a Błękitna Bomba, buksując w piachu i kurzu, pokonuje ścianę rowu i kiedy obydwie tylne opony chwytają pewniejszy grunt, samochód wydostaje się z pułapki. Corrina cofa go na środek bitej drogi i się zatrzymuje.

Wszyscy ładujemy się z powrotem do środka. Corrina kręci to w jedną, to w drugą stronę, aż nareszcie ruszamy naprzód, szerokim łukiem wymijając największe wyrwy, doły i kamienie na drodze. Kiedy w końcu wracamy do skrzyżowania z czterdziestką, obracam się, aby spojrzeć, skąd wyjechaliśmy i widzę tuman kurzu znikający za linią horyzontu, a jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to jak bardzo bałem się, że tam przeze mnie utkniemy.

Przez dłuższą chwilę jedziemy w milczeniu. Corrina przejeżdża przez pas rozdzielający jezdnie i kieruje się czterdziestką na zachód, więc to tak, jakbyśmy się cofali, jechali w przeciwnym kierunku, a przecież czas, jak ostatni drań, naprawdę działa przeciwko nam. Corrina sprawia wrażenie nie tyle wściekłej, ile zamyślonej. Nie włączyła nawet żadnej muzyki.

– To było głupie – stwierdza w końcu.

Nie musi nic dodawać, abym zrozumiał, co ma na myśli.

– Tak – przyznaję. – To był zły pomysł. Byłem głupi.

– Wow – odzywa się. – Ale proste.

– Co?

– Jak łatwo ci przyszło przyznanie się do błędu.

– Oczywiście, że przyszło mi łatwo. Ja ciągle popełniam błędy.

Na to wybucha śmiechem.

– Jesteś głupi, ale nie jesteś kretynem – orzeka. To mi się podoba. – Hendrix?

Jedno jest pewne. Głupek z ciebie.

– Dzięki.

– Po prostu staram się stwierdzić, że zawsze podobają mi się głupki.

– Czy zawsze są tak głupie jak ja? Śmieje się.

– Nie. Ty jesteś z nich najgłupszy. Uśmiecham się szeroko.

– Jest o tym taki wiersz.

Znowu się śmieje.

– Oczywiście.

## ROZDZIAŁ 19

### Ojciec Lotus

Ojciec Lotus Jedziemy czterdziestką do szóstki, a stamtąd do dwudziestki piątki, następnie szosą Pan American Freeway wjeżdżamy do Albuquerque, gdzie słońce późnego popołudnia wypełnia miasto pomarańczowożółtą mgłą. Rozglądamy się za miejscem, w którym moglibyśmy coś zjeść i decydujemy się na tacos i utytłane w zielonym chilli burritos z ogromnej jadłodajni pod nazwą Frontier, lecz ponownie posilamy się przy samochodzie. Wpół do ósmej jesteśmy z powrotem na czterdziestce i wyjeżdżamy z Albuquerque na wschód. Corrina prowadzi, Dziadzio i Stary Grzmot siedzą z tyłu, muzyka znowu gra, letnie słońce długo trzyma się nad horyzontem, szosa pędzi nam pod kołami, my zaś ślizgamy się po warstwie kurzu i betonu, wiedząc, że do późnej nocy musimy gnać przed siebie.

Mamy jednak dwa kłopoty. Koniec końców, kresu dobiega trzeci dzień naszej wyprawy i na tym etapie planowaliśmy być zdecydowanie dalej na wschód niż jesteśmy. Myślałem, że nazajutrz dotrzemy do Ithaki, tymczasem wciąż przebijamy się przez pustynię. Mamy kawał drogi do przebycia, a ślad, który za sobą pozostawiamy na mapie, podążając na wschód, musi jeszcze skręcić na północ.

– Możemy jechać całą noc? – pytam Corrinę.

– Być może – odpowiada. – Jeśli kiedy ja będę prowadziła, ty będziesz spał i na odwrót.

– Przed południem możemy być w Saint Louis.

– Tak – przyznaje Corrina. – A tam musimy się przecież zatrzymać.

– Nie musimy – odzywa się z tyłu Dziadzio.

Corrina spogląda na mnie i marszczy czoło, czekając, aż odpowiem, lecz nie odpowiadam, bo w istocie sam nie jestem pewien, czy chcę się tam zatrzymać. Myśl o tym, że się z nią spotkam, nagle mnie przeraża, mimo że to jedyna osoba, od której zapewne mogę się dowiedzieć wszystkich tych istotnych rzeczy, które mnie interesują, a nawet więcej, wszystkich tych szczegółów, które od zawsze mnie ciekawiły. W jaki sposób on się śmiał? Czy nosił pantofle? Czy przepuszczał innych w drzwiach? Czy co wieczór zmywał naczynia? Czy uważał, że wełna za bardzo gryzie? Czy pizzę wolał z pepperoni,



czy z samym tylko serem?

Nie jest to nic istotnego, ale dla mnie ma znaczenie i sprawia, że zastanawiam się również nad wszelkimi takimi pytaniami, które dręczą Corrinę. Cholera, kiepsko się z tym czuję: mam swoją Ithacę, mam też swoje Saint Louis. Co to będzie znaczyło, jeżeli teraz, po tym wszystkim, jednak tam nie pojedę?

– Tak czy siak, nim tam dojedziemy, mamy jeszcze kawałek drogi – zauważam i z ulgą stwierdzam, że żadne z nich nie ciągnie tematu. Przynajmniej na tę chwilę odpuszczają sprawę.

Przez większość drogi na fotelu pasażera trzymam nogę pod sobą, wyczuwając nią wibracje opon na asfalcie, lecz mniej więcej trzydzieś ci mil na zachód od Santa Rosa, gdy pośród gęstniejącego ruchu Corrina zwalnia, aż w końcu Błękitna Bomba się zatrzymuje, zaczynam wiercić się na siedzeniu, prostować i rozciągać, macham kolanami na boki. Sterczymy w miejscu przez całe dwie piosenki Sleater-Kinney, aż w końcu wybucham.

– Co tam się, u diabła, dzieje?

– Nie wiem – odpowiada Corrina.

– Niebawem się ruszymy – odzywa się z tyłu Dziadzio. – To pewnie roboty drogowe.

Wyciągam szyję, chcąc zobaczyć, czy jestem w stanie dojrzeć początek zatoru. Spoglądam na telefon, lecz nawigacja na nic się nie zdaje. Szosa zaznaczona jest na czerwono, co oznacza duże nasilenie ruchu, brak jednak jakiegokolwiek wytłumaczenia, oznaczenia robót, informacji o wypadku czy innej tragedii albo o działaniach służb ratowniczych.

Co jakiś czas posuwamy się do przodu, lecz nie więcej niż na jedną lub dwie długości samochodu, po czym znowu na kilka minut utykamy. W pewnym momencie zdaję sobie sprawę, że korek tworzy się również w przeciwnym kierunku, lecz zarazem w odległości mniej więcej mili cały ruch z obydwu stron skupia się na skrzyżowaniu mniejszej drogi biegnącej wzdłuż autostrady z drugorzędną szosą podążającą na północ. W sąsiednich samochodach jest równie tłoczno jak u nas. Ludzie w naszym wieku, czasem trochę starsi. Dostrzegam parę miniwanów, a także volkswageny minibusy.

Kolejna piosenka dobiega końca, aż wreszcie Corrina wysiada z wozu, zostawiając włączony silnik, i z ręką na dachu wspina się na drzwi, żeby popatrzeć. Zagląda do samochodu obok.

– Hej – zwraca się do białego chłopaka z zebranymi w kok dreadami. – Tam jest jakiś koncert?

– Mowa, człowieniu – odpowiada. – To Amfiteatr Yellow Mountain.

– O, kurde – rzuca Corrina. – Nigdy tam nie byłam. Kto dzisiaj gra?

– Ojciec Lotus.

Twarz jej się rozjaśnia.

– On jest super.

– Gra podwójny set – ciągnie Złotowłosa. – Podobno w pierwszej kolejności cały swój nowy album.

– Ej – odzywa się kierowca samochodu, nachylając się do przodu i zwracając do Corrinie. – Powinnaś jechać z nami.

– Żałuję, że nie mam biletu – przyznaje Corrina.

– Zostaje ci liczyć na cud – kwituje tamten. – Czasem się zdarzają.

Podkręca głośność w aucie. Najwyraźniej to właśnie piosenka Ojca Lotusa – wariacki, elektryczny, psychodeliczny rock, obydwojki kiwają do niej głowami.

Dziadzio z tyłu zasnął. Chrapie, a Stary Grzmot położył mu łeb na kolanach. Złotowłosa znowu kiwa głową, lecz tym razem wskazując na Dziadzia.

– Możesz po prostu zostać z autem w wiosce festiwalowej. Spoko. Gdybym miał wolny bilet, to sam bym ci go dał.

– Dwa bilety – poprawia go Corrina, wskazując kciukiem na mnie. Efekt jest taki, jak gdyby chwyciła Złotowłosego za ramię i rzuciła nim stąd do Arizony.

– Ta – wykrztusza z siebie. – Jasne.

Złotowłosa rzuca okiem na Dziadzia, po czym sięga do schowka na rękawiczki. Zapala skręta i się nim zaciąga, wsłuchując się w muzykę. Dym dochodzi do Błękitnej Bomby. Chciałbym uznać, że to po prostu kretyn, który aż się prosi, by go złapali, ale w okolicy nie ma policji i prawdę mówiąc, to na całym parkingu, jaki powstał na środku autostrady, wszędzie wznoszą się wąskie strużki dymu, które następnie znikają ponad czerwoną od zmierzchu pustynią.

Siedzimy tak przez niemal pół godziny, Corrina gada z nimi o dwóch pierwszych albumach Ojca Lotusa, a oni są zachwyceni, bo wie od nich o wiele więcej. Dwukrotnie odmawia skręta, zgodnie z niepisanym kodeksem pyta, czy ja bym nie chciał, lecz w pewnym momencie, gdy Złotowłosa upija łyk ze swojego termosu i podaje go Corrinie, ta nie myśli. Jest zbyt pochłonięta monologiem o charakterystycznej technice warstwowej Ojca Lotusa, o tym, że bez względu na to, czy gra set elektryczny, czy akustyczny, jest geniuszem orkiestracji. Złotowłosa chłonie jej słowa. Słucha jej, jakby to był zespół inaugurujący koncert czy też raczej rozmowa przed koncertem, wprowadzenie, dzięki któremu sam występ jest jeszcze bardziej ekscytujący. To po prostu taki radośnie głupi facet, zbyt naćpany, by choć trochę zdawać sobie sprawę z tego, co robi, a jego kumpel za kierownicą akurat nie patrzy, kiedy Złotowłosa podaje

termos Corrinie i dostrzega to dopiero wtedy, kiedy ta przerywa słowotok, by pociągnąć spory łyk.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – kierowca drze się na Złotowłosego.

– To obrzydliwe – stwierdza Corrina, oddając termos.

– O, kurna – reflektuje się Złotowłosa.

Samochody zaczynają się posuwać, a kierowca auta obok uderza w kierownicę i rusza. Mówi coś Złotowłosemu, ale nie słyszymy ich, bo nas wyprzedzili. Corrina siedzi bez ruchu, pozwalając innym nas wymijać.

– To było głupie – stwierdza.

Podnosi nogę z hamulca i toczymy się do przodu, aż zaczynamy jechać, gdyż ruch po naszej stronie odzyskuje płynność.

– W porządku? – pytam, bo jest bardzo cicha, co w ogóle do niej nie pasuje.

– Nic mi nie jest – oznajmia w końcu. – Teraz. Ale nie wiem, czego się właśnie napiłam. Po prostu nie pomyślałam. To było jak mrożona herbata, ale smakiem przypominało kurz i coś jeszcze. Jakby gałązki czy może korę, i trochę szczypało. Ciągle czuję w gardle ten posmak.

Ponownie zrównujemy się z tamtymi dwoma, a Złotowłosa wychyla się z okna, jakby na nas czekał.

– Człowieniu – zwraca się do Corriny. – Chyba powinienem ci powiedzieć, że to był zimny napar.

– Zimny napar? – pyta.

– No właśnie – potwierdza, jak gdyby to wszystko wyjaśniało.

– Kurwa, dziewczyno, to herbatka z grzybków – tłumaczy kierowca. – Będziesz miała odjazd na długie godziny.

Corrina kręci głową.

– Ej – odzywa się Złotowłosa. – Przynajmniej to czysty towar.

– Pierdol się – odparowuje.

– Ej – broni się. – Ja tylko się chciałem podzielić.

– Kretyn z ciebie – gani go kierowca. – Kretyn.

Znowu nachyla się do przodu, spoglądając to na drogę, to na nas, podczas gdy obydwie nasze wozy, podążając za pozostałymi, powoli toczą się w stronę zjazdu.

– Gościu, jedź za nami – mówi. – Wiesz, ona teraz nie powinna prowadzić.

– Ja tu jestem – przypomina Corrina.

– Miałaś już kiedyś jazdę po grzybkach? – pyta.

– Jasne – odpowiada Corrina. – Ma się rozumieć.

Ale to oczywiste, że nie miała i widzę, że kłamie. On też to widzi.

– Po prostu jedźcie za nami – mówi. – Będziesz potrzebowała mnóstwa wody. I serio, nie możesz teraz prowadzić.

Choć za grosz nie ufam tym dwóm palantom, wiem, że pewnie będę potrzebował więcej pomocy, niż mi się teraz wydaje, bo choć Dziadzio nadal chrapie z tyłu, to obudzi się, kiedy się zatrzymamy, i będę miał na głowie dwie osoby, z którymi nie wiem, co mam zrobić. A Stary Grzmot, zupełnie jakby czytając mi w myślach czy też raczej wyczuwając zapach strachu, od którego w aucie teraz ciężko, podnosi łeb i wtyka go między fotele. W ślad za ich poobijanym wozem i resztą samochodów skręcamy na estakadę i zjeżdżamy na pogrążającą się w mroku pustynię. Słońce zachodzi, a chmury przypominają dzikie kłęby fioletu i czerwieni gnające po zmierzchającym niebie.

Po zjechaniu z autostrady samochody nabierają prędkości i wraz z nimi pędzimy ku czemuś, co wygląda jak korona z olbrzymich, żółtych skał, które przebijają się na powierzchnię i wystrzeliwiają w powietrze.auta rozjeżdżają się po szerokim placu parkingowym po przeciwległej stronie niecki. Między największymi skałami w koronie wzniesiono ogromny amfiteatr: Yellow Mountain. Corrina byłaby podekscytowana. Byłby to dla niej istny raj, ale nie jest. Widzę, że dygocze.

– Dobrze się czujesz?

– Nie.

– To jakoś na ciebie działa?

– Nie – odpowiada cicho. – Po prostu się boję.

– Powinnaś zwymiotować – radzę.

– Co?

– Zwymiotuj. Pozbądź się tego. I to jak najszybciej.

Spogląda na mnie, a ja nigdy nie widziałem jej tak wystraszonej. To nie smutek – a ten rodzaj strachu, jaki dostrzegłem na twarzy Dziadzia, kiedy kazał mi obiecać, że nie dam mu zapomnieć o Babci, strachu, który najwyraźniej wynika z konstatacji, że zupełnie straciłeś panowanie nad sytuacją.

– Zjedź z drogi – mówię. – Zatrzymaj się w tej chwili.

Tak też robi, a tamci dwaj tego nie zauważają, albo może i zauważają – w każdym razie jadą dalej. Zdecydowanie łatwiej przychodzi udawać, że się o kogoś troszczysz, niż rzeczywiście coś dla kogoś zrobić.

Corrina kieruje Błękitną Bombę w niewielką przestrzeń między paroma krzakami szaławii, bez wyłączania silnika otwiera drzwi i biegnie za jeden z krzewów, ale zasłona to praktycznie żadna. Wsiadam z samochodu, chcąc pozwolić, by w samotności włożyła sobie palce do gardła, zarazem jednak wolę

być w pobliżu, na wypadek gdyby mnie potrzebowała. Po chwili dochodzi do mnie charakterystyczny odgłos i towarzyszący mu zapaszek, więc podbiegam przytrzymać jej włosy, podczas gdy brunatna ciecz pieni się na ziemi. Kiedy jest już po wszystkim, z napuchniętą od łez twarzą odsuwa się ode mnie.

– Nic mi nie będzie – mówi. – Nic mi nie jest.

Przystaje, zatacza się i opada, przysiadając na ziemi. Patrzy się przed siebie, gdzie najwyraźniej znajduje się zaplecze sceny. Dalej wyrasta amfiteatr, wypełniający się ludźmi, którzy już tańczą do rytmu piosenek pierwszych zespołów. Większość pustyni dookoła sceny, dookoła nas, w obrębie tej połowy korony Yellow Mountain, przeistoczyła się w parking z płataniną uliczek przecinających rzędy zaparkowanych samochodów. Z przodu i z tyłu swych wozów ludzie porozstawiali niewielkie namioty i wszystko to wyglądem przypomina jakąś wioskę, tak jak raczył to opisać palant numer jeden.

Między pseudowioską a sceną jakaś ogromna, niepasująca tu fontanna wyrzuca wysoko w powietrze słup wody, który rozpada się naokoło i na kształt korony opada do szerokiego basenu. Wycelowane w fontannę wielobarwne światła sprawiają, że woda przypomina fajerwerki – tym niemniej to woda, a tego teraz trzeba Corrinie.

Nie mogę zostawić Dziadzia samego, tak więc wracam do Błękitnej Bomby, gaszę silnik i go budzę.

– Co to, Woodstock? – pyta, a ja nie wiem, czy jego też dopadł odmienny stan świadomości, czy to wywołane alzheimerem surrealistyczne omamy, a zresztą pewnie wygląda to wszystko mniej więcej tak, jak wyobrażam sobie, że mógłby wyglądać Woodstock: półnaczy ludzie kręcący się w kółko lub tarzający na ziemi i chmury dymu – tyle że Dziadzio nie był na Woodstocku, więc to nie może być wspomnienie. Uśmiecha się i chwyta mnie za rękę. – Teddy, pomóż mi wsiąść.

Wraz ze Starym Grzmotem prowadzę go do Corrinie, która na całe szczęście w międzyczasie nie wstała i nie poszła sobie gdzieś w pustynną noc. Spogląda tylko w fontannę, wsłuchuje się w muzykę i obserwuje grę świateł na tysiącach twarzy w tłumie na zboczu amfiteatru.

– Corrina się rozchorowała – mówię Dziadziowi.

– Rozumiem.

Z moją pomocą wstaje i prowadzę ją do fontanny, obok nas Dziadzio ze Starym Grzmotem, a kiedy docieramy na miejsce, wśród tłumu podnosi się wrzawa, migają światła i rozlega się łomot muzyki, który zdaje się wydobywać wprost ze środka ziemi pod naszymi stopami. Najwyraźniej to właśnie zespół

Ojca Lotusa, bowiem Corrina zaczyna podskakiwać w górę, wołając przy tym „Tego właśnie chcę! To właśnie chcę robić w życiu!”, ja zaś mam tylko nadzieję, że chodzi jej o muzykę. Wnet jednak wskakuje do fontanny i zaczyna biegać z wystawionym językiem, jak gdyby kropla po kropli spijała deszcz w kolorach imprezy. Stary Grzmot rzuca się pędem w jej ślady. Ja się boję, że zaraz zwiną ją gliny, ale wokoło nigdzie nie ma policji – zupełnie jakby wszyscy postanowili odpuścić i pozwolić, by ta niewielka, pustynna oaza funkcjonowała poza zasadami, niemalże poza czasem – ta wrząca, wijąca się, śpiewająca, tętniąca masa ludzka, pośrodku której Ojciec Lotus tańczy, śpiewa i prowadzi wielotysięczny tłum niczym oszalały, brodaty kapłan wypuszczający pulsującą sieć muzyki, która unosi się i rozkwita ponad Yellow Mountain i nami wszystkimi.

Niektórym może się wydawać, że są w siódmym niebie i być może przez krótką chwilę Corrina też się tak czuje, zniecka jednak zatrzymuje się, odwraca z powrotem w moją stronę i raz jeszcze wymiotuje, wprost do fontanny. Tym razem idzie na całego, pada na kolana, a ja gnam do niej, bo kiedy upada, jej twarz znika pod wodą.

Wyciągam ją i razem siadamy na brzegu. Wstrząsają nią kolejne torsje, ale już niczego nie wymiotuje, więc pomagam jej obmyć twarz, a ona przyciąga mnie bliżej siebie, obejmuję ją ramieniem, a ona mnie oburącz, kładzie mi głowę na piersi i tak zastygamy, a gdy oddycha, jej głowa porusza się w rytm na mojej klatce, ja zaś zastanawiam się, czy ktokolwiek na całym świecie czuje się tak, jak ja w tym momencie, tak swobodny, tak nie sam, szukam na to jakiegoś słowa, ale nie znajduję, lecz to nieważne, bo wiem, że właśnie to przeżywam.

Pozostajemy w tej pozycji przez dłuższą chwilę, po czym wreszcie przerywa objęcia i wraca do Dziadzia.

– Przepraszam – mówi mu. Niemal wybucham śmiechem, bo wiem, że mówiąc to do niego, stara się jednocześnie powiedzieć to mnie.

– Pochorowałaś się, co? – odzywa się Dziadzio. – To ci się podoba? – pyta, ruchem głowy wskazując na koncert, dochodzące od sceny smugi światła oraz fontannę, której blask kładł mu się na twarzy subtelnym kalejdoskopem.

– No – przyznaje.

– Brzmi jak coś, co już kiedyś słyszałem, a zarazem jak coś, czego nie znam – stwierdza. – To coś zupełnie nowego, a jednak brzmi jakoś znajomo.

– Tak? – dopytuje Corrina.

– To po to się gra covery, tak? Żeby zrobić coś swojego na podstawie czegoś, co ludzie sądzili, że już znają?

- No tak.
- Dobry z ciebie dzieciak – mówi.
- Tak?
- Tak.

Obejmuje ją ramieniem, a ona to przyjmuje i wspiera się na nim i nawet jeśli „wiekowy przystojniak” jest ode mnie fajniejszy, nie czuję się zazdrosny, bo tak jak rozciągający się za nami parking przypomina wioskę, tak Corrina, Dziadzio i Stary Grzmot z pewnością przypominają teraz rodzinę na wspólnej wyprawie.

Dziadzio mówi, że powinniśmy wrócić do samochodu, wysuszyć się i znaleźć gdzieś więcej wody do picia. Kiedy idziemy przez parking, rozglądając się za Błękitną Bombą, spotykamy grupki ludzi siedzących wokół kuchenek gazowych i ognisk, stoiska sprzedające jedzenie – prawdziwe jedzenie, bez żadnych niespodzianek, rzeczy takie jak *tamales* i tosty z serem – a także butelki z wodą i napojami gazowanymi, więc kupujemy prowiant i rozmawiamy z wszystkimi, którzy też tej nocy liczyli na cud. Natykamy się na paru upalonych samotników, którzy wciąż krążą z uniesionym w powietrze jednym palcem, są jednak niegroźni i gdybym mógł, sam dałbym im bilet.

Po powrocie do samochodu zjadamy, co kupiliśmy, pilnuję, by Corrina wypłała przynajmniej dwie butelki wody i słuchamy muzyki z koncertu Ojca Lotusa. Dziadzio wyciąga piłkę i bawi się ze Starym Grzmotem w aport pomiędzy rzędami samochodów, a Corrina i ja siadamy na masce auta. Tamci z czasem męczą się grą i wracają na tylną kanapę.

– Jest takie powiedzenie – odzywa się Corrina – że koniec końców zawsze i tak cię dorwą. Bo tak jest, prawda?

– Kto?

– Oni – odpowiada zjadliwie. – Oni. Oni. Oni. Oni są wszędzie i zawsze wygrywają, i zawsze koniec końców cię dorwą. Już to słyszałam. I racja. Ten świat jest nie fair.

– To jaki jest sens w ogóle się starać?

– Nie wiem, Hendrix. Sama nie wiem. Ale i tak się staram. Staram się, bo wydaje mi się, że tylko to naprawdę potrafię. – Zerka na mnie. – Naprawdę mam nadzieję, że Aiko do mnie oddzwoni. Albo napisze wiadomość, e-maila, cokolwiek. Chcę wejść w to wszystko. – Gestem ręki macha w kierunku sceny. – Nie jako fan, tylko prawdziwy uczestnik. Chcę tam być.

– I będziesz – mówię. – Bez względu na to, czy do ciebie oddzwoni.

Myślę o wszystkim tym, co Corrina mi mówiła i wszystkim, co widziałem, jak robi, o tym, jak moim zdaniem jej głos jest równie silny i potrzebny jak

wiatr, tymczasem spoglądam ku górze na najjaśniejsze punkty na niebie. I widzę Marsa, żółtopomarańczowy rozbłysk, i Kłos, jasnoblękitną gwiazdę odcinającą się na purpurowym nieboskłonie. Obydwie wyróżniają się z całej reszty – to bodaj konstelacja Corriny albo jakoś tak – czyli jej imię tkwi na niebiańskim sklepieniu.

– Chyba to tego zawsze chciał mnie nauczyć Dziadzio – mówię. – Bym się starał. Bym mimo wszystko wierzył.

– Pewnie – przyznaje Corrina. – On cię kocha. Naprawdę kocha. Ty też go kochasz. To widać.

Spoglądam na Dziadzia na tylnej kanapie Błękitnej Bomby. Drzemie. Na twarzy majaczy mu delikatny ślad uśmiechu, ja zaś mam nadzieję, że śni mu się Babcia, że śni mu się ich stara weranda, to, jak jednym ramieniem obejmował Babcię w talii, jak tak po prostu, odrzuciwszy torbę, z którą przemierzył cały kraj, unosił ją jedną ręką, drugą podkładał jej pod głowę i się całowali.

– Corrina – odzywam się, gdy ponad festiwalową wioską wygląda w stronę sceny. – Uda ci się. Ja to wiem.

– To nie o tym teraz myślę – odpowiada. W oczach ma łzy. – Jestem chodzącą porażką, moje życie to pierdolnik. Nie czuję, bym gdziekolwiek przynależała.

Nie mam pojęcia, jak na coś takiego zareagować, żeby nie wyjść na dupka. Jak można komuś powiedzieć, że gdzieś przynależy? Że przynależy do swojego życia, a jej życie – jej osobowość – są dobre? Jak coś takiego powiedzieć? Czy w przynależności nie chodzi właśnie o to, że się to po prostu czuje?

– Nie jesteś porażką – mówię.

– Ciągłe tylko oni, oni. – Macha rękami przed twarzą.

Chwytam jej dłoń i zaczynam ją ugniatać. Jej ciało się odpręża, odwraca głowę w moją stronę.

– No tak – mówię. – Ale to nie znaczy, że ty jesteś porażką. – Biorę głęboki wdech i usiłuję powiedzieć coś jeszcze. – Sądzę, że jest takie miejsce, gdzie nie przynależy nikt poza nami. Tu i teraz. Ty i ja.

– I twój Dziadzio – dodaje.

Uśmiecha się.

– No dobrze, i on, i Stary Grzmot.

Oddycha przez nos i nachyla się w moją stronę.

– Co ty tak właściwie teraz robisz?

– Masuję ci dłoń. Kiedyś zrobiłem tak Dziadziowi, jak zaczął wariować w Calypso i się uspokoił.



– Niesamowite uczucie.

– Mówisz to, bo jesteś naćpana.

– Nie. – Pociąga nosem. – Nie jestem. Przede wszystkim jestem wycieńczona, a do tego trochę zdezorientowana. Jakbym od kilku dni nie spała.

Tymczasem w świetle księżyca i gwiazd, w poświęceniach widowiska Ojca Lotusa bijącej po otaczających nas skałach Yellow Mountain, zaczynam myśleć o naszym ognisku we Flagstaff i o tym, jak naprawdę daleko dotarliśmy.

– Corrina? Czy kiedykolwiek powiedziałaś komuś „kocham cię”?

Przez moment milczy i boję się na nią spojrzeć, boję się powiedzieć to, co naprawdę chcę powiedzieć.

– Nie wiem – mówi, lecz po jej głosie poznaję, że tak było. – To jest, wiesz, oczywiście ekshipsisom...

– No tak, ale.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że raz tak. Że raz kogoś kochałam.

Choć w środku cały się trzęsę, na zewnątrz staram się wyglądać możliwie spokojnie.

– Sama nie wiem – mówi. – Przez większość życia wydawało mi się, że tak bardzo różnię się wyglądem od koleżanek, że jestem zupełnie inna niż wszyscy. Spoglądam wstecz i nie mogę znieść, jak bardzo chciałam wtedy być „śliczna”. Sama nawet nie wiedziałam, co by to miało oznaczać, ale chciałam taka być, bo sądziłam, że nie jestem.

Jej głos brzmi tak cicho, a ja czuję się tak mały wśród ogromu ciemniejącej wokół nas pustyni, zarazem jednak znowu jesteśmy razem, tak jak wtedy w naszym namiocie, dzięki czemu czuję się dostatecznie duży jak na ten świat.

– A jednak – mówię, biorąc ją za dłoń – jednak jesteś, chociaż to nie dlatego jesteś taka urocza.

– A dlaczego?

– Nie możesz być tylko częścią siebie. Tu nie chodzi o jakiś określony element, a o całą ciebie.

– Wiesz – mówi – w szkole, a nawet wieczorami na deptaku, zawsze strasznie się garbiłeś, ciągle widziałam twój czubek głowy, choć jesteś przecież taki wysoki. Ale teraz? Jakbyś się nagle zaczął prostować. Wreszcie mogę ci spojrzeć w oczy, Hendrix. A masz piękne oczy.

Po tych słowach czuję się, jakby mnie wystrzelono w kosmos.

– Mogę cię pocałować?

– Pocałować?

– Tak.

– Taką chodzącą porażkę, co jebie rzygami?

– Tak.

– Oszalałeś.

– Tak.

– Tak.

– Tak?

– Tak! – powtarza, wtem jednak pochyła się i przyciąga mnie ku sobie i wnet naprawdę się całujemy, tak na masce Błękitnej Bomby, podczas gdy Dziadzio jest tuż obok, przez co wydaje się to brawurowe i wspaniałe, to poezja w najlepszym tego słowa znaczeniu, razem pokazujemy wała całemu światu, to nasz bunt przeciwko Onym, bo nawet jeśli koniec końców Oni i tak nas dorwą, to przynajmniej będziemy mieli to – siebie nawzajem, i choć bez względu na to, jak głośno byśmy krzyczeli, świat by nas nie usłyszał ani by się tym nie przejął, całujemy się, całujemy i całujemy, i czujemy, choćby przelotnie, że żyjemy.

W końcu jednak Dziadzio robi trochę hałasu, by przypomnieć nam o swojej obecności, a potem Corrina musi skorzystać z łazienki, a potem ja, i wszystko jakby wraca do normy, ale ja tego nie chcę. Ja tylko pragnę dalej śnić ten sen z Corriną.

Kiedy wracam do samochodu, słyszę, jak kawałek dalej śpiewa i gra na gitarze i odnajduję ją na drodze, gdzie przechadza się w kółko z Dziadziem, śpiewając razem z nim *The Dark End of the Street*. Zdążyłem już się nauczyć, że to piosenka Jamesa Carra, lecz Corrina woli cover w wykonaniu Cat Power. Trzyma gitarę przed sobą, idzie razem z Dziadziem i śpiewa, a ja wiem, że usiłuje go uspokoić, jestem bowiem przekonany, że wraz z upływem nocy popadł w coraz to większe zagubienie. Pewnego dnia być może Oni przyjdą i gdzieś nas zastaną samych. Dają im śpiewać, a oni w marmurkowej poświacie księżycyca zmierzają w moją stronę.

Kiedy piosenka dobiega końca, Corrina przytula Dziadzia, a on nie oponuje i opowiada jej o tym, jak to zastał Babcię w ogródku warzywnym za domem, gdzie w wygodnych, skórzanych butach ślęczała nad grządkami i śpiewała tę piosenkę. To Dziadzio wytyczył teren pod ogródek, wykarczował go, wykopał płytką nieckę i wypełnił ją żyzną glebą. Cała ta historia jest już w Rodzinnej Księdze Hendrixów. Już nam ją kiedyś opowiedział.

Kiedy wracamy do samochodu, Corrina zwraca się do mnie:

– Martwię się dalszą drogą. Raczej nie powinniśmy dziś już dalej jechać. Oczy mi się same zamykają. Chyba muszę się przespać.

– Wydaje mi się, że już nas szukają. Dziś nie ma sensu pchać się dalej. Ale jutro Oni mogą nas dorwać.

– Oni nas jeszcze nie mają, Hendrix.

– Więc mamy jeszcze szansę – mówię.

Uśmiecham się i ją całuję, wprost na oczach Dziadzia. Marszczy zagadkowo twarz, lecz zaraz się uspokaja. Kiwa głową. Nie wiem, gdzie teraz jest myślami, czy jeszcze jest z nami, ale jakoś ufam, że w głębi duszy świetnie się rozumiemy.

Sadowimy Dziadzia na przednim fotelu pasażera, gitarę zaś kładziemy na miejscu kierowcy, by razem móc się zwinąć na tylnej kanapie. Stary Grzmot wciska się pod nogi Dziadzia, Corrina i ja przytulamy się do siebie. Czekamy, aż Dziadzio zacznie chrapać i znowu się całujemy, po czym przestajemy, bo jest już bardzo zmęczona, więc tylko trzymam ją w ramionach.

Pozostajemy w tej pozycji przez dłuższy czas, aż w końcu mówi do mnie bardzo cicho:

– Hendrix, chyba jesteś moim jedynym prawdziwym przyjacielem.

– To tak jak ty.

Tulę ją, aż jej oddech się uspokaja, aż cała się uspokaja i zdaje sobie sprawę, że nareszcie zasnęła.

## ROZDZIAŁ 20

### Ranczo Cadillaców

Jeśli spojrzeć na Teksas na mapie i w myślach obrócić jego kształt zgodnie z ruchem wskazówek zegara, żeby fragment podobny do kapelusza znalazł się u dołu, stan przypominać będzie ptaka w locie, z głową wysoko i dziobem skierowanym na wschód – tak jak my lecimy na wschód po czterdziestce, wywracając przy tym czas, a cała nasza wyprawa jest czymś w rodzaju wiersza, co z tego, co było, czyni to, co będzie.

Następnego ranka, uzupełniwszy prowiant w festiwalowej wiosce na parkingu, zaludnionej przez tych wszystkich, którzy pozostają na miejscu na całe trzy dni festiwalu, opuszczamy Yellow Mountain. Gdy gnamy na wschód, pustynia przechodzi z musztardowo-żółtego płaskowyżu Nowego Meksyku w zielone, trawiaste równiny północnego Teksasu, a teren stopniowo opada ku szerokiej niecce amerykańskiego interioru. Niebawem po przekroczeniu suchego, pylistego koryta strumienia Plaza Larga na obrzeżach Tucumcari w Nowym Meksyku pokonujemy ostatnie wyniesienie drogi, pozostawiamy za sobą ostatni pagórek, płaskowyż i ostaniec, a przed nami rozlewa się bezkresna obfitość traw, jak gdyby tylko Teksas zajmował resztę kraju. Przez cały ranek na niebie zbierają się ciężkie chmury, a kiedy przekraczamy granicę Teksasu, burze ponad równinami przypominają kończyny ogromnej bestii, która susami pędzi przez pustynię. W oddali widać błyskawice. Nawierzchnia szosy jest wprawdzie jeszcze sucha, deszcz nadciąga od północy, a jego mokry oddech czai się wyczekująco na skraju drogi, lecz wtem szosa skręca i jedziemy prosto w burzę, której mgliste ramiona zaciskają się wokół nas i wciągają nas do środka.

Tędy wiedzie droga do Ithaki, droga do Babci, a także droga do Zmarłego Taty.

Odwracam się do Dziadzia.

– Sądzisz, że ojciec kochał moją matkę?

Dziadzio mruga oczami. Powoli odpowiada.

– Kochał.

– Ale potem? Kiedy był już z tą inną kobietą?

– Trudno powiedzieć – mówi Dziadzio. Kręci głową. – Kiedy posunął się już

tak daleko, zastanawiałem się, czy może się jeszcze cofnąć.

– Ale nie byłeś ze mną szczerzy co do niego. Mama zresztą też nie.

Dziadzio kiwa głową. Ponownie wygląda przez okno.

– Kochaliśmy cię, Teddy. Wciąż cię kochamy. To skomplikowane. Być może byłeś za młody, żeby to zrozumieć. Może nadal jesteś za młody.

Milknie.

– Nie wydaje mi się, bym był – odpowiadam.

– Może nie jesteś – przyznaje.

Ciśnienie wzbiera we mnie niczym deszczowe chmury rozplaszczające ponad nami niebo. Świat, być może tylko z mojej perspektywy, wydaje się przekrzywiony, jak gdyby w miejscu zetknięcia się nieba i ziemi droga przed nami wpadała w zaciskające się imadło. Wygląda to dziwnie i myląco, tym niemniej czuję, jak mnie ta niewiadoma przyciąga. Przypomina mi to stary grecki mit, w którym Uranos – personifikacja nieba – i uosabiająca ziemię Gaja łączą się, a z ich miłości rodzi się wszelkie życie.

Znowu wszyscy milczymy, słuchając innej playlisty Corrinie, na której zebrała ulubioną muzykę, muzykę już z naszych czasów: Connera Youngblooda, Kimbrę, Nicka Hakima, Shakeya Gravesa, Laurę Mvulę, zespoły Daughter i Lucius.

Wtem jednak widzimy drogowskazy na jakieś Ranczo Cadillaców, a Corrina prosi, bym sprawdził, czy to daleko od autostrady. Zaskakuje mnie słyszalna w jej głosie ekscytacja.

– Nie mogę w to uwierzyć – wyrzuca z siebie, kiedy mówię jej, że to tuż przy czterdziestce, trzeba tylko zjechać jakąś milę na szosę biegnącą równolegle do drogi i jesteśmy na miejscu. Potem jeszcze jedna mila i wrócimy na czterdziestkę. – Musimy to zobaczyć – stwierdza.

– Dlaczego?

– To jakby taka dziwaczna mekka artystów i muzyków. Nie możemy go tak po prostu minąć. Jesteśmy już tak blisko.

Wzruszam ramionami i się zgadzam. Gdzieś w głębi czuję, że kiedyś już o tym miejscu słyszałem, nic więcej jednak nie kojarzę. Dlaczego niektóre słowa, obrazy, wspomnienia czy też odpowiedzi na pytania na egzaminach mającą tuż poza zasięgiem myśli? Dlaczego nie może być tak, że każde wspomnienie zapisuje się niczym zdjęcie na dysku w moim mózgu, a kiedy szukam potrzebnego mi pliku, w jednej chwili pokazuje mi się jasno, wyraźnie i w wysokiej rozdzielczości?

Więc jak straszne to musi być dla Dziadzia. Ile pamięta, ile nie pamięta.

Co chce, a czego nie chce pamiętać.

Obracam się i na niego spoglądam. Właśnie zgodziłem się na kolejny postój. Jest wtorek. Środek dnia. Nie wiem, czy zmieniliśmy strefę czasową ani która godzina jest teraz w Szanghaju, ale zakładam, że zbliża się moment, w którym mama spakuje się na lot powrotny do Los Angeles. Jest na drugim końcu świata, a mimo to razi niczym grzmot, którego nie słyszę, i niewidzialny piorun, wstrząsając mną nawet pod swoją nieobecność, lecz przychodzi mi na myśl, że gniew, który do niej czuję za ukrywanie przede mną wspomnień po moim ojcu, powinienem po części adresować do staruszka na tylnej kanapie, który wygląda teraz za okno, przypatrując się, jak wokoło kurz zamienia się w błoto.

Nie odzywał się od śniadania, a kiedy Corrina zjeżdża z czterdziestki, zasuwa równoległą do autostrady jezdnią i pośród ogrodzenia z drutu kolczastego odnajduje bramę prowadzącą na Ranczo Cadillaców, ja usiłuję odnaleźć w sobie ducha, który w ogóle skłonił mnie do podjęcia się tej wyprawy, ale na próżno. Wolę teraz zrobić dla odmiany coś dla siebie. Pragnę spędzić trochę czasu z Corriną, tylko we dwoje.

Corrina parkuje przy ogrodzeniu, między dwiema kałużami koloru kawy z mlekiem. Za płotem, paręset metrów od szosy, z ziemi wyrasta dziesięć dziwacznych, pstrokatych totemów. To pastwisko dla bydła i istotnie, za instalacją artystyczną możemy dojrzeć niezliczone czarne krowy, które pożywiają się na zielonej łące. Na płocie wisi napis:

WŁASNOŚĆ STANU TEKSAS  
Malowanie GRAFFITI po tej stronie płotu jest NIELEGALNE  
Obok zaś kolejny:  
WŁASNOŚĆ PRYWATNA  
ZABRANIA SIĘ  
DOTYKAĆ I NIEPOKOIĆ  
BYDŁO

Znaki są na tyle blisko wejścia na pastwisko, że nikt kierujący się w jego stronę nie mógłby ich przeoczyć, lecz w miarę jak się do niego zbliżamy błotnistą ścieżką, ciągnąc za sobą Dziadzia, wydaje się, że wszyscy je zignorowali, ponieważ dziesięć widocznych samochodów, wyraźnie wkopanych maskami w ziemię i ze sterczącymi w powietrze zadami, pokrytych jest co do jednego elektrycznie różowymi, zielonymi, żółtymi, niebieskimi, fioletowymi i czerwonymi plamami graffiti. Wszystkie wozy to stare cadillaki

z ogromnymi płetwami po bokach bagażnika. Przechodzimy przez bramę i zaczynamy się kierować w stronę samochodów, a ja trzymam Dziadzia za rękę, tyle że porusza się powoli, więc w końcu go puszczam i ruszam przez klejącą się do butów niczym karmel ziemię, aby wraz z Corriną dostać się do wozów. Odwracam się i widzę, że ciągle idzie przed siebie, a to palące uczucie narasta jeszcze we mnie i pęcznieje, i nie chcę już na niego patrzeć, nie chcę się o niego martwić, a przynajmniej nie w tym momencie. Chcę wytchnienia.

Corrina opowiada mi o tym, jak pierwszy raz usłyszała kawałek *Cadillac Ranch* w wykonaniu grupy Nitty Gritty Dirt Band, ale dowiedziała się, że pierwotnie była to piosenka Bruce'a Springsteena. Mówi mi, jak wykształciła w sobie dziwną obsesję na punkcie tego miejsca, ja zaś łapię się na tym, że gapię się na napis „GB kocha Brit” wymalowany fosforyzującą, zieloną farbą na dachu najbliższego auta.

Dookoła samochodów leżą porzrzucone puszkę z farbą w aerozolu, które, jak się domyślam, porzucono po opróżnieniu, ale i tak zaczynam je zbierać i sprawdzać, aby się przekonać, czy sam zdołam zostawić jakiś ślad na którymś z samochodów. Corrina się do mnie przyłącza, prócz nas w pobliżu nikogo nie ma, snujemy się wokół samochodów, sprawdzając puszkę po puszcze, aż w końcu znajduję niebieską, w której jeszcze coś jest, wchodzę do jednego z wozów, w którym brakuje drzwi i psikam na coś, co było podłogą samochodu, lecz teraz stanowi pionową ścianę. Wypisuję dwie litery V z zawijasami u szczytów, moje abstrakcyjne ptaszki, które wzlatują ku wielobarwnej zupie z tyłu. To silniejsze ode mnie. Muszę to pokazać Corrinie. Tymczasem to ona mnie odnajduje, a w rękę trzyma inną puszkę. Z żółtym.

– Patrz – mówię, wskazując na moje ptaki. – To my.

– Dokąd lecimy?

– Nie wiem, ale wiem, że lecimy dokądś razem.

– Który z nich to ty? – pyta.

Wskazuję na tego z tyłu, który leci za pierwszym. Uśmiecha się i pisze pod nim literę H. Pod pierwszym zaś wypisuje literę C.

Znowu podwinęła rękawy swej szarej bluzki, upodabniając ją do podkoszulka, a jej ramiona są mokre od deszczu. Wskazuję na miejsce, w którym bark łączy jej się z bicipsem.

– Mogę cię tu pocałować?

Kiwa twierdząco głową, a kiedy to czynię, zatapia usta w mojej kędzierzawej czuprynie, całuje mnie w czubek głowy i zaraz zaczniemy się całować w tym na poły zakopanym, pstrokatym cadillacu, gdy wtem Stary Grzmot zaczyna

histerycznie ujadać.

– O mój Boże – odzywa się Corrina, wygrzebując się z samochodu. – Gdzie twój dziadek?

Staram się powściągnąć gniew, jaki wobec niego czuję, bo wiem, że to z mojej strony nie w porządku, mimo to w pierwszej chwili to on dochodzi do głosu.

– O, kurwa! – Zaraz potem jednak ogarnia mnie lęk, i to o wiele silniejszy. – Kurwa mać!

Stary Grzmot szczeka i szczeka, aż odnajduję go w głębi podmokłego pastwiska, bliżej bydła. Wpierw podejrzewam, że może się tak bawi, po prostu sprawdzając się w roli psa pasterskiego, w jego głosie znać jednak przestrożę i wiem, że szczeka, abym przyszedł. Co znaczy, że szczeka z powodu Dziadzia.

Corrina i ja rzucamy się biegiem w jego stronę. Bydło podeszło o wiele bliżej, a niektóre z krów sądzą najwyraźniej, że przyszedliśmy z paszą, bo podnoszą na nas wzrok i zaczynają się jeszcze bardziej zbliżać. Stary Grzmot sady teraz susy tam i z powrotem, poszczekując na najbliższe sztuki, starając się je zaganiać, a kiedy już jestem bliżej, dostrzegam Dziadzia, który stoi obok jednej z krów. Zwierzę unosi łeb i się odwraca, przy okazji przewracając Dziadzia w błoto. Pozostałe krowy nam go teraz zasłaniają, więc pędzimy dalej przed siebie. Kiedy do niego docieramy, po prostu siedzi sobie w błocie niczym dziecko, spuściwszy spojrzenie na kolana.

– Dziadziu, nic ci nie jest?

Patrzy na mnie ze smutnym i pełnym strachu wyrazem zagubienia.

– Nie zdołam zabrać cię do domu, jeśli będziesz tak tu siedział w błocie.

– Zawiodłem cię – mówi, tak naprawdę nie patrząc.

– Nie zawiodłeś. O czym ty mówisz? To ja cię zawiodłem. To ja nie powinienem cię tutaj wyciągać. Przepraszam, Dziadziu. Przepraszam.

Stary Grzmot ponownie szczeka na jakąś krowę, która zanadto się zbliżyła.

– Nie – upiera się Dziadzio. – Nieważne, Jake, co zrobiłeś. Bez względu na to, co zrobiłeś, to nie mogą być moje ostatnie słowa do ciebie.

– Spokojnie, Dziadziu. Nic ci nie jest. Nikt tu nie mówi o żadnych ostatnich słowach.

Wiem jednak, że nie mówi do mnie. Nie jestem pewien, czy naprawdę sady, że znowu zwraca się do mojego ojca, czy też po prostu mówi do samego siebie.

– Mój błąd – ciągnie. – Zawsze jest miejsce na łaskę. Bez względu na to, co się stanie, zawsze jest miejsce na łaskę. Powinienem o tym pamiętać. Tak mi przykro, synu.



Corrina patrzy na mnie. Przykucnęła obok Dziadzia i rozmasowuje mu plecy.

– Co mu takiego powiedziałaś? – pyta, bo wie, że sam zbyt się boję spytać, choć zarazem pragnę to wiedzieć. – Już w porządku – mówi, obejmując go w barkach. – Już w porządku.

– Nie jesteś moim synem – oznajmia Dziadzio. – Zbyt jesteś samolubny. Nie jesteś moim synem. – Wbija spojrzenie w ziemię przed sobą. – Przepraszam – mówi. – Przepraszam.

Corrina dalej powtarza mi, że już wszystko w porządku i że powinniśmy wracać do samochodu, a ja też chcę coś powiedzieć, ale nie znajduję właściwych słów. Aż w końcu przychodzą.

– Kocham cię – mówię mu. – Kocham cię, Dziadziu.

– Właśnie – zwraca się do niego Corrina. – A co z Teddym?

– Teddy – odzywa się, spoglądając na nią. – Teddy to moja jedyna szansa, by to wszystko wyprostować.

W tym momencie jednocześnie jestem tam i nie jestem. Jestem zarówno synem, jak i wnukiem. Trochę jak syn marnotrawny, który jest na miejscu i ma wszystkiego nie roztrwonić. Lecz jestem zarazem centrum wszechświata i drobiną tak małą i tak daleką od brzegu, że odpływ może mnie gdzieś ponieść. I dobrze się z tym czuję – z tym, że moje własne potrzeby zlewają się z tymi Dziadzia i mamy. Jakbyśmy na powrót byli rodziną.

– Chcę jechać do domu – mówi Dziadzio.

– Staramy się, Dziadziu. Staramy się.

Nie jestem pewien, o który dom mi w tym momencie chodzi, dam jednak głowę, że nie o kałużę błocka gdzieś w Teksasie, gdzie właśnie topi się we własnym poczuciu winy.

Jeśli istnieje na tym świecie łaska, o której mówił Dziadzio, to wierzę, że dane nam jest tego dokonać.

Wraz z Corriną łapiemy go pod ramiona i podnosimy do pionu. Prowadzimy go przez pastwisko, mijając wymalowane auta, a Stary Grzmot wyprzedza nas i prowadzi z powrotem do Błękitnej Bomby. Błoto jest dosłownie wszędzie. Na naszych butach. Spodnie i koszula Dziadzia są od niego czarne. Corrina i ja mamy na sobie szorty, więc błoto pokryło nasze nogi abstrakcyjnymi plamami i zaciekami. Również sierść Starego Grzmota jest od niego aż ciężka.

Wydaje mi się jednak, że czasami znajdujemy się po uszy w gównie właśnie po to, by stanąć na nogi i się z niego wygrzebać. Spróbuj, bo musisz. Ciągle więc mówię do Dziadzia, powtarzając mu, że dotarliśmy tak daleko i że dalej jedziemy przed siebie, a kiedy zdejmuję mu buty i zaczynam zeskrobywać

z nich błoto, odwracam się w stronę pastwiska i myślę o tym, jak Dziadzio dokładnie to samo robił w błocie Wietnamu, w poprzednim życiu, w strugach deszczu ciągnąc jednego ze swoich w bezpieczne miejsce, powtarzając mu, że wróci do domu, bo w życiu nie możemy się poddawać, skoro to jedyne życie, jakie mamy – i na tym polega jego łaska.

Corrina stara się znaleźć w torbie Dziadzia w bagażniku jakąś czystą koszulę i spodnie, a ja zdejmuję mu ubłocone ciuchy i nie daję mu usiąść, chcąc sprzątnąć tylną kanapę samochodu, tymczasem do bramy prowadzącej na Ranczo Cadillaców podjeżdża brunatny miniwan. Wyskakuje z niego szóstka młodych ludzi, mniej więcej w naszym wieku. Wszyscy mają na sobie identyczne błękitne koszulki, również facet za kierownicą pojazdu. Widać to jakaś grupa młodzieżowa. Kierowca patrzy się prosto na mnie i na Dziadzia i choć wiem, że musimy dziwnie wyglądać, wkurzam się, że tak się na nas gapi. Gapią się i młodzi. Żeby dostać się do bramy, muszą przejść obok nas i w miarę, jak się zbliżają, wszyscy chichoczą i parszczą. Żaden nie spojrzy mi w oczy, żaden nie spyta, czy nie potrzebujemy pomocy. Ja stoję, starając się osłonić sobą Dziadzia, który stoi w majtkach i koszulce, i zastanawiam się, co mam powiedzieć tym gapiącym się palantom, gdy wcina się Corrina.

– Ej! – woła w ich stronę. – Może trochę przyzwoitości! – Odsuwa się od samochodu i przegania ich, by szli sobie dalej. – Dajcie człowiekowi zachować godność!

Milczkiem przemykają obok nas w stronę bramy, lecz kiedy wychodzą na błotnistą ścieżkę wiodącą ku samochodom, ktoś wybucha śmiechem.

Corrina podaje mi nieubłocone ubranie Dziadzia, to samo, które miał na sobie, kiedy ruszaliśmy w trasę, a ja odkładam je na wyczyszczone już siedzenie. Wyciągam własną koszulkę, wylewam na nią pół butelki wody i przy jej pomocy obmywam Dziadziowi twarz, szyję oraz rękę. Corrina pomaga mi włożyć mu czystą guayaberę i sadza go na tylnej kanapie. Wciąż nie ma na sobie spodni. Kucam obok niego i zmywam mu z kostek grudki błota. Myję mu stopy. Dziadzio wszystkiemu poddaje się w milczeniu. Nie wiem, czy czuje się zdezorientowany, zmęczony, czy też po prostu obnażony jak ktoś, kto długo płakał, ale pozwala nam się doprowadzić do porządku i usadzić w samochodzie.

Stary Grzmot też jest ubabrany, lecz na całe szczęście sierść ma krótką i choć w Błękitnej Bombie będzie teraz przez niego cuchnęło, to przynajmniej w miarę łatwo daje się go wytrzeć. Wraz z Corriną znajdujemy inną koszulkę i w miarę możliwości czyścimy go i suszymy, a następnie sadzamy z tyłu z Dziadziem, akurat w chwili, kiedy towarzystwo wraca ze spaceru między cadillacami. Tym

razem mijają nas bez słowa, wciąż się jednak gapiąc, wciąż spojrzeniem mówiąc nam „My to my, a wy to wy”. Gość z miniwana cały czas się na nas patrzy – ale nie jak jakiś oblech, raczej niespiesznie, ze znudzeniem, jak gdyby zanadto przywykł do oglądania życia na ekranie telewizora, a nie na własne, kurwa, oczy, w sytuacjach, gdzie mógłby poderwać tyłek i coś ze sobą zrobić.

I to właśnie wykrzykuję w jego stronę, kiedy odjeżdżają spod płotu.

– Zrób coś ze sobą!

Corrina śmieje się.

– Dobra – mówi – wydaje mi się, że sami też powinniśmy ruszać dalej.

– Czekaj. – Staram się znaleźć czysty kawałek koszulki, którą trzymam w ręku, ale cała jest już brudna, więc zdejmuję tiszert, który mam na sobie i ocieram błoto z jej policzka.

– Hendrix, czy ty mi dajesz z grzbietu ostatnią koszulę?

– Ee...

– Oj, to urocze. – Mówi to kpiąco-słodkiutkim głosikiem, ale po tym właśnie poznaję, że bardzo jej się to spodobało.

– Dla ciebie? Co tylko mogę.

– Jesteś prawie goły.

– Fakt.

– Dałbyś mi swoje szorty?

Waham się.

– Tak jak mówiłem: dla ciebie wszystko. – Następnie się uśmiecham. – Acz mogłoby mi być trochę zimno.

Śmieje się.

– Miej już sobie te ciuchy, Hendrix, i zawieź nas do Tulsy.

– Ja?

– Tak, ty. Tylko żadnych skrótów.

Wsiadamy do wozu i kiedy cofam go na drogę biegnącą równolegle do autostrady, Corrina szuka w telefonie muzyki.

– Charlie – odzywa się – może to ci się spodoba?

Dziadzio nadal milczy na tylnym siedzeniu i już nawet Stary Grzmot zaczyna skomleć o nieco uwagi. Żałuję, że nie dysponuję mapą umysłu Dziadzia, dzięki której wiedziałbym, dokąd się udaje, kiedy się zagubi, to jest jeżeli w ogóle gdzieś wówczas podąży. Wyjdź mu na spotkanie tam, gdzie go znajdziesz, powiedziała mi kiedyś doktor Hannaway. Nie wymagaj, by to on do ciebie szedł. Corrina przegląda przepastne zasoby muzyczne w swoim telefonie, a ja wiem, że ze wszystkich sił stara się znaleźć jakąś piosenkę, która mu pomoże, która

będzie dla niego coś znaczyć, pozwoli mu zachować przytomność umysłu i świadomość tego, na czym najbardziej mu zależy, to jest Babci – a przynajmniej wspomnienia po Babci – tymczasem zdaję sobie sprawę, że słowa doktor Hannaway doskonale odnoszą się też do tego, jak ja sam myślę o Corrinie.

*I'm Your Captain /Closer to Home*, Grand Funk Railroad, siedemdziesiąty. Closer to Home – Bliżej Domu. Dziadzio zaczyna podśpiewywać wraz z wokalistą, cicho, raczej dopowiadając piskliwym głosem słowa aniżeli rzeczywiście je śpiewając, lecz generalnie nadaża za utworem. Słowa powtarzają się i powtarzają, nabierając impetu, zarazem jednak na swój sposób opowiadają pewną historię, która, rzecz jasna, też mi się podoba. Ale Dziadzio odpada. Nie trzyma się piosenki. Słowa pryskają, tak jakby niektóre z nich połykał; wersy rozpadają się w połowie. Zastanawiam się, co też musi się dziać w takim umyśle, dla którego świat to okno, w którym kamienie powybijały otwory, a mimo to podziurawiona tafla wciąż się trzyma?

Jesteśmy z powrotem na czterdziestce, płyniemy w stronę malującej się na horyzoncie niewielkiej panoramy Amarillo, a ja rozmyślam nad grającą piosenką, dosyć, jak się już orientuję, typową pod względem rytmu, przesiąkniętą bluesem, rockowym hymnem, który opiera się na powtarzalności strof powracających jak niekiedy wersy w poezji. Dziadzio zna te słowa, bo słyszał je już mnóstwo razy, ale to, że potrafi je powtórzyć, wynika z rytmu, z pulsu, z zawartej w wersach muzyki.

W miarę jak piosenka narasta, a Corrina śpiewa równo z nią w nadziei, że poderwie ze sobą Dziadzia, myślę o tym, że mógłbym napisać Dziadziowi piosenkę czy też może wiersz, wiersz z muzyką i powtarzalnością, coś, do czego mógłby się włączać, wiersz przedstawiający historię o nim i o Babci, coś, co mógłby sobie powtarzać niczym płytę, która zawsze się kręci i nigdy nie dobiega końca.

## ROZDZIAŁ 21

### Co wiem na temat prawdy

Deszcz w końcu przestaje padać, niebo zaczyna się rozchmurzać, my zaś pozostawiliśmy za sobą północny skrawek Teksasu i dla ominięcia bramek autostradowych naokoło Oklahoma City powoli kluczymy drugorzędnymi drogami, które prowadzą nas do Tulsy. Zajmuje to więcej czasu, ale w końcu się udaje, a jedyny prawdziwy kłopot stanowi znalezienie noclegu. Trzeba nam łóżek i pryszniców, trzeba nam miejsca, gdzie Dziadzio miałby ciszę i spokój. Nikt nie chce przyjąć nas z psem, a jeśli już nawet chcą, to z kolei przyjmują tylko płatności kartą, a na to nie możemy sobie pozwolić, bo jeżeli mama rozmawiała już z ludźmi z Calypso, to wie, że coś się święci. Jeżeli zajrzała na nasze wspólne konto, to skojarzyła fakty, bo jeszcze przed wyjazdem z Los Angeles pobrałem tyle gotówki, ile tylko mogłem. Jeżeli wróciła przed czasem do domu i zauważyła, że Błękitnej Bomby nie ma, że Wielki, Pusty Błękit jest jeszcze bardziej pusty, że nawet Starego Grzmota gdzieś wciąęło, to właśnie nas szuka, podobnie jak policja, a skoro dotarliśmy tak daleko, nie możemy się teraz poddać.

Lecz wtem jedna z tych obaw urzeczywistnia się, jak gdybym sam ją na nas ściągnął. Mój telefon wibruje i widzę, że to dzwoni doktor Hannaway. Nie odbieram, aparat brzęczy sobie i podskakuje w plastikowej wytłoczce pod kubki pomiędzy przednimi siedzeniami, Corrina zerka na mnie i żadne z nas się nie odzywa, oboje bowiem zdajemy sobie sprawę, że nie ma co niepokoić Dziadzia. Sięgam po telefon i odsłuchuję nagraną wiadomość na tyle cicho, by nikt poza mną jej nie słyszał: „Gdzie jesteś? Gdzie dziadek? Jesteśmy w kontakcie z twoją matką i znamy prawdę. Nie było żadnego zjazdu. Masz się do nas natychmiast odezwać”.

Ale myli się. Nie zna prawdy. To jest coś w rodzaju zjazdu, a po prostu dotarcie na miejsce zajmuje nam dłużej niż sądziłem.

Wiem, że droga prowadzi znów na wschód, bo zachodzące za prerię za naszymi plecami słońce sprawia, że lusterko wsteczne rozpala się blaskiem. Przejeżdżamy przez jakąś rzekę, nie zauważam jej nazwy, lecz spod mostu wypada stadko małych ptaków, które unoszą się, po czym na powrót spadają niczym ciemne gwiazdy w mrok. Corrina odnajduje przez telefon bliźniak,

którego właściciel wynajmuje ludziom parter. Wyłożymy z góry kasę i będzie nasz.

Chwilę trwa, zanim w ogóle tam trafimy, ale w końcu dojeżdżamy na miejsce – ciągnące się przez ileś przecznic rzędy obłożonych brązowymi deszczułkami domów mieszkalnych, stłoczonych za otaczającym cały kompleks ogrodzeniem z czarnych, żelaznych prętów. Właściciel ma brodę jak u drwala i wysokie buty z rozwiązanymi sznurówkami, do tego krótkie spodenki. Wychodzi nam na spotkanie przed budynek. Wręczamy gotówkę, bierzemy klucz.

– Jakież zasady, o których powinienem wiedzieć? – pytam.

– Zasady? A co? Potrzeba wam zasad?

Corrina śmieje się.

– Nie – odpowiada.

Gość spogląda na mnie. Ma głęboko osadzone, niemałe czarne oczy, nad nimi zaś przypominające krucze skrzydła brwi.

– Skąd jesteście?

– Z Los Angeles.

– Dokąd jedziecie?

– Do Ithaki.

– No to kawał wyprawy.

– Fakt – odpowiadam. – A taką wyprawę trzeba szanować, co nie?

– Się rozumie, gościu – rzuca, po czym uderza mnie w dłoń, wywija i zgina mi rękę w zdecydowanie niezbyt ziomalskim geście, bym mógł się w nim połapać.

– Czad – mówię.

Kiwa głową na zgodę.

– Zdejmijcie tylko pościel, wrzucie ją do pralki i o dziesiątej ma was nie być – mówi, a następnie robi znak pokoju i wchodzi po schodach do własnego mieszkania. Kiedy otwiera drzwi, na parking wylewają się mocne gitarowe akordy w stylu Corrina, które milkną, gdy tylko zamyka je za sobą.

Wprowadzamy Dziadzia do środka, włączam telewizor i znajduję kanał sportowy w nadziei, że będzie mógł zobaczyć jakieś skrót z bejsbola. Mieszkanie ma niski sufit, kuchnia i salon to tak naprawdę to samo pomieszczenie przedzielone prześwitującym regałem na książki, a sypialnia jest tylko jedna, ale za to sofę da się rozłożyć, łazienka jest czystutka, a cały apartament niedrogi i tylko nasz. W szafie w kuchni znajdujemy nawet pralkę oraz suszarkę i Corrina prosi, bym zajął się naszymi ubraniami, podczas gdy ona wyskoczy do sklepu po coś do jedzenia.

– Tylko uważaj, żeby cię potem wpuścili – mówię. – Coś mi się zdaje, że na osiedlu panują ściśle reguły.

– Martwisz się o mnie czy o łamanie reguł? – pyta, i fakt, jestem głupkiem, bo dopiero kiedy zamyka za sobą drzwi, zdaję sobie sprawę, że się ze mną droczyła, ale wiem, że będę zliczał minuty do jej powrotu.

Podczas gdy zbieram ciuchy do prania, Dziadzio się ożywia przy skrótach meczów. Puszczają tylko bejsbol, a układ drużyn, którym Dziadzio kibicuje, jest skomplikowany – na przykład Dodgersi, którzy kiedyś grali na Brooklynie, a potem przenieśli się z Nowego Jorku do Los Angeles, tak jak on. Teraz cieszy się, bo dzień wcześniej wygrali.

– Dziadziu – odzywam się za jego plecami. – Wstawię ci torbę do sypialni.

– Nie – mówi, cały czas patrząc w telewizor. – Pokój należy się dziewczynie.

– Wydaje mi się, że Corrina wolałaby, żebyś to ty spał w sypialni.

– Ja? A wy niby gdzie będziecie spać?

– Ee...

– Już się tu pomieścimy – mówi, wskazując gestem na pokój, w którym jesteśmy.

Nie mam pojęcia, jak Dziadzio widzi moje relacje z Corriną czy też co w ogóle sądzi o chodzeniu ze sobą, byciu razem i tak dalej. Nigdy na ten temat jakoś więcej nie rozmawialiśmy. No bo kto z własnym dziadkiem omawia kwestie seksu? Ale o tym właśnie teraz myślę. Nie myślę wręcz o niczym innym: zaraz wróci Corrina, zjemy kolację, położymy Dziadzia spać niczym dziecko i wreszcie znowu będziemy razem sami.

– Może lepiej pomówmy o tym po kolacji – proponuję.

Parska śmiechem.

– Jasne.

– Słuchaj, Dziadziu – mówię, usiłując zmienić temat. – Myślę sobie o czymś jeszcze. – I to prawda, bo sprawa siedzi we mnie jak granat, a jak wyciągnę zawleczkę, raz-dwa nastąpi wybuch. – Jak ona ma na imię?

– Twoja przyjaciółka? Corrina? Nie rób mi takich sprawdzianów.

– Nie, ta kobieta z Saint Louis. Ta kobieta z Ithaki.

Dziadzio wzdycha. Wyłącza dźwięk w telewizorze i w fotelu odwraca się od ekranu w moją stronę. Ja siedzę przy niewielkim, okrągłym stole jadalnianym, a poza telewizorem jedynym źródłem światła w pomieszczeniu jest plafon na suficie nade mną. Dziadzio pewnie nie wie, co mi powiedział, a czego nie powiedział. Żal mi go. Nie chcę go podchodzić, ale nie mogę się już powstrzymać.

- Ale wszystko, Dziadziu. Opowiedz mi całą historię.
  - Przykro mi, Teddy. Sam nie znam całej historii.
  - Nie – odpowiadam. – To mi już nie wystarczy, Dziadziu. Chcę coś więcej niż standardową odpowiedź. – Wiem, że to wredne, ale czuję, jakby przełamano się we mnie fala, której grzywa wreszcie opada pośród piany. – Dlaczego powiedziałeś coś takiego tacie? Co on tam w ogóle robił?
- Dziadzio wstaje i dołącza do mnie pod plafonem. Porusza się powoli, a trudy dnia ciężą mu na barkach niczym mokry płaszcz.
- CC – odpowiada. – Cecelia Devons, ale wszyscy nazywali ją CC. Znałem ją. – Rozciera twarz. – Słuchaj – mówi. – Powiem tyle, ile wiem.

## OPOWIEŚĆ O OSTATNICH DNIACH ZMARŁEGO TATY

Babcię dopadł rak. Po diagnozie lekarze dali jej nie więcej niż rok. Ja chodziłem wtedy do szkoły, więc mama została ze mną w domu, lecz tata zaczął jeździć do Ithaki, by spędzać więcej czasu ze swoimi rodzicami. Początkowo było to raz w miesiącu, potem jednak, gdzieś tak od wiosny, wyjeżdżał niemal co tydzień. Tak właśnie mówił mamie – że jedzie zobaczyć się z Dziadziem i Babcią. I w większości przypadków tak było, ale okazało się, że nie zawsze.

Czasami, kiedy wpadał tylko na weekend, nie mówił nic Dziadziowi. Pewnego wieczoru, przy jednej z takich okazji, kiedy Dziadzio szedł ulicą Mulberry do sklepu z narzędziami, poszedł na skróty zaułkiem za kawiarnią należącą do CC. Nie patrzył przed siebie, a pod nogi, zagubiony w myślach o Babci i o tym, jak niewiele jej zostało czasu, gdy wtem zatrzymał się parę metrów od schodów prowadzących do kuchennego wyjścia z kawiarni. Początkowo nie wierzył w to, co widzi, ale tam właśnie, w bladym świetle za budynkiem, jego syn, a mój tata, siedział na stopniu i całował CC we własnej osobie – kobietę, u której Dziadzio kupował kawę, kiedy on i Babcia jeszcze ją pijali, kobietę, którą znał, bo chodziła z tatą do szkoły.

Tam właśnie, w słabym świetle pojedynczej żarówki, nietrudno było się zorientować, co się dzieje. CC i tata zalewali się łzami. Całowali się z pasją ludzi, którzy dobrze się znają, tata jedną dłonią trzymał dłoń CC, drugą zaś opierał na jej policzku. Dziadzio nie miał pojęcia, że tata przyjechał do Ithaki. Znany mówił, że dwa tygodnie wcześniej widział go w mieście, ale Dziadzio



mu nie uwierzył. Przy tej okazji nie odwiedził też Babci.

– Jak śmiesz – odezwał się do Taty.

Tata poderwał się na równe nogi i spróbował coś wytłumaczyć, lecz Dziadzio nie dał mu dojść do głosu.

– Twoja matka umiera, a ty tak ją traktujesz? Twoja żona jest w domu z twoim synem, a ty tak ją traktujesz?

Tata zrobił krok przed siebie, ale Dziadzio go odepchnął i tata potknął się o schody.

– Jake, dzwonię do twojej żony. Dzwonię do niej i jej powiem, dlaczego nie jesteś moim synem.

Odmaszerował wściekły, nie do sklepu z narzędziami, a z powrotem do domu. Stamtąd zatelefonował do mamy i powiedział jej, co widział, i że teraz wie, że tata ma romans z CC Devons.

Tego wieczoru samochód taty przełamał barierkę i opadł na dno rzeki.

– Sześć tygodni później twoja Babcia zmarła, a twoja matka zaprosiła mnie do Los Angeles, żebym pomógł jej cię wychować. „Nie musimy zostać sami”, powiedziała. „O wszystko zadbam”. To niezwykła kobieta, Teddy. Twoja matka. Przypomina mi twoją Babcie.

Kiedy Dziadzio kończy opowieść, milknie. Ja też się nie odzywam, bowiem rysy twarzy ducha Zmarłego Taty stają się wyraźniejsze. Dokładniej dostrzegam zmarszczki wokół jego oczu i na czole, tak jakby kiedyś rzeczywiście był żywą istotą. Nie jest to człowiek, z którego byłbym dumny, którym chciałbym się chwalić, wydaje się teraz jednak bardziej rozpoznawalny, co mi odpowiada. Jego śmierć ograbiła mnie z pewnej przyszłości – ale jak miałaby ona wyglądać? Zdaję sobie sprawę, że Dziadzia ograbiła z pewnej przeszłości – z całej historii, którą wymazała nie choroba, a poczucie winy, i zastanawiam się, jak to na niego wpłynęło.

– Przykro mi – mówię. – Wspominanie tego jest bolesne?

– Owszem – przyznaje. – Ale cieszę się. Cieszę się, że go pamiętam.

Podnoszę się i ściskam Dziadzia.

Kiedy Corrina wraca, zastaje nas przytulonych – Dziadzia w fotelu, mnie obok, opartego kolanem na dywanie – i nic nie mówi. Nogą zamyka za sobą drzwi i wnosi torby. Podrywam się, żeby jej pomóc, i w milczeniu rozpakowujemy zakupy. Winogrona, banany, mleko i płatki na śniadanie. Przekąski na drogę. Trzy porcje obiadowe do podgrzania w mikrofalówce. Półlitrowe opakowanie lodów do podziału w ramach deseru. Podgrzewam jedzenie, podczas gdy Corrina nakrywa do stołu, a Dziadzio zwisa bezwładnie

w fotelu. Kiedy jesteśmy obok siebie, Corrina pyta mnie, co się dzieje.

– Później ci powiem – odpowiadam.

Siadamy do posiłku. Telewizor wciąż jest włączony i przychodzi mi na myśl, by włączyć dźwięk, abyśmy słyszeli coś więcej, niż własne myśli, ale ubiega mnie Corrina. Odszukuje pilota i całą trójką siedzimy teraz w milczeniu, podczas gdy komentatorzy sportowi wychodzą z siebie, by wykrzesać z nas nieco entuzjazmu.

My jednak po obiedzie zabieramy się za zmywanie. Później przychodzi pora na pranie. W cichym, spokojnym rytmie wieczoru zastanawiam się nad wierszem, którego wersy zaczynają w mojej głowie nabierać kształtu: „Każdy może się zakochać, liczy się, by w tym wytrzymać”. To ważne. Nie chcę napisać go na odwal się. To ma być wiersz dla Dziadzia.

Kiedy robimy z sofy legowisko, Dziadzio ponownie stwierdza, że sypialnia należy się Corrinie i że ja będę spał z nim na kanapie. Ja ponownie protestuję, ale Corrina postanawia się z nim nie kłócić. Kładzie mi rękę na karku i oznajmia, że weźmie łóżko. Mówiąc to, masuje mnie po plecach, a ja przystaję, bo okazuje się, że jestem matołem i dopiero teraz pojmuję, dlaczego Corrina uśmiechała się do mnie, kiedy wykonywaliśmy te wszystkie głupie prace porządkowe. Choć tak naprawdę nie były takie głupie. Kiedy stałem obok Corrinie i razem robiliśmy to wszystko, zadania zdawały się prawdziwe i w pewien sposób znaczące.

Corrina idzie do sypialni, by schować swoje uprane ubrania do torby, a niedługo potem Dziadzio w końcu zasypia, padłszy jak nieprzytomny na kanapie. Przykrywam go narzutą. Zamykam drzwi frontowe, zasuwam też skobel, czuję, że cały wieczór czekałem na tę chwilę i zastanawiam się, czy tak samo czuje się Corrina. Wyłączam telewizor i jedyne światło dobiega teraz zza drzwi sypialni, które pozostają lekko niedomknięte, lecz nawet i to jest zaledwie poświata lampki na szafce przy łóżku.

Podchodzę do drzwi i szeptem wypowiadam jej imię. W odpowiedzi szepcze moje, zwracając się w wąską szparę między drzwiami a framugą i choć jej nie widzę, wiem, że stoi tuż obok, po drugiej stronie ściany, jak gdyby tam na mnie czekała.

- Nie chce mi się spać.
- Ani mnie.
- Ani mi.
- Ani mnie.
- Ani mi.

Jej ręka powoli wyłania się z pokoju. Odnajduje moją twarz, jej palce muskają mój policzek, kciukiem dotyka nosa, po czym przeciąga jednym palcem i kładzie mi go na ustach, abym zamilkł.

– Ciii – szepcze. – Chodź tutaj.

Wchodzę, a ona po cichu zamyka za mną drzwi. Przebrała się. Ma teraz na sobie moje bokserki i jeden z jej spłowiałych, szarych tiszertów, ja zaś czuję w gardle gulę tak wielką, że jestem pewien, że zaraz się popłaczę, a co za żałosny, godny politowania palant płacze na widok najpiękniejszej dziewczyny, jaką kiedykolwiek widział, kiedy właśnie ma ją spytać o to, o co musi spytać.

– Nie mogę mówić – szepczę.

– To nie mów.

– Ale czy mogę cię pocałować?

Przewraca oczami i zwleka z odpowiedzią.

– Tak, Hendrix. Tak, możesz. Pocałuj mnie.

Startujemy na całego, wpierw na stojąco, ale mięknię mi kolana i robię się taki nerwowy, że muszę przysiąść na brzegu łóżka, przez co teraz, gdy dalej się całujemy, to ona jest nieco ode mnie wyższa, zaraz jednak popycha mnie w tył i ląduje na mnie, a jej włosy opadają mi na klatkę piersiową, palcami znajduję miękką bruzdę za jej uszami, a kiedy potrzebujemy złapać oddech, turlamy się po łóżku, śmiejąc, aż nagle oboje spoglądamy w stronę drzwi. Nasłuchujemy. Wracamy do siebie, cicho i delikatnie.

– Powoli – mówi.

– Dobra.

Szarpiemy się z ubraniami, na plecach i ramionach czuję przyjemny chłód pościeli.

– Mogę cię tutaj pocałować?

– Tak.

– A tutaj?

– Tak.

– Tu?

– Tak.

– Tak?

Ciągle szepczemy, lecz ja słucham. Słucham uszami, słucham dłońmi, słucham ciałem i tracę poczucie czasu, wsłuchując się w język jej podciągniętego kolana, język miejsca, które robi mi na rękę pod swoimi plecami.

– Masz prezerwatywy?

Kiedy pyta, mam zamknięte oczy, odpowiadam, wciąż ich nie otwierając. Jest mi tak głupio.

– Nie.

– To nic – mówi. – Kupiłam w sklepie.

Nadal mam zamknięte oczy, gdy otwiera szufladę przy łóżku, muszę jednak spojrzeć, kiedy wkłada mi w dłoń zafoliowany kwadracik.

– Hendrix, czy ty kiedyś już uprawiałeś seks?

Chyba każdy chłopak pragnie na takie pytanie odpowiedzieć kłamstwem? Chyba każdy chłopak woli być mężczyzną, którym chciałby być, niż tym, kim naprawdę jest? Na obozie. Chyba każdy ma jakąś opowieść o tym, jak to uprawiał seks na obozie czy w podobnych okolicznościach? Na obozie była taka dziewczyna, no, nie znasz jej, bo tam nie byłaś. I już, nie do podważenia. Na obozie. Tak, zdarzyło mi się bzykać na obozie.

Ale nie, nie w przypadku Corrinny. Najważniejsze prawdy to nie te, które się poznaje, ale te, które się wypowiada na głos, przez co osoba, na której najbardziej ci zależy, również może je poznać.

– Nie.

– A moglibyśmy? – pyta.

– No tak.

– Tak tylko pomyślałam, że spytam.

Uśmiecha się i tym uśmiechem rozprasza noc niczym księżyc na powierzchni wody, jedno źródło rozbijające się na milion jasnych drobinek, a moje ciało czuje się jak żelazny dzwon rozhuśtany z tak bliska jej oddechem.

## ROZDZIAŁ 22

### Bonnie i Clyde

Nad ranem budzę się z koszmaru czy też raczej czuję się, jak gdybym w ogóle nie spał, a jedynie śnił na jawie, unosił się na powierzchni snu, świadom świtu i poranka jaśniejącego w bladoniebieskim pasie światła padającego od okna sypialni.

W moim koszmarze Zmarły Tata żyje i mieszka w domu w Saint Louis. Z oddali patrzy, jak się zbliżam, a jego twarz wygląda za szybą jak plama. To sen, a szyba jest elastyczna, więc się w nią wciska, wpierw nos, następnie podbródek, a odciskające się na niej rysy jego twarzy przypominają pradawną maskę pośmiertną. Wtem znajduję się na werandzie. Jestem przy oknie. Chowam się. Nie chcę, by mnie dostrzegł, ale szara twarz się obraca, nie ma oczu, lecz nawet bez nich mnie zauważa. Uciekam, ale jego głos goni mnie jak dym.

Jest tak wcześnie, że nawet Dziadzio jeszcze nie wstał. Wciąż leżę w pościeli obok Corrinny i nie wydaje mi się, by którekolwiek z nas tej nocy naprawdę sobie pospało. Słyszę, jak oddycha. Nie chcę wstawać. Nie chcę nigdzie jechać. Pragnę zostać w łóżku z Corriną i znaleźć jakiś sposób, by spowolnić czas i udawać, że reszta świata wokół nas się nie rusza, ale tak nie jest, Dziadzio jest tuż za ścianą i jak to każdy dziadek, wcześnie wstaje, ja zaś nie mogę znieść poczucia winy, które tak szybko mnie podeszło.

– Powinienem już wyjść – mówię.

– Tak – przyznaje i pomimo tego, co czuję w związku z obecnością Dziadzia w pokoju obok, pewnej niestosowności sytuacji, zarazem czuję, że zrobiłem coś właściwego. „Tak”, powiedziała ostatniej nocy. „Tak”, powiedziałem i ja. Tak. Tak. Czuję, że naprawdę żyję.

Kiedy już wszyscy wstaliśmy i wzięliśmy prysznic, jemy razem śniadanie i choć nie rozmawiam z Corriną o minionej nocy, cały czas to zerkamy na siebie, to uciekamy od wzajemnych spojrzeń, ja zaś robię wszystko, co w mojej mocy, by podtrzymać rozmowę na inny temat.

– Jest środa – mówię. – Do jutra musimy dojechać do Ithaki. Dziewięć i pół godziny dzisiaj, dziewięć i pół godziny jutro i jesteśmy na miejscu.

Corrina przygląda się mapie w telefonie.

– Dziś do Indianapolis, jutro Ithaca.

– Tak.

– Tak – powtarza, spoglądając na mnie i nie jesteśmy w stanie powstrzymać się przed uśmiechem.

Dziadzio nam się przygląda.

O ósmej trzydzieści jesteśmy z powrotem w trasie, lecz wydostanie się z Tulsy z ominięciem bramek autostradowych nie jest takie łatwe, toteż jesteśmy zmuszeni raz jeszcze obrać wąską, dwupasmową Route 66, co tym razem czynimy już z dalece mniejszym entuzjazmem. Dzisiaj poruszamy się jakoś wolniej, jak byśmy nie byli w stanie nadążyć za otaczającym nas światem, jak gdyby Błękitna Bomba pozostawała w bezruchu i to świat przemykał nam pod kołami. Chcę tam dotrzeć. Czuję, że jesteśmy blisko, a mimo to wciąż tak bardzo daleko, a nasze tempo jeszcze wszystko utrudnia.

Już samo dotarcie do Joplin w stanie Missouri zajmuje nam trzy i pół godziny, podczas gdy teoretycznie powinny to być niespełna dwie, tak więc przy takim tempie nie mamy szans wyrobić się na czas. Powyłączałem wszelkie powiadomienia w mojej komórce, toteż nie informuje mnie ona o nowych wiadomościach, lecz kiedy ponownie przejeżdżamy pod czterdziestką czwórką, sprawdzam ją, wygrażając przy okazji pięścią betonowemu wiaduktowi ponad naszymi głowami, cholernej autostradzie wraz z jej kamerami na bramkach. Jeszcze nas nie złapali, ale kiedy sprawdzam telefon, zastaję wiadomość od doktor Hannaway z Calypso:

Teddy. Zadzwoń proszę. Chcę tylko wiedzieć, że Dziadziowi nic nie jest. Będzie się bał, Teddy. Będzie zdezorientowany. Jedźcie do szpitala. Jedźcie w jakieś bezpieczne miejsce i się zgłóście. Calypso ma też inne oddziały. Macie jakiś blisko? Jedźcie tam. Nie czekajcie. Policja już wie. Teddy, mowa o policji. To już nie jest jakaś zabawa.

Kiedy tylko mama zadzwoniła do nich, by powiedzieć, że Dziadzio nie jest w Wielkim, Pustym Błękitcie, gdy wyjaśniła, że zniknąłem, że zniknął Stary Grzmot, podobnie zresztą jak i Błękitna Bomba, ogłosili Srebrny Alarm.

Zaledwie kilka minut później otrzymuję też wiadomości od mamy. Esemesuje. Nawet do mnie nie dzwoni.

Jadę na lotnisko. Wracam wcześniej z Szanghaju.

Rozmawiałam z dr H.

Co ty, u diabła, wyprawiasz?

Mija trochę czasu, po czym przychodzi czwarta:

Nic wam nie jest? Daj tylko znać, że nic wam nie jest.

Zjeżdżamy pod sieciówkę Snak-Atak, by zatankować i idę do sklepu obok, żebyśmy mieli na lunch coś więcej niż torebkę chipsów. Znajduję kilka zawiniętych w folię oklapłych, bezbarwnych kanapek. Kiedy wracam, widzę, że Corrina zdążyła odjechać spod dystrybutora i zaparkowała Błękitną Bombę pod szpalerem wiązów. Zdaję sobie sprawę, że w ciągu dzisiejszej podróży widzieliśmy więcej drzew niż od chwili wyjazdu z Los Angeles. A zresztą tutejsze drzewa są inne, jak gdyby wpuszczają między gałęzie więcej powietrza, jakby miały więcej liści, a w lekkich podmuchach wiatru gałęzie pochylają się i poruszają niezależnie od siebie, niczym gęsty tłum ludzi tańczących każdy w swoim rytmie.

Również Corrina jest teraz sama. Dziadzio ze Starym Grzmotem na smyczy spaceruje przy niebieskich kontenerach na śmieci w głębi parkingu, tymczasem Corrina siedzi na masce samochodu i wpatruje się w ekran telefonu. Ma na sobie czarne jeansy i czarną koszulkę z nadrukowanym z przodu powiększeniem białego symbolu, jakim oznacza się materiały o treściach niestosownych dla dzieci. Rękawy ma jak zwykle podwinięte i choć zza okularów przeciwsłonecznych nie widzę jej oczu, to w ciężkości policzków dostrzegam smutek.

Kiedy podchodzę, mówi mi, że odezwała się do Aiko. Jeszcze nie otrzymała odpowiedzi, ale liczy na wiadomość, na maila, na telefon. Na coś. Cokolwiek. Jakąś wskazówkę, że coś na nią czeka, gdzieś poza Los Angeles, poza jej rodzicami i Rosewood.

– Czuję się, jakbym naprawdę uciekała – mówi. – Jakbym nie chciała wracać, ale też nie wiedziała, dokąd zmierzam.

Kiwam głową.

Jesteśmy na obrzeżach Joplin w stanie Missouri. To kraina Marka Twaina. Tu też Bonnie i Clyde spędzili sporo czasu na krótko przed tym, jak ich pojmano.

– Jesteśmy zbiegami – zauważam.

Corrina pozuje przed samochodem i robimy zdjęcia. Wyciąga gitarę. Trzyma ją, jak sama mówi, w stylu Johnny'ego Casha, wygląda to jednak, jak gdyby trzymała broń. Jesteśmy zbiegami. Do paru fotografii ustawiamy się razem. Staram się robić groźne miny, ale mi nie wychodzi. Wyglądam na wystraszonego. Jestem wystraszony. Corrina, jak zwykle, wygląda na twardzielkę, ale ona też się boi. Po prostu lepiej ode mnie to ukrywa. Kwestia praktyki. Teraz się zastanawiam, czy gdzieś w głębi duszy zawsze była równie wystraszona i niepewna jak ja.

Wychodzę spod drzew, wracam w stronę drogi, gdzie komórka zdaje się mieć nieco lepszy zasięg, aby przesłać jej zdjęcia, o które prosi, wnet jednak, wciąż myśląc o tym, co ubiegłego wieczoru Dziadzio powiedział mi o mamie, żałując, że musiała przed czasem wracać z Szanghaju i wiedząc, że tak wiele osób w Los Angeles się teraz martwi, wysyłam mamie wiadomość:

Nic nam nie jest. Nie martw się o nas. Wszystko ci powiem, kiedy wrócisz do domu.

I wtem, gdy tylko wciskam „wyślij”, to do mnie dociera. Złapią nas. Tak jak Bonnie i Clyde’a. Wyłączam aparat.

– Corrina.

– Hendrix.

– GPS.

– Co?

– Mogą namierzyć mój telefon. Policja. Mogą dokładnie stwierdzić, gdzie jesteśmy. Musimy jechać. W tej chwili.

Corrina odpala silnik, podczas gdy ja lecę po Dziadzia i Starego Grzmota, a kiedy już wszyscy siedzimy z powrotem w Błękitnej Bombie, zygzakami dojeżdżamy do sześćdziesiątki, po czym poboczną trasą wyjeżdżamy z Joplin w kierunku na Saint Louis. W ogóle nie możemy teraz korzystać z autostrad, po których jeżdżą przecież patrole policji stanowej. Nasza rejestracja z pewnością tkwi w systemie. Mają już jakieś ogólne pojęcie o tym, gdzie jesteśmy, zastanawiam się też, czy mama podpowiedziała im, gdzie należy nas szukać. Zachodzę w głowę, czy w pełni nas odszyfrowała i z Szanghaju leci od razu do Ithaki, by czekać na nas na werandzie, kiedy wjedziemy na podjazd domu, o którym żadne z nas nie wie, czy nadal tam w ogóle stoi i czy wygląda tak samo, jak kiedy mieszkali tam Dziadzio i Babcia.

Corrina jedzie tak szybko, jak tylko może, nie przekraczając przy tym ograniczeń. Nie możemy sobie pozwolić, by nas zatrzymali. Teraz nie możemy dać się złapać. Jeszcze nie. Potrzeba nam już tylko dnia albo dwóch. To wszystko, czego pragnę.



## ROZDZIAŁ 23

### I co ja teraz zrobię?

Nasza nowa, prowadząca opłotkami trasa wiedzie do Lasu Narodowego im. Marka Twaina, gdzie drzewa zamykają nas pomiędzy dwiema ścianami zieleni, a ja dopiero po dłuższym czasie zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy od wyjazdu z Los Angeles jedziemy bez perspektywy, bez widoku horyzontu, nie widząc, co jest za nami, a co przed nami. Szosa wiję się coraz to głębiej w las i niepodobna stwierdzić, co napotkamy za kolejnym zakrętem. Od czasu do czasu mijamy jakiś dom czy też jego pozostałości, samotne i rozpadające się na zupełnym w moim mniemaniu pustkowiu.

Lecz kiedy las wokół nas zaczyna się przejaśniać, po bokach drogi stanowej P, czyli jednopasmowej szosy, którą się poruszamy, otwiera się płaska okolica pól uprawnych przeplatanych trawiastymi łąkami. Krajobraz przypomina Dziadziowi pola wokoło Ithaki. Na tylnym siedzeniu nuci coś lekko pod nosem i się uśmiecha. Bez słowa z naszej strony rozpoczyna kolejną opowieść, ja zaś jestem rad, że nie muszę stymulować jego pamięci czy choćby prosić go, by o czymś pomyślał. Po prostu zaczyna opowiadać.

### OPOWIEŚĆ O TYM, JAK DZIADZIO WRESZCIE WRÓCIŁ DO DOMU

Dziadzio już kiedyś przejechał przez cały kraj w tym kierunku. Po tym, jak przetrwał Wietnam i ostatecznie, na koniec drugiej tury przeniesiony do rezerwy, powrócił do kraju, znalazł się w San Francisco, dotarł na dworzec autobusowy w Oakland i wybrał się w sześciodniową podróż przez Cheyenne, Salt Lake City, Omaha, Chicago, Cleveland, Buffalo, aż wreszcie wrócił do Ithaki.

Udało mu się i znowu był w domu, siedzieli z Babcią na werandzie i patrzyli na siebie nawzajem, starając się znaleźć właściwe słowa. Dziadzio domyślał się, skąd te nerwy i wziął Babcię za rękę. „Wróciłem” – powiedział. „Już nie muszę tam jechać”. Ona miała pewne wyliczenia. Wówczas podczas wojny ciągle się coś wyliczało, a to bilans poległych podawany w wiadomościach, a to liczbę

przejętych wiosek, a to budżet czy wyniki głosowań w Kongresie, lecz jej wyliczenia dotyczyły dni, a konkretnie 786 dni, jakie upłynęły od czasu, kiedy wyruszył na przeszkolenie. Teraz jednak wrócił.

I kiedy tak siedzieli na werandzie, Dziadzio był w stanie myśleć wyłącznie o podobnej werandzie na podobnym wzgórzu w tym mieście, gdzie siedzieli przed sześcioma laty i gdzie w wieczór, w którym się zakochali, zaczęli swoją „nierandkę”. I kiedy tak siedzieli, trzymając się za ręce, Babcia w końcu wyznała mu, czego bała się najbardziej.

– Nie będzie łatwo.

– Wiem – odpowiedział.

I nie było. Wszystko się zmieniło. Był kwiecień 1969 roku, a Ithaca nie była już taka, jak kiedy wyjeżdżał. Nie potrafił się w tym wszystkim połapać. Kiedy wrócił z wojny do domu, wszystko było jakieś inne. Odzież, sposób, w jaki ludzie rozmawiali, otaczająca ich dziwna aura ironicznej goryczy – nieważne, w co wierzyli, jakie mieli zapatrywania polityczne, dla Dziadzia wszyscy teraz zachowywali się jak przemądrzalcy. Trudno mu się było przystosować. Nocą wypadł z łóżka, ścigany przez koszmary senne. Kiedy nie mógł sobie poradzić z nowym otwieraczem do puszek, pięścią wybił dziurę w kuchennej ścianie.

Zmiany: pewne zmiany nie ominęły nawet Babci. Nie tylko w kwestii muzyki – teraz naprawdę rozbrzmiewała na całego, *Think Arethy Franklin, Piece of My Heart* grupy Big Brother and the Holding Company, *What 's Going On* Marvinie Gaye'a, Canned Heat, Toots and the Maytals, Joe Cocker, The Who, ostra muzyka z niemal krzyczącym wokalem – ale zmienił się nawet sposób spędzania czasu. Dziadzio nie rozumiał niepokoju w kraju. Protestów antywojennych, marszów na rzecz praw obywatelskich, walk ulicznych w Chicago przy okazji konwencji Demokratów. Nawet w Ithace studenci ze Stowarzyszenia Afroamerykanów przejęli Willard Straight Hall na kampusie Cornell. A ona tkwiła na trawniku przed budynkiem i ich wspierała, podobnie jak siedzących na frontowych schodach demonstrantów z ruchu Studentów dla Demokratycznego Społeczeństwa.

– Ja tu w domu walczę za ciebie – wyjaśniła. – Skoro ty walczyłeś tam za wolność, ja postanowiłam robić to samo tutaj. Bo jak nie, Charlie, to po co w ogóle walczyłeś? Robiłam to dla ciebie. Robiłam to dla nas. Robiłam to dla wszystkich, których uważam za Amerykanów. O co walczymy, skoro mówimy, że bijemy się o wolność i demokrację w Wietnamie, a tymczasem nie walczymy o nią u nas w kraju?

Mijały dni. Potem tygodnie. W Kalifornii Gwardia Narodowa z helikopterów

opryskiwała protestujących substancją wywołującą pieczenie. Po nalocie na gejowski bar Stonewall Inn w centrum Manhattanu wybuchły zamieszki. Lato pędziło, a Dziadzio usiłował wsłuchać się w słowa Babci. W lipcu człowiek stanął na Księżycu. Nic już nie zdawało się takie samo. I nic już takie nie było.

– Charlie – powtarzała mu Babcia – abyśmy się nawzajem na powrót odnaleźli, musisz zaufać, że kiedy ty ryzykowałeś za nas życiem, ja dbałam o to, by twój dom był coś wart. Kocham cię. Pozwól, że ci pokażę, jak bardzo cię przez ten cały czas kochałam.

Tak też zrobił. Uwierzył jej. Bo co innego mógł uczynić? Nie poznał własnego domu – rozpoznał jedynie kobietę, której obiecał, że wróci do niej do domu.

Tym razem Dziadzio kończy opowieść następująco:

– To też zawsze powtarzam, Teddy. Sensem życia jest nauczyć się, jak kochać. – Milknie, po czym ciągnie dalej. – Twoja Babcia, chłopcze, żyła z miłością. Tak też się do niej zwracałem aż po ostatni dzień jej życia, tak miała dla mnie na imię: Miłość. Dopóki żyję, będę ją tak nazywał. – Przerywa i spogląda na mnie. – Prawda?

Dochodzi siódma, kiedy pokonujemy kilka krótkich mostów nad rzeką Meramec i Jeziorami Butlera na południowych obrzeżach aglomeracji Saint Louis. Musimy zatankować, musimy coś zjeść, a jako że dotarcie tu zajęło nam cały dzień, nie mamy planu, jak spędzimy noc.

– Jutro musimy dojechać do Ithaki – mówię.

– Nie sądzę, by to było możliwe – zauważa Corrina.

– Może po prostu jedźmy całą noc.

– Nie dam rady.

– Będziemy się zmieniać.

– Chyba nie powinieneś więcej prowadzić – odpowiada.

Już mam się za to obrazić, kiedy zdaję sobie sprawę, że się o mnie troszczy; jakkolwiek niepoważnie to zabrzmiało, chciała w ten sposób powiedzieć: Dbam o ciebie.

Nie możemy przejechać wprost przez Saint Louis, sądzimy jednak, że uda nam się powrócić na prawdziwą autostradę, to jest siedemdziesiątkę, na północny zachód od miasta, już w Illinois, i że dalej siedemdziesiątką przemkniemy przez Illinois, Indianę, Ohio i dojedziemy aż do Pensylwanii, ani razu nie płacąc na bramkach. Potem czeka na nas w pełnej krasie stan Nowy Jork, a jeśli już tam dotrzemy, przynajmniej będziemy mogli przysiąść na schodach kościoła i powiedzieć: „Jesteśmy, Dziadziu, oto jesteśmy. To tutaj

z Babcią wzięliście ślub. Opowiedz nam o tym. Opowiedz, żebyśmy wiedzieli, że pamiętasz”.

Lecz akurat w miejscu, gdzie mamy wjechać na siedemdziesiątkę, aby przebyć ten ostatni, długi odcinek naszej podróży, leży niewielka miejscowość, którą usiłuję sobie wyobrazić od momentu, gdy po raz pierwszy o niej usłyszałem w Las Vegas, a mieszka tam kobieta – CC – nazbyt mi bliska, abym jej nie odszukał. Czuję się jak Zmarły Tata, zmieniając plany, nie pragnąc niczego innego jak tylko zahaczyć trasą o CC.

Dojeżdżamy do ważniejszej drogi i włączamy się do ruchu zmierzającego na most. Pod nami Missisipi. Po tym, jak przez nią przejeżdżamy, znajdujemy się na płaskiej, zielonej równinie Illinois. Słońce za nami wisi nisko nad horyzontem. Widoczny przez tylną szybę zachód to czerwono-żółto-pomarańczowa plama, a mimo to przeszłość mam przed sobą, czeka kawałek dalej, pod postacią ducha Zmarłego Taty.

Gdy otumaniony samotnością chodziłem jeszcze do szkoły, mnóstwo było dni, w których jego duch prześladował mnie poprzez sny na jawie. Na lekcji geometrii, biologii czy też angielskiego myślałem sobie o czymś, kiedy wtem mój umysł odpływał, popadałem w koszmarny półsen, w którym o wybrzeża Kalifornii uderza tsunami, szkołę zalewa fala powodziowa, a olbrzymie, blade ramiona Zmarłego Taty wynurzają się, podnoszą i spadają na nas niczym grzywy potężnych fal, ściągając całą szkołę wraz z nim do podmorskiego grobu.

Czuję w sobie totalny chaos, więc oglądam się na Dziadzia w nadziei, że mnie jakoś umocni, w nadziei, jak sobie uświadamiam, że podtrzyma rodzinne kłamstwo, żebym nie musiał stawiać czoła temu, na spotkanie czego zmierzam.

– Zapomnijmy o tym – mówię nagle. – Po prostu jedźmy przed siebie. Nie chcę tu stawać.

– Co? – pyta Corrina.

– Musimy się dostać do Nowego Jorku. Nie mogę nas zatrzymywać.

Cały drzę.

– Wiesz, co mnie wkurza? – odzywa się Corrina, niemal na mnie wrzeszcząc.

– Już tutaj jesteś. Masz właśnie szansę dowiedzieć się czegoś na temat swego taty.

– Ja nie mam taty – mówię, a mój głos brzmi jak u dziecka.

– Owszem, masz. On kimś był. Nadal jest. Mógłbyś się dowiedzieć czegoś więcej.

– I co ja niby zrobię? Pójdę spojrzeć na jego grób? A zresztą i tak pochowano go w Ithace.

– Musisz z nią porozmawiać.

„Nie”, myślę sobie, ale mówię co innego.

– Tak. Wiem.

– To dobrze – zauważa z goryczą. – Bo wiesz, że gdybym tylko mogła, ja bym to zrobiła. A ty już tutaj jesteś, Hendrix.

Głos jej się załamuje, a ja myślę o tym, jaki ze mnie palant.

– W porządku. – Kiwam głową. – Jestem gotów. Musimy tylko ustalić, jak ją znajdziemy.

Wiem, że dla Dziadzia też będzie to dziwna sytuacja. No bo jak miałyby nie być dziwna? Obracam się, by z nim porozmawiać, by zacząć tłumaczyć, dlaczego muszę to zrobić, dlaczego od tak dawna zaprzęta mi to umysł, a teraz, kiedy Błękitna Bomba szybuje tak blisko źródła, muszę poznać opowieść, której – jak się obawiam – nikt poza CC nie będzie mógł mi przekazać, tymczasem Dziadzio nachyla się do przodu i kładzie mi rękę na ramieniu.

– Wiem, że mieszka w Troy, bo kiedy zmarła twoja Babcia, przysłała mi kwiaty. To było już po tym, jak się tu przeprowadziła. Niedługo po śmierci twojego ojca znalazła pracę w Saint Louis. Pisała, że jej przykro. Nigdy na jej list nie odpowiedziałem. A powinienem był.

Milczę. Tylko tyle jestem w stanie zrobić, aby w ogóle móc zaczerpnąć powietrza.

Stary Grzmot wyczuwa atmosferę sytuacji, bo podniósł się i uważnie przygląda się mnie i Dziadziowi. Lekko skamle, po czym trąca Dziadzia nosem w bok. Dziadzio zabiera dłoń z mego ramienia i poświęca nieco uwagi Staremu Grzmotowi, ja zaś wgapiam się w okno.

W końcu udaje mi się coś wykrztusić.

– Winisz ją? – pytam. – Za jego śmierć?

– Nie.

– A wtedy winiłeś?

– Nie jestem pewien. Byłem wściekły, ale nie sądzę, bym ją winił. Nie wydaje mi się, by to była jej wina.

– Dlaczego nie?

– To twój ojciec tutaj był. To on jeździł tam i z powrotem, aby się z nią spotykać. To jego winię za to, że był tutaj, tam czy gdziekolwiek. Ale ani jej, ani jego, ani nikogo innego nie winię za jego śmierć. Zbyt wiele razy widziałem, jak ktoś umiera, by za każdym razem doszukiwać się jakichś przyczyn. Dlaczego rak? Dlaczego wojna? Dlaczego wypadek samochodowy? Dlaczego umieramy? To nie pytanie dla kogoś starego. Wolałbym raczej spytać siebie o to, co robię,

dopóki tu jeszcze jestem.

Na dłuższy czas zatrzymuję się na tej myśli. Tankujemy, wracamy na siedemdziesiątkę, ostatnią prostą prowadzącą na wschód do miejsca, do którego wyruszyliśmy, tymczasem jednak jedziemy nią przez krótki odcinek od Collinsville do zjazdu numer osiemnaście na drogę sto sześćdziesiąt dwa. Corrina zjeżdża na prawy pas i sprowadza Błękitną Bombę po estakadzie, odnajduje Edwardsville Road i po kilku minutach mapa w jej telefonie informuje nas, że dotarliśmy na miejsce.

Troy to zupełnie przeciwieństwo Los Angeles. Jeżeli jest tu jakieś centrum miasta, to my nie potrafimy go odszukać. Rozproszona, niska zabudowa, czasem jakaś latarnia. Nie widać nic poza cudowną misą nieskończonej nocy, która spowija świat wokół nas. W panującej ciemności, bez wielkomięjskiego zanieczyszczenia światłem, gdy na drodze nie ma innych samochodów, jest tylko ziemia, niebo i my gdzieś pomiędzy, zdaję sobie sprawę, że tak właśnie wygląda większość kraju, że to lądowy bezkres, który chce, byś się w nim zagubił. Sam jestem dzieckiem wielkiego miasta i mam wrażenie, że miasto nazbyt łatwo ukrywa majestat wszechświata. Ale nie tutaj. Tutaj przypomina mi się starogrecki termin *poiesis*, od którego wywodzi się słowo poezja. W gruncie rzeczy oznacza on tworzenie czegoś z niczego. I właśnie tutaj, w miejscu, które niegdyś określiłbym wygwizdowem pośrodku niczego, przypominam sobie o pokorze, uświadamiam sobie bowiem, jak jestem mały i nieznaczący, a mimo to, postawiony wobec tego wszystkiego pragnę tworzyć poezję. Chcę sprawić, by życie, które może nic nie znaczyć, coś jednak znaczyło.

## ROZDZIAŁ 24

### Opowieść CC

Znaleźć czyjś adres jest niełatwo, chyba że ten ktoś używa swoich personaliów jako nazwy prowadzonego interesu, a na dodatek wygląda na to, że pracuje w domu – przynajmniej tak wynika ze strony internetowej. Nie spodziewałbym się, by mieszkała tutaj więcej niż jedna Cecelia Devons, a ta, której szukaliśmy, nie była właścicielką Farmy CC, położonej na samym skraju miejscowości.

Jej dom stoi na końcu krętej ulicy, która wyprowadza nas z powrotem na tereny uprawne. Po jednej stronie drogi biegnie krótki, wyszczerbiony, drewniany płot, po drugiej zaś rów i żywopłot. Żadnej latarni, jedynie parę samotnych drzew kołysze się ponad jezdnią. Wieje lekki wiatr, a gałęzie drzew tańczą i wydają się śmiać w poświacie naszych reflektorów. Niebawem nie ma już innych domów, jedynie droga, a mapa zapowiada, że i ta się ma zaraz urwać. Żadnego placyku, żadnego osiedla, po prostu koniec drogi.

Zbliżając się do końca asfaltu, zwalniamy. Dalej nic już nie ma, ani drogi gruntowej, ani mostu, nic, tylko trawa, pole i wszystko to, co leży poza zasięgiem naszych świateł. Wtem go dostrzegamy. Po lewej stronie, skryty za ostatnim żywopłotem, stoi ciemny, drewniany dom, z którego dwóch frontowych okien bije jasność. Widzimy podjazd wiodący do garażu, lecz się tam nie kierujemy. Corrina parkuje przed domem, ustawiając samochód przodem w kierunku powrotnym.

– Gotowy? – pyta.

– Nie.

Wszyscy wysiadamy, aczkolwiek na razie zostawiamy Starego Grzmota w aucie, opuszczając szyby na tyle, by miał czym oddychać. Nie jesteśmy pewni, czego mamy się spodziewać i możliwe, że będziemy musieli zabierać się stąd w pośpiechu. Dziadzio rusza powoli, szurając nogami, i podchodzimy na niewielkie wzniesienie, na którym znajduje się dom. Wszędzie dookoła unosi się niewidzialny obłok zapachów wprost z obory. Słychać niskie pobekiwanie owiec czy też kóz, chrumkające świny – nie widzimy ich, ale tam są, a w ciemności sprawia to bez mała magiczne wrażenie. Brzęczenie owadów oraz szmer wiatru muskającego żywopłoty i łodygi kukurydzy na polu na prawo od nas przywracają nas do rzeczywistości.

Na moment przed tym, jak znajdziemy się przy schodach do domu, całuję Corrinę w policzek.

– Cieszę się, że tu jesteś – mówię. – Bez ciebie by mnie tutaj teraz nie było.

– Też się cieszę, że tu jestem – odpowiada.

Dziadzio wchodzi po stopniach, a ja podążam za nim, lecz gdy staje przed drzwiami, waha się. Zdawszy sobie sprawę, że sam tego nie zrobi, sięgam do dzwonka.

W pierwszej chwili nic się nie dzieje. Słyszemy wyłącznie odgłosy dochodzące z zewnątrz budynku, lecz wtem rozlega się coś jakby głos, po czym zasłonka w oknie obok drzwi się odsuwa i na werandę wygląda kilka lat młodsza ode mnie dziewczynka. Gdy drzwi się otwierają, cofa się i obejmuje kobietę, która się w nas wpatruje.

Kiedy na mnie spogląda i się uśmiecha, w jej oczach jest tyle smutku, że sam czuję się zdruzgotany.

– Charlie? – pyta. – Ted? – Kiwa na nas. – Zdaje się, że się was spodziewaliśmy.

Widać, że to matka i córka, stoją w takich samych jeansach i koszulkach flanelowych, z rękawami podwiniętymi do łokci, jak gdyby właśnie oderwały się od roboty, a włosy mają zebrane w kucyki tej samej barwy, co sztachety mijanego po drodze drewnianego płotu. Stanowią zespół i razem się poruszają, tak samo przechylają głowę, gdy na nas spoglądają, w kącikach ich smutno uśmiechniętych ust znać ten sam świadomy żal. Jednakże w dziewczynce coś jeszcze nie daje mi spokoju, lecz w tej chwili ciszy słyszę w głowie tylko słowa Dziadzia.

– Ted Hendrix – mówię. Przedstawiam Corrinę i Dziadzia. – Możemy wejść?

CC prowadzi nas do salonu, przedstawia swojej córce Rose i wpatruje się w Corrinę.

– O niej nic nie mówili. Choć zastanawiali się, czy będzie z wami kierowca.

– Zastanawiali się? – dopytuje Corrina.

– Kto? – pytam, lecz już zawczasu znam odpowiedź.

– Policja. Dzwonili do nas tego wieczoru. Mieli przeczucie, że będ ziecie tędy jechać.

– Do Ithaki – oznajmiam.

CC kiwa głową. Razem z Rose siedzą na fotelu, CC nachylona w przód, Rose zaś przycupnięta na obitym podłokietniku. W dalszym ciągu trzymają się razem i nam przyglądają.

– Przykro mi z powodu telefonu z policji.



– Co wy tu robicie?

– Sam do końca nie wiem – mówię. – Wydaje mi się, że muszę się dowiedzieć paru rzeczy. – Tak u niej, jak i u Rose dostrzegam narastający lęk. – Nie zwariowaliśmy – dodaję.

Zaraz potem jednak opowiadam wariacką historię. Mówię o tym, jak przed zaledwie pięcioma dniami, siedząc na pewnym wzgórzu, wraz z Corriną postanowiliśmy wspólnie wyruszyć w tę podróż, o tym, jak alzheimer Dziadzia wyżera mu mózg i wspomnienia, i o tym, jak chciałem ostatni raz zabrać go do Ithaki, aby zobaczył kościół, w którym się ożenił, nim choroba na zawsze zabierze mu i to wspomnienie po Babci, a także o tym, że to niesprawiedliwe, że w świecie, który tak łatwo odbiera nam tych, których kochamy, może się też zdarzyć, że nie tylko kogoś takiego utracisz, ale i możesz postradać wszelką pamięć o nim, jak gdyby w ogóle nigdy nie istniał. I z kieszeni drelichowych szortów wyciągam Rodzinną Księgę Hendrixów, którą trzymam w powietrzu nad głową niczym jakiś biblijny zwój i mówię, jak to muszę wszystko w niej spisywać, bo kiedy choroba i śmierć przyjdą, by to wszystko zabrać, przynajmniej pozostanie zapis o tym, jak żyliśmy i kto żył tu z nami, kiedy jeszcze chodziliśmy po tym świecie.

Mówię jej, że w księdze jest luka, którą muszę uzupełnić i że to ona jest ostatnią osobą na świecie, która jeszcze może mi w tym pomóc, lecz kiedy tak nawijam jak wariat, przyglądam się Rose i zastanawiam, dlaczego wydaje mi się tak cholernie znajoma, aż wreszcie to do mnie dociera.

– Ile masz lat? – pytam.

– Dziesięć – odpowiada, spoglądając na mnie swoimi błękitnymi oczami, takimi samymi jak moje, jak Dziadzia, a także Zmarłego Taty, ja zaś myślę o tym, jak świat, który ledwie godzinę temu sprawiał wrażenie niewiarygodnie ogromnego, w jednej chwili wydał się o wiele mniejszy.

– To twoja przyrodnia siostra – oznajmia CC. – Nigdy jednak nie podejrzewałam, że przyjdzie wam się spotkać.

Patrzę to na Rose, to znowu na CC.

– Nie mamy przed sobą tajemnic – dopowiada CC.

– Mieszkasz w Los Angeles – mówi Rose. – To stamtąd był mój tata.

W jej nieśmiałym głosie ponownie w pełni wyczuwam ogrom dystansu pomiędzy tu i tam.

– Tak – potwierdzam. – Wybacz – wskazuję na Dziadzia – to jest twój dziadek. – Nie rusza się z fotela, tylko jeszcze bardziej przytula się do matki. Kładę dłoń na kolanie Dziadzia. – Wiedziałaś? – pytam.

Dziadzio łąpie na mnie i spycha moją rękę z kolana.

– Nie rozumiem – mówi. – Co się tutaj dzieje?

– Dziadziu – zaczynam.

– Żadnego mi tu Dziadziu – przerywa, podnosząc głos.

– Nie, Dziadziu, proszę cię. Proszę. – Zerkam na Rose i CC. – Wszystko w porządku – mówię im.

– Po prostu nie rozumiem – powtarza Dziadzio. – Co ja tutaj robię?

Corrina wstaje i kuca obok niego. Delikatnie rozmasowuje mu plecy i choć on spogląda na nią, jak gdyby widział ją pierwszy raz w życiu, przyjmuje zapewnianą otuchę. Corrina zaczyna cicho nucić.

– Może lepiej wyjdziemy poczekać w samochodzie? – pyta.

– Ale... – odzywam się i nie potrafię skończyć, bo sam już nie wiem, co chcę powiedzieć.

– W porządku – mówi. – Chętnie zabiorę go na zewnątrz. Zresztą i tak od tej całej sytuacji zrobiło mi się trochę smutno.

Chcę jej pomóc, nie dlatego, by mieć pewność, że Dziadzio się uspokoi – teraz ufam jej pod tym względem bardziej niż sobie samemu – ale dlatego, że chcę jej pomóc. Pragnę, byśmy razem wypracowywali rozwiązania, ale to niemożliwe, ponieważ jesteśmy dwiema różnymi osobami o zgoła odmiennym życiu i mogę najwyżej obiecać, że zrobię dla niej tyle, ile ona zrobiła już dla mnie.

Corrina wyprowadza Dziadzia z domu i wiem, że pomoże mu zejść po schodach, a później w dół zbiega ku Błękitnej Bombie, gdzie chwilę z nim porozmawia, po czym wyciągnie gitarę i zagra te same piosenki, które śpiewa ekshipsisom w Los Angeles, piosenki, które się śpiewało w czasach, gdy ludzie jeszcze sądzili, że mogą zmieniać świat.

Tymczasem w salonie wyjaśniam, jak takie sytuacje przydarzają się Dziadziowi, szczególnie w nocy i kiedy musi zmierzyć się ze zbyt wieloma sprzecznymi uczuciami bądź decyzjami. Brzmie jak doktor Hannaway, tyle tylko, że jestem młodszy i o wiele głupszy.

– Musicie oddać go z powrotem pod właściwą opiekę – stwierdza CC. – Sam się z tym wszystkim nie uporasz, Ted.

Podoba mi się, że mówi na mnie Ted. W pewnym sensie czuję się niczym nowy człowiek.

– Tak zrobię – zapewniam. – Tak zrobię. – Nachylam się w przód na kanapie.

– Ale czy dałabyś radę powiedzieć mi coś więcej o moim ojcu? To znaczy... naszym ojcu? – poprawiam się, spoglądając na Rose. – Kiedy zginął, czy jechał

po to, by się z tobą pożegnać, czy też by z tobą zamieszkać?

– Nie wiem – odpowiada CC. Puszczą Rose i wstaje z fotela. Podchodzi do kominka i opiera się o jego gzyms, spoglądając w puste palenisko. – Sądzę, że nie chciał musieć wybierać.

CC i moja mama są tak różne jak Troy i Los Angeles. Tam, gdzie u mamy same kanty i nerwowe gesty, CC jest łagodna i powolna. Nie ma makijażu. Na jej rękach i nogach widać mięśnie, a nie tylko same kości. A mimo to, pomimo tych wszystkich dzielących je mil, myślę o tym, jak bardzo są do siebie podobne.

Myślę o tym, jak CC samotnie wychowywała Rose, a mama mnie. Przez te wszystkie lata mogłaby chodzić na randki, tymczasem siedziała ze mną na kanapie, czytając na głos, czy też później – prosząc mnie, bym to ja jej czytał na głos, upojne wieczory poświęcając dziesięcioletniemu synkowi, który stał na otomanie i wykrzykiwał kwestie ze starego, zużytego egzemplarza *Hobbita*. Mama zapieprzała do nieprzytomności, głównie z myślą o mnie, a w domu może i bywała nie do zniesienia, ale w rzeczywistym świecie, w którym zastępy mam i tatusiów maszerowały poprzez nudę i smutek porzuconych marzeń, była herosem. Myślę sobie: „Taki kawał drogi jechałem, by go odnaleźć, lecz może właśnie odnalazłem ją – moją mamę, Penny Weaver, kogoś jeszcze, czyją historię należałoby pamiętać, matkę, która starała się nie dopuścić, by się to wszystko rozpadło i której się udało”.

– Kiedy ostatni raz przyjechał mnie odwiedzić – odzywa się CC – oznajmiłam mu, że jestem w ciąży. Powiedziałam, że pragnę ją donosić. Cieszył się. A zarazem był przerażony. Siedzieliśmy na schodkach na zapleczu starej kawiarni, w której wówczas pracowałam, a on mnie pocałował. Zawsze bał się mnie całować w miejscach publicznych. – Po policzku spływają jej łzy. – Przepraszam – mówi. Zwraca się teraz nie do mnie, a do Rose, która wstaje z fotela, w którym się zapadła, i podchodzi do matki. Obejmuje ją i wzdycha, poznaję to po jej ramionach i zastanawiam się, jak często to jej przychodziło dodawać matce otuchy, ile razy poprzez coś tak prostego jak uścisk mówiła jej: „Dlatego właśnie się nie poddajemy, dlatego nazajutrz się budzimy”.

– Lecz kiedy wasz dziadek nas zauważył – ciągnie dalej CC – twój tata oświadczył, że jeszcze o tym porozmawiamy. Powiedział, że musi wrócić do Los Angeles, bo twój dziadek zrobi właśnie to, co oznajmił, że robi, to jest zadzwoni do twojej matki. – Pociąga nosem. – Tak więc nie wiem, Ted, sama nie wiem. Nie wiem, czy wracał do Los Angeles po to, by zostać z twoją matką, czy też wracał tam, by z nią zerwać. Zginął, pozostawiając ciebie z twoją matką,

pozostawiając mnie z moją fasolką. Tak właśnie określiłam ją, gdy mówiłam o niej twojemu ojcu, malutka fasolka, bo wtedy była wielkości ziarnka fasoli.

– Czy też może zamierzał spróbować pogodzić interesy wszystkich, chociaż wiedział, że to niemożliwe – mówię.

– Tak, Ted. Taki właśnie był twój ojciec. Był głupi, ale nie był pozbawiony serca. – Następnie zwróciła się w moją stronę: – Ted? Dzwoniła do mnie policja. Wiedzą, że się kręcisz gdzieś w okolicy. O Corrinie nic nie wiem, ale powinieneś pomyśleć o dziadku. Pomyśl o swojej matce.

– Wiem – mówię. „Zawieram miliony”, powiedział Walt Whitman i na tyle różnych sposobów Dziadzio, Zmarły Tata i ja stanowimy trzy wersje tego samego człowieka. Jeden nie żyje, drugi umiera, zaś trzeci żyje i może wybierać, co zrobi z resztą swojego życia. Jesteśmy martwi o wiele, wiele dłużej niż żyjemy, w rzeczywistości martwi przez niemal całą wieczność, a życie jest zatem przebłyskiem świata, rebelią przeciwko tyranii ciemnej nicości, niczym jeden ze słonecznych blasków Corrinie, co odrywają się od powierzchni i płoną jasno acz krótko, po czym na powrót opadają w ogień – życie samo w sobie jest wierszem, a to, co z nim zrobimy, to nasza poezja.

## ROZDZIAŁ 25

„Walczymy za to, co kochamy, a nie za to, kim jesteśmy”

Jest już o wiele później, a CC zaproponowała, byśmy położyli się spać w salonie. Corrina przyprowadziła Dziadzia, który, przysypiając, wyciągnął się na kanapie. Kiedy wrócili, nie był wściekły, a przede wszystkim wystraszony i wydaje mi się, że go rozumiem. Sam również jestem zbyt zmęczony, by czuć gniew. Gniew tak wiele nam zabiera. Kiedy siedzę na podłodze z plecami opartymi o kanapę i z łbem Starego Grzmota na kolanach, słuchając, jak Corrina śpiewa i gra nam wszystkim kolejną piosenkę, czuję ciepło i spokój. Teraz się cieszę, że tu jestem.

– Masz cudowny głos – po skończonym utworze CC mówi Corrinie. – To twoja piosenka?

– Tak.

– Piękna – ocenia CC.

Corrina kręci głową. W jej uśmiechu widać jakby ślad smutku.

– Ee tam.

– Hej – nalega CC – naprawdę tak myślę. Powinnaś robić to na poważnie.

– No – cicho zgadza się Corrina, ale spuszcza spojrzenie na kolana. – Rzecz w tym... – urywa. Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek widział ją, jak płacze, a teraz, akurat teraz, jest o krok od łez.

– Czy to będzie problem, jak z Corriną zabierzemy Skippera na krótki spacer? – pytam CC. – Chciałbym, żeby rozprostował łapy i co tam jeszcze chce, zanim się ułożymy do snu. Zaraz wrócimy.

– Mogę iść z wami? – pyta Rose.

– Nie – odpowiada jej CC. Posyła mi uśmiech wszechwiedzącej mamy, który teraz doceniam. – My zostaniemy tutaj na wypadek, gdyby wasz dziadek miał się obudzić. – A kiedy to mówi, zdaję sobie sprawę, że zwraca się do mnie i do Rose. To nasz dziadek. Rose nigdy dotąd nie poznała nikogo z rodziny swego Zmarłego Taty.

– Gdy wrócimy – mówię Rose – wszystko ci o nim opowiem.

– O kim?

– O twoim dziadku.

Lecz wpierw Corrina. Stary Grzmot jest na smyczy, ale kiedy tylko

schodzimy po schodkach w dół zbocza i stajemy przy Błękitnej Bombie, spoglądając na pogrążoną w ciemności łąkę poza krańcem drogi, odpinam smycz i daję mu się wybiegać. Stary Grzmot musi sobie ulżyć. Poznaję to po tym, jak dygoczą mu łapy, kiedy wyciąga się na trawie. Nie ucieka zbyt daleko. Podbiega z powrotem drogą do żywopłotu. Podczas gdy on się zabawia, ja obejmuję ramieniem Corrinę. Odkąd wyszliśmy z domu, nie odezwała się choćby słowem. Nadal milczy.

– Hej – odzywam się.

Odwraca się i spogląda gdzieś za mnie.

– Nigdy tego nie osiągnę – mówi. – Nawet w Nowym Jorku.

Staram się znaleźć właściwe słowa, ale co takiego mogę powiedzieć, by nie zabrzmiało to tanio i boleśnie? Przytulam ją mocno.

Odwraca się, spogląda na pole, ale pozostaje w moim uścisku, oparta o mnie.

– Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Nie dojedziemy do Nowego Jorku.

– Nie – przyznaję. – Nie dojedziemy.

– Nie znoszę Los Angeles. Po prostu chciałabym choć raz dostać szansę gdzieś indziej. Chciałabym tylko z czystą kartą spróbować w Nowym Jorku, gdzie nikt mnie nie zna. Chciałabym dostać jedną szansę, by zrobić na kimś wrażenie.

– Nadal możesz.

– Jak, z Aiko? Wreszcie mi odpowiedziała. Napisała: „Wpadnij do mnie”. Może to być coś konkretnego. A może tylko pogawędka o niczym. Nieważne. I tak przecież się tam nie dostaniemy.

Rozmasowuję jej plecy i przytulam ją. Opieramy się o bagażnik Błękitnej Bomby.

– Jeśli stawisz się u jej drzwi, to przecież cię nie odprawi.

– No, tak czy siak jest już po sprawie. – Wtula we mnie głowę, cały czas wyglądając przed siebie. – Po prostu nie chciałam, by się to wszystko skończyło.

– Ale nie musi – mówię.

Noc jest absolutnie przejrzysta, Wielka Niedźwiedzica, Mała Niedźwiedzica, Kasjopeja i Pegaz świecą na doskonale wymalowanej martwej naturze zdobiącej podbicie niebieskiego parasola, jaki wisi ponad nami, mnie się jednak wydaje, że istnieje sposób, żeby przedrzeć się przez tę tkaninę i odnaleźć coś jeszcze. Tymczasem zupełnie jakby niebo runęło wprost na to pole czy też jakbyśmy sami wzniesli się pomiędzy gwiazdy, gdy wyglądam dookoła, widzę mrugające w ciemności robaczki świętojańskie. Jest ich niezliczone mrowie, lecz jeśli wyrysować linię łączącą niektóre z nich, mogę stworzyć moją własną

konstelację nas dwojga – Corrinny i Hendrixa – ot, po prostu nowy wzór wpleciony w najstarszą tkaninę na świecie.

Czuję, jak serce Corrinny łomocze w piersi przyciśniętej do mojego ciała i niczego bardziej nie pragnę jak podtrzymania melodii tego jej marzenia, ale nie chodzi tu tylko o mnie. Bo jeśli kogoś kochasz i słyszysz, jak raz za razem powtarza: „Słuchaj, kimś takim właśnie chciałabym zostać”, musisz stanąć na wysokości zadania i dopomóc mu, aby to osiągnął.

Tyle czasu spędziłem na spisywaniu wszelkich opowieści, przekonany, że najbardziej autentyczne wydają się te, podczas których uczymy się tego, kim jesteśmy, i niekiedy opowiadają one o tym, skąd przybywamy, czasami jednak to my sami je piszemy. To te, które mówią, dokąd zmierzamy.

– Nie musisz tutaj kończyć – mówię. – Powinnaś jechać dalej bez nas.

Corrina odsuwa się i spogląda na mnie.

– Kup sobie bilet do Nowego Jorku. Weźmiesz pieniądze, które nam zostały. Powinno wystarczyć, byś się tam dostała i trochę pokręciła.

– Nie mogę tego zrobić.

– Możesz. Któremuś z nas musi się udać.

– Ale zaczęliśmy to razem. Nie mogę jechać dalej sama.

– Nie będziesz sama. Nie zostaniesz sama. Musisz tylko się tam dostać i zobaczyć, co się stanie. Nie chodzi o pieniądze – dodaję. – Obiecałem, że pomogę ci gdzieś dotrzeć, a jeżeli coś potrafię, to dotrzymać obietnicy. W szczególności takiej, którą złożyłem tobie. Jedź na Brooklyn. Przekonaj się, co będzie. Wierzę w ciebie.

Bo teraz wiem o miłości coś jeszcze. Musisz dostrzec w drugiej osobie to, kim jest, a nie to, kim nie jest. Musisz wierzyć w nią taką, jaką jest, a nie w taką, jaką nie jest. Musisz pokochać ją taką, jaką jest, a nie taką, jaką nie jest.

Spogląda na pole, a w jej oczach dostrzegam podekscytowanie.

– Tak?

– Tak.

– Tak.

– Tak.

I wtem, oparci o burtę Błękitnej Bomby, zaczynamy się całować. Skąd powiedzenie, że się w kimś zadurzamy, jeśli uczucie to, rozśpiewane i kotłujące się, o wiele bardziej przypomina latanie? Całujemy się i całujemy, ale nie jak wcześniej, teraz to coś więcej, jak gdyby same pocałunki były nowymi słowami w nowym języku, a przy tym, jak ona przytrzymuje moją wargę między swoimi wargami, jak ja chwytam jej usta moimi, jestem pewien, że właśnie odnalazłem

tę sferę niepewności, którą zawsze pragnąłem odszukać.

Musimy przywołać nadal zajętego sobą Starego Grzmota i wrócić do domu CC, a kiedy wchodzimy do środka, zastajemy ją z Rose z powrotem w salonie. Przykryły Dziadzia kocem, parę koców, poduszek i śpiworów ułożyły też na podłodze.

– Rose chciałyby wiedzieć, czy może tu z wami dzisiaj się położyć – zwraca się do mnie CC, kiedy już zdejmujemy buty i siadamy ponownie przy kanapie.

– Oczywiście – mówimy jednocześnie z Corriną.

– No i mam ci coś opowiedzieć – przypominam Rose.

Rose uśmiecha się i narzuca jeden z koców na ramiona. Zwija się w kłębek na fotelu i opiera głowę na szerokim podłokietniku, na którym poprzednio siedziała, ja zaś wyciągam z kieszeni szortów Rodzinną Księgę Hendrixów i otwieram ją na samym początku, żeby przeczytać tylko fragmenty poświęcone Dziadziowi i Babci, aby Rose poznała to, co starałem się z nich sklecić: *Ostatnią prawdziwą historię miłosną* w Rodzinnej Księdze Hendrixów.

– Zawsze chciałam mieć młodszą siostrę – przyznaje Corrina. – Chciałam mieć kogoś, kim mogłabym się opiekować lub chociaż komu mogłabym udzielać rad. O wszystkim, z czym sama musiałam się zmierzyć.

– No – odpowiadam – to mogłabyś mi pomóc, bo wychodzi na to, że to ja mam siostrę.

– Pomogę – zapewnia Corrina. – Pomogę.

CC stoi w progu, opierając się o framugę z ciemnego drewna. Za mną, pod grubym kocem w kratę, śpi Dziadzio. W szeroko otwartych oczach Rose widać wyczekiwanie. Corrina wsunęła mi się pod pachę, tak więc obejmuję ją jedną ręką, podczas gdy w drugiej trzymam notatnik z zapiskami. Stary Grzmot zwinął się po mojej drugiej stronie i oparł mi łeb na kolanie. W rogu pokoju pali się czerwona lampa, zapewniając nam całe potrzebne oświetlenie. Nim jednak zaczynam czytać na głos z Rodzinnej Księgi Hendrixów, dopisuję coś na jej przedniej okładce. To wers z wiersza Franka O'Hary, który przez całą wyprawę majaczył mi gdzieś jak we mgle tuż poza zasięgiem pamięci, a teraz się wreszcie ukazał: *Walczymy za to, co kochamy, a nie za to, kim jesteśmy.*



## ROZDZIAŁ 26

### Itaka

Nad ranem CC potrząsa mną, aż się budzę, lecz choć otworzyłem już oczy, chwilę trwa, nim orientuję się, gdzie jestem. Nie pamiętam, kiedy zasnąłem. Ktoś uprzejmie odłożył Rodzinną Księgę Hendrixów oraz mój długopis na stolik do kawy. CC kładzie sobie palec na ustach i gestem przywołuje mnie do kuchni, gdzie cicho gra telewizor ustawiony na lokalny kanał informacyjny.

– Dopiero co było o was – mówi. – Za Charliem ogłoszono Srebrny Alarm. Policja szuka ciebie i jego. Musicie jechać i to już. Nie chcę mieć żadnych kłopotów. Wczoraj wieczorem dzwonili z policji, nie chcę problemów dla siebie i dla Rose. Proszę.

– Dobrze – mówię. Ledwie co się obudziłem. – Mogę się pożegnać z Rose?  
Zastanawia się.

– To znaczy tymczasowo pożegnać.

Mocno mnie przytula, a ja natychmiast zastanawiam się, co o tym wszystkim myśli mama – teraz, kiedy już wróciła do Los Angeles. Mam jej tyle do opowiedzenia, ale by móc to opowiedzieć, muszę wrócić do domu.

– Czy w Troy jest przystanek autobusu? – pytam CC. – Jakiś sposób, by jechać dalej? By dostać się do Nowego Jorku?

– Nie, Ted, musicie już odpuścić.

– Odpuścimy. Dziadzio i ja oddamy się w ręce władz. Ale chcę dotrzymać obietnicy, jaką dałem Corrinie. Ona nie musi przerywać podróży tylko dlatego, że my ją zakończymy.

– Jest autobus numer trzynaście. Zabierze was do Glen Carbon, a stamtąd można się dostać do Alton, skąd pociągiem Amtrak dojedziecie w dowolne miejsce w kraju. Ale chcę, żebyś wiedział, że kiedy tylko wyjdziecie, zadzwonię na policję. Powiem, że nie wiem, dokąd jedziecie, bo nie wiem, ani też nie chcę wiedzieć.

Do Ithaki – myślę, ale w to nie wierzę. Zupełnie jakby Ithaca już w ogóle nie istniała, przepadła, zniknęła we mgłę wspomnień, jak i sama pamięć, której nie sposób chwycić czy dotknąć, czy nawet zobaczyć – i tylko twoja wiara w zawarte w niej opowieści utrzymuje ją przy życiu.

Budzimy wszystkich i chociaż jest rano, a to rano Dziadzio zazwyczaj jest

w najlepszej formie, nadal wydaje się nieco zdezorientowany, toteż Corrina wyprowadza go wraz ze Starym Grzmotem na zewnątrz. Ściskam CC i Rose. Zgadza się, że to początek czegoś dziwnego, ale uczciwego, czegoś, co będziemy kontynuować, ale nie w tej chwili, ja zaś obiecuję, że jeszcze się zobaczymy. Światło poranka rozlewa się po oceanie morza, Corrina spuszcza ze smyczy Błękitną Bombę i po raz ostatni wracamy na trasę.

W milczeniu wjeżdżamy do miasteczka. Twarz Corriny jest niczym księżyc, miękki i odległy na błękitnym niebie poranka. Puszcza teraz Jimiego Hendrixa i nie musi mi mówić, że to ten jego kawałek – łagodną, akustyczną wersję *Hear My Train A Comin'* – lubi najbardziej. Wysokie, świergoczące nuty przeplatają się niczym goniące się w locie jaskółki, następnie jednak opadają, nie przypominając już ptaków, a raczej powolne i ciężkie kroki, nanoszące na butach zakurzonego bluesa. Corrina cicho podśpiewuje razem z Jimim, ja jednak wciąż słyszę ją tak samo, jak kiedy po raz pierwszy usłyszałem jej głos wznoszący się ku niebu nad Los Angeles.

Na przystanku nie ma jeszcze autobusu. Sam przystanek to tylko biały prostokąt wymalowany na drodze przed sklepem z artykułami gospodarstwa domowego, naprzeciwko niewielkiego, pozbawionego okien budynku władz miejskich. Wszędzie widać reklamy pralek, ja zaś sam się czuję, jakbym utknął w pralce, kręcił się i kręcił, a niebawem ma mnie wciągnąć wir i zassać z powrotem do Los Angeles. Przynajmniej Corrinie się uda, nawet jeśli przyjdzie jej jechać dalej samej.

Parkujemy Błękitną Bombę na wolnym miejscu po drugiej stronie ulicy i czekamy na autobus o ósmej rano. Za moment tu przyjedzie, tymczasem tłumaczę to, czego się dowiedziałem od CC, czyli w jaki sposób Corrina ma dotrzeć aż na Pennsylvania Station w Nowym Jorku. Słucha mnie i kiwa głową. Z poczuciem niezręczności siedzimy na przednich siedzeniach, aż Corrina zdaje sobie sprawę, że powinna wyjąć torbę i gitarę, na wypadek gdyby autobus zatrzymał się tylko na moment. Wysiadamy z samochodu.

Z ulicy za sklepem z AGD wyszły jeszcze dwie osoby, które teraz stoją przy słupie z oznaczeniem przystanku. Na parking zajeżdża kolejny samochód. Parę osób kieruje się do budynku władz miejskich. I wtem obydwoje dostrzegamy nadciągający drogą autobus.

- Muszę to zrobić – mówi Corrina. – Muszę spróbować. Dla samej siebie.
- Musisz jechać – zgadzam się.
- Odszukam cię po powrocie.
- Wierzę ci.

– Nie, na serio. Znajdę cię.  
– Wierzę ci.  
– Hendrix, nie mówię tego, żeby mówić.  
– Corrina – odpowiadam. Wiatr unosi jej włosy dookoła twarzy. Część z nich zaczesuję jej za ucho. – Wierzę ci.

Całujemy się.

– I zrób coś dla mnie – mówi. – Powiedz, proszę, moim ekshipisom, że wrócę. Wrócę na czas, by pójść do szkoły. Do Rosewood. Wrócę.

– Powiem. I zrobię w końcu prawo jazdy.

– No, ja myślę.

– Żeby cię odwiedzać w szkole. Będę przyjeżdżał w każdy weekend.

– Mam nadzieję.

– Żeby cię wyrwać z tego więzienia.

– Tak.

– Mamy już wprawę.

– Tak.

Ponownie się całujemy, aż słyszymy, że za nami pojawia się Dziadzio.

– Przegapi autobus – mówi, stojąc po drugiej stronie samochodu, z założonymi rękoma opartymi o dach. Uśmiecha się. – Już, zmykaj.

– Zobaczymy się w domu – mówię do niej.

Zarzuca torbę na plecy, podnosi gitarę i podchodzi do krawężnika. Odwraca się w miejscu, na jej okularach przeciwsłonecznych poblaskuje światło, włosy ma z tyłu związane tą samą ciemną bandaną, którą miała pierwszego dnia wyprawy.

– Ty i ja, Hendrix? Czad.

– Tak.

– Tak.

I nagle przechodzi przez ulicę i znika za autobusem. Szyby w oknach są przyciemniane, toteż nie widzę, gdzie siada, ale wyobrażam sobie, jak opiera but o fotel przed sobą, kładzie gitarę na kolanach i z progami gryfu przy uchu dostraja ją, gotowa śpiewać całemu światu.

Stoimy z Dziadziem po przeciwnych stronach samochodu, po czym on obchodzi go, abyśmy obaj mogli popatrzeć, jak autobus odrywa się od krawężnika. Na smyczy Dziadzio trzyma Starego Grzmota.

– Przepraszam – mówię. – Przepraszam, że nie zdołałem dowieźć nas do Ithaki.

Obejmuje mnie ramieniem.

– Teddy – odzywa się – czy kiedykolwiek ci opowiadałem o tym, jak się pobrałem z twoją Babcią?

– Oj! Wiem. To przecież tam starałem się nas dowieźć, Dziadziu. Przykro mi. Naprawdę mi przykro.

– To wtedy to było tylko dla naszych rodziców. Tak naprawdę pobraliśmy się wcześniej. Tylko we dwoje. Na tym wzgórzu, na które poszliśmy za pierwszym razem, na tę nierandkę. Betty spytała, czy najpierw moglibyśmy się pobrać tam. Tylko my, bez całego tego zamieszania. Oczywiście, powiedziałem. Moja mała romantyczka. Była taka przekonująca. Powiedziała, że cała reszta naszego życia będzie formą publicznej obietnicy, ale niech ten jeden moment, jedna noc, będą nasze i tylko nasze. Byliśmy tam tylko my i gwiazdy ponad nami. Miała rację, zawsze miała rację, przynajmniej moim zdaniem, tak więc w noc przed naszym ślubem w Świętej Helenie wymknęliśmy się z domu.

Miała na sobie bawełnianą sukienkę z prościutką falbanką poniżej linii bioder, ja zaś włożyłem brązowe sztruksy, które tak u mnie lubiła, oraz krawat, no bo krawat musiałem, dla samego siebie. Tym razem przyniosła koc, który rozłożyliśmy, tak jak tamtej pierwszej nocy. Tak czy owak, wypowiedzieliśmy odpowiednie słowa, a światło księżyca przedzierające się przez liście drzew przypominało poświatę z kościelnych witraży, tyle że w tonach czerni, bieli i szarości, i to był właśnie dla mnie ten właściwy ślub. I matko, ile się nacałowaliśmy. Tej nocy nic nas nie powstrzymywało. Całowaliśmy się z całym otaczającym nas żywym światem. Nawet teraz widzę tę poświatę na jej twarzy.

Mówiąc to, przytula mnie, doskonale zdając sobie sprawę, że myślę o Corrinie tak samo, jak on myśli o Babci.

– Teddy – mówi, stukając mnie palcem w klatkę piersiową. – Itaka jest tutaj. Z nami.

## Epilog

Sytuacja wygląda tak: tkwimy na ławce w budynku władz miejskich w Troy w stanie Illinois i choć jeszcze nigdy dotąd nie byłem tak daleko od domu, nigdy też nie czułem, że jest on tak blisko. Ławka przypomina mi tę z korytarza przed pomieszczeniami administracyjnymi w szkole, w której za miesiąc znowu się znajdę. Jest z takiego samego, pomalowanego odchodzącą żółtą farbą drewna w odcieniu najbardziej rozwodnionego miodu świata, stoi pod taką samą, nudną, betonową ścianą, i bez względu na to, czy jestem tu, czy tam, obydwie są bez życia, gdy nie ma obok Corrinny i jej głosu, jej uśmiechu, jej spojrzenia, jej tętna.

Oni dorwali nas. Po tym, jak Corrina odpłynęła swoim autobusem, oni wybiegli z budynku, krzycząc i wymachując zalaminowanymi legitymacjami. Policjanci zaparkowali obok nas i wprowadzili nas do środka, posadzili na ławce i stanęli nad nami w tych swoich koszulach z długim rękawem i krawatach, jakby wprost oderwani od dystrybutora z wodą i tablicy korkowej. Nadawali coś przez telefony i drapali się po brodach, a Dziadzio i ja siedzieliśmy na ławce, z dłońmi schowanymi między kolanami, uśmiechając się jak idioci. Oni przyszli i nas dorwali, tak jak być może od początku wiedzieliśmy, że to zrobią.

Teraz się jednak nie martwię, podobnie zresztą jak Dziadzio. On może i wygląda jak pacjent z alzheimerem, którym wszyscy wiedzą, że jest, ale to mnie muszą uważać tutaj za wariata. Bo też jestem nim i dobrze mi z tym. Dorwali nas, tymczasem jednak Dziadzio sobie nuci, niemal kołysze się do rytmu, a ja wiem, że tak naprawdę nie jest teraz tu, na ławce, tylko w swojej Itace, bo wreszcie skończyłem pisać wiersz i właśnie mu go dałem, a teraz raz po raz go sobie czyta.

Oto nowy plan: musimy się postarać, by nauczył się go na pamięć, tak jak słów wszystkich tych piosenek, które pamięta – aby zapamiętał to, co już wie i czego mnie nauczył – że każda historia miłosna to odyseja.

## CO SIĘ LICZY

Nieważne, kiedy było to,  
Minęło ledwie okamgnienie,  
Ten pierwszy raz, gdy w oczach jej

Dostrzegłeś to spojrzenie.  
I w głębi duszy już wiedziałeś,  
Choć bałeś się w głos to przyznać,  
Bo każdy może się zakochać,  
Lecz liczy się, by w tym wytrzymać.  
Wtem los ci zesłał drugą szansę, Gdy pod jej domem stałeś,  
Ty w tym strzępiącym się krawacie,  
Betty zaś w bluzce spłowiałej,  
I nad jezioro zabrała was,  
Gdzie gwaru miasta nie słychać,  
Bo każdy może się zakochać,  
Lecz liczy się, by w tym wytrzymać.  
Chodziliście więc raz po raz  
W to miejsce tak ulubione,  
Patrząc w odbicia swe pośród gwiazd  
Na długiej tafli jeziora zrobione,  
„Ciskajcie kamienie” – rzekła wtem,  
„Nas dwojga to nie powstrzyma”,  
Bo każdy może się zakochać,  
Lecz liczy się, by w tym wytrzymać.  
Pod drzewem białym w świetle księżyca,  
Z księżycem we włosach stanęła,  
Wzrok miała spokojny, przysięgła solennie:  
„Tak jak ten księżyc zawsze tu będę”,  
A ty gmerałeś się z obrączką  
I z tym, jakie słowa wybrać,  
Bo każdy może się zakochać,  
Lecz liczy się, by w tym wytrzymać.  
Kiedy więc reszta twego życia  
Długą wojnę przypomina,  
A każda zjawa i wiedźma spotkana  
Wciąż chce mieć więcej niż powinna,  
Pamiętaj, że z Betty stawiałeś dom,  
Co każdy sztorm przetrzyma,  
Bo każdy może się zakochać,  
Lecz liczy się, by w tym wytrzymać.

Lecz ja także odpływam do mojej Itaki, bo kiedy otwieram Rodzinną Księgę Hendrixów, by spisać ostatnią historię, którą Dziadzio opowiedział mi przed budynkiem, tę o tym, jak we dwoje stawili czoła wszystkiemu, co świat miał im przynieść, kartkuję ją na koniec i zastaję wpis, którego sam nie uczyniłem. Charakterem pisma Corrinny:

O TYM,  
JAK CORRINA I HENDRIX  
SIĘ W SOBIE ZAKOCHALI

## Podziękowania

Powyższa historia jest dla mnie niezwykle osobista i chciałbym w tym miejscu podziękować wszystkim z rodziny Kielych, którzy wspierali mnie i wysłali samolotem do Irlandii, abym przemierzył jej południowe i zachodnie wybrzeża z wujkiem Bobem, Babcią i Dziadziem Kiely, dzięki czemu zdałem sobie sprawę, jak wiele młody człowiek może się nauczyć o miłości od poprzednich pokoleń – nawet wówczas, a może wręcz tym bardziej wówczas, kiedy dziadek ma alzheimera, miewa gorsze chwile, a jego opowieści, w których powtarza, dlaczego kocha osobę, którą kocha, czasami tracą wątek i często się w nich gubi, ale i tak kończy je pointą.

Chciałbym podziękować Linsey Abrams i Felicii Bonaparte, wspaniałym matkom chrzestnym moich studiów magisterskich, które wyprowadziły mnie w życiu na prostą poprzez swoją miłość do literatury. Zacząłem tę książkę na prowadzonych przez nie wspólnie zajęciach ze struktur narracyjnych, na które mieliśmy napisać pierwszy rozdział książki, której nie planujemy skończyć, ja tymczasem odszedłem od zasad, bo napisałem całą książkę, a tamten pierwszy rozdział dawno już wyrzuciłem. W końcu po to uczymy się zasad, by umieć je łamać, czyż nie?

Napisanie tej książki pozostałoby jednak w sferze marzeń, gdyby nie pomoc trzech ludzi wystarczająco upartych, by towarzyszyć mi przygoda za przygodą. Dziękuję Steve’owi Rosensteinowi za to, że zdrapywał mnie z podłogi w Las Vegas, zawiózł nas do samego Saint Louis, po drodze gubiąc się, a także napotykając Lotofagów i Cyklopa. To dzięki tej podróży ta książka mogła powstać i zawsze Ci będę za to wdzięczny. Dziękuję też Tedowi Borettiemu za pierwszą i drugą wyprawę, jak również niezliczone donkiszotowskie wypadki w międzyczasie i już później, a także za to, że zawsze filozofowałeś ze mną do późnej nocy i nauczyłeś mnie, że entuzjazm to mięsień, który trzeba ćwiczyć. No i dzięki Perry’emu Hendrixowi, że bez względu na dzielące nas odległości zawsze na pierwszym miejscu stawiał naszą przyjaźń, za to, że przypominał mi, dlaczego kochamy to, co robimy, i że musimy po prostu przysiąc i to robić.

Dziękuję Mattowi Kudishowi za bezcenne dyskusje na temat alzheimera. Tak wiele z tego, czego mnie nauczyłeś, znalazło się w tej książce, a co ważniejsze, zawierało życiowe lekcje o miłości, które – mam nadzieję – też jakoś udało mi się w tej historii zawrzeć. Dziękuję Brennie Larson za mądrość i serce



okazane tej opowieści. Dzięki też Ninie Czitrom, Allie Jane Bruce, Jasonowi Reynoldsowi i Danielowi Jose Olderowi, którzy czytając wczesne wersje tekstu, nauczyli mnie myśleć i pisać z większym namysłem – za Waszą przyjaźń i szczodrość jestem Wam dogłębnie wdzięczny.

Książka ta byłaby zresztą bezładnym galimatiasem, gdyby nie pomoc Davida Groffa. Jak zawsze dziękuję Ci za przenikliwe porady i inspirującą otuchę. Podziękowania należą się też Robowi Weisbachowi, który, bardziej jako przyjaciel aniżeli agent, ciągle przypomina mi, bym skupiał się nie na tym, co siedzi w głowie, a w sercu – do tego właśnie dążę i jestem Ci bardzo wdzięczny, że mnie w tym kierunku zawracasz. Dziękuję też całej ekipie S&S i Margaret K. McElderry – w szczególności Rucie Rimas, której mądrość i ekscytację miałem okazję docenić przy wielu książkach, a której cierpliwość i wizja nadały tej książce taki kształt, jaki pragnęła ona przyjąć – dziękuję! A skoro już powstała, dziękuję Davidowi Arnoldowi, Jasmine Wardze, Julie Murphy, Avie Dellairze i Corey Whaley za szczodrość i wcześnie okazane temu projektowi wsparcie. Onieśmiela mnie niezwykłość tego zespołu redaktorskiego i tak bogate grono wspaniałych kolegów. Cieszę się, że dane mi jest Was wszystkich znać i z Wami pracować.

Jestem też wdzięczny ogromnemu kręgowi rodzinnemu, wszystkim Kielym, Shannonom, Ahernom i Chaffim. W szczególności dziękuję Emmie za jej rady dotyczące Los Angeles oraz Heide Lange za porady, troskę i nawigację po całym świecie. Specjalne podziękowania dla ciotki Pat za zapewnioną mi opiekę, entuzjazm i wskazówki. Dziękuję też Tobie, Babciu, Twoja miłość, cierpliwość i olbrzymie serce przepełniają tę książkę i zawsze stanowiąc będą dla mnie kompas wskazujący, jak w życiu pamiętać o współczuciu i trosce. No i rzecz jasna, modelową historią miłosną jest ta, którą dzień w dzień obserwowałem, dorastając, a każda historia miłosna, jaką staram się napisać, zawsze będzie się opierała na tym, czego nauczyłem się od Was, Mamo i Tato. Bo nie każdy ma tyle szczęścia, by się zakochać. Nie każdy ma tyle szczęścia, by w tej miłości pozostać.

Ale to Ty, Jessie, czynisz mnie najszcześliwszym człowiekiem, jakiego znam. Dziękuję Ci. Kocham Cię. Uczenie się tego, jak się nawzajem kochać, w każdym znaczeniu i na zawsze, jest czymś wspaniałym.

## Przypisy

---

[1](#) Przeł. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).